

OD TERAZ „wSIECI HISTORII” TAKŻE NA ŁAMACH TYGODNIKA „SIECI”!

SYTUACJĘ PO WYBORACH KOMENTUJĄ:

M. Karnowski • J. Karnowski • Jachowicz • Janecki • Kołodziejski • Łaniewska • Łosiewicz • Maciejewski • Maliszewski • Makowiecki • Reszczyński • Rokita • Rybińska • Zybertowicz

GÓRNY: CO SIĘ STAŁO NA WĘGRZECH

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 42 (360) 2019
21–27 października
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

CO TERAZ ZROBI KACZYŃSKI

TRIUMF I OSTRZEŻENIE

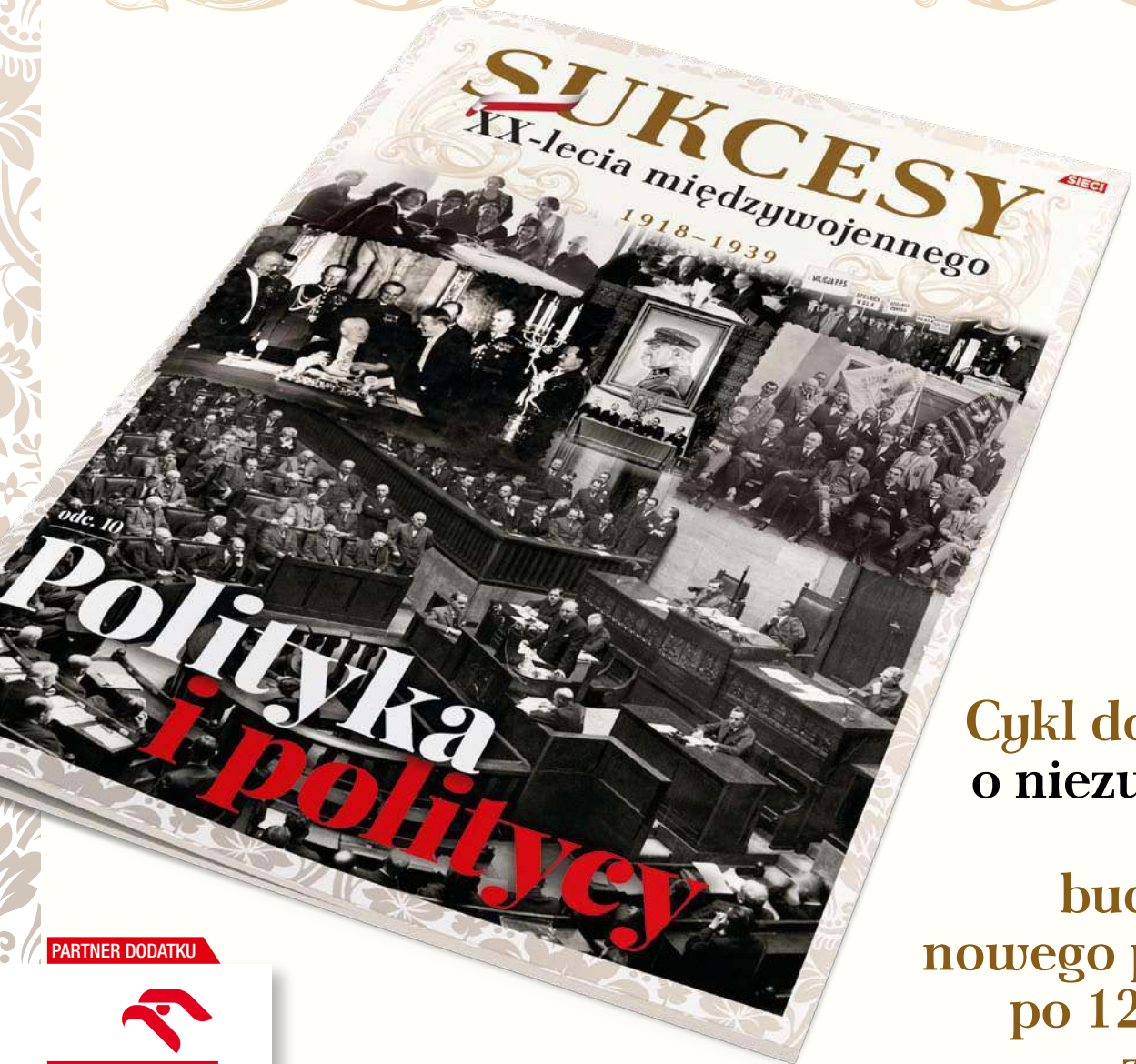
REKORDOWE POPARCIE DLA PiS I WŁADZA NA KOLEJNE CZTERY LATA! ALE BITWA O POLSKĘ NIE ZOSTAŁA OSTATECZNIE ROZSTRZYGNIĘTA. PRZED NAMI DECYDUJĄCE STARCIE O PREZYDENTURĘ

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
42
9 772544 269008

Już 28 października **SIECI** i raz w miesiącu do końca roku

SUKCESY XX-lecia międzywojennego

1918–1939



Cykl dodatków o niezwykłych czasach budowania nowego państwa po 123 latach zaborów

PARTNER DODATKU

ORLEN

cprasa.pl/3ca3d795e7

Mój najważniejszy wniosek

Zapowiadano te wybory jako historyczne. Czy były? Z jednej strony tak – kolejna kadencja dla obozu Jarosława Kaczyńskiego i możliwość kontynuacji wzmacniania Polski, rekordowe ponad 8 mln głosów, zwycięstwo przy pełnej mobilizacji społecznej, co daje wyjątkowo silny mandat. Z drugiej – nie, bo walka o przyszłość Polski nie została jednak na dłużej rozstrzygnięta. Opozycja w Sejmie, choć podzielona, będzie dość silna, a w Senacie może nawet silniejsza. Wiele wskazuje na to, że może spróbować zrobić z tej izby parlamentu ośrodek destabilizacji politycznej. Być może rację ma prof. Norbert Maliszewski, który w wywiadzie dla „Sieci" (s. 29–33) mówi, że może to mieć i pozytywne konsekwencje. Bo wyborcy zobaczyli, że sondaże naprawdę nie wygrywają, że jeśli nie będą zawsze maksymalnie zmobilizowani, ich program może nie być realizowany. W krótszej perspektywie trudno jednak to uznać za pozytywne wydarzenie.

Tuż po ogłoszeniu wstępnych wyników głosowania Jarosław Kaczyński powiedział: „Otrzymaliśmy dużo, ale zasługujemy na więcej". Zawarte było w tym pytanie, dlaczego mimo tej skali zmiany społecznej i gospodarczej, która się w Polsce dokonała, która dała milionom ludzi możliwość korzystania ze sprawiedliwszego podziału dochodu narodowego, ta większość dla dalszej naprawy, choć potężna, nie jest bardziej jednoznaczna? Komentatorzy w tym numerze tygodnika wskazują na wiele czynników. Od pewnych błędów w kampanii (choć to zawsze nieuniknione w takim przedsięwzięciu), przez nadmierną wiarę w sondaże, po rozleniwienie niektórych kandydatów.

Pozwolę sobie dołożyć jeden, w mojej opinii najważniejszy, wniosek. Otóż przez ostatnie cztery lata zasoby, jakimi dysponował zwycięski obóz, w minimalnym tylko stopniu pracowały na jego reprodukcję, na zwiększenie szans jego zwycięstwa. Brak było wystarczającej troski o tę otoczkę społeczną i gospodarczą, która buduje soft power każdej formacji. Już po roku widać było, że Prawu i Sprawiedliwości można grać na nosie na uczelniach, w szkołach, w kulturze, samorządach. Możliwe, że z tym nic się nie dało zrobić, zwłaszcza przy sądach, które w takich sprawach niemal nigdy nie opowiedziały się po stronie prawa, zawsze wybierając polityczność. Często nawet jednak nie próbowano. Ale też, co gorsza, w małym stopniu próbowano tę otoczkę pluralizować, tworzyć nowe instytucje społeczne (wyjątkiem były resorty Piotra Glińskiego i Zbigniewa Ziobro). Tak, na to są potrzebne grube miliony. Ale bez takich działań długofalowo trwałej przewagi się nie osiągnie.

Dobrze, przyjmijmy na chwilę, że i to trudne. Ale jednego zrozumieć się nie da: finansowania z zasobów obozu władzy radykalnych, ewidentnych jego wrogów. Używania tych zasobów tylko po to, by pojedynczy ludzie mieli dobry PR. To się działo i dzieje, to jest lekceważenie wysiłku, do którego nawołuje się Polaków.

Michał Karnowski



Autopromocja

SIECI spis treści



56 *Jak naprawdę buduje J.W.*
Marek Pyza, Marcin Wikło



63 Tylko jeden miał odwagę
Łukasz Adamski



94 Camino – pielgrzymka przyrodnika
Przemysław Barszcz

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **GLADIATOR SHREK**
Krzysztof Feusette

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **RODZINA NIE JEST ORGANIZACJĄ PARTYJNĄ**
Jan Pietrzak

13 **NATURA I NATURA**
Bronisław Wildstein

14 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

15 **WYNALAZKI SZYBCIEJ NA RYNKU**
Marta Kaczyńska-Zielińska

16 **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz

17 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

18 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

PO WYBORACH

20 **WYŚRUBOWANY REKORD**
Jacek Karnowski

26 **PiS ZYSKAŁO DWA MILIONY NOWYCH WYBORCÓW**
Marcin Fijołek

29 **Z PROF. NORBERTEM MALISZEWSKIM**
rozmawia Michał Karnowski

34 **PISOWSKI MOUNT EVEREST**
Jan Rokita

37 **CO DALEJ?**
Stanisław Janecki

40 **CO DALEJ Z OPOZYCJĄ?**
Konrad Kołodziejski

43 **DZIEWIĄTĄ KADENCJĘ CZAS ZACZĄĆ**
Dorota Łosiewicz

46 **OPOZYCJA POCZUŁA KREW**
Jakub Maciejewski

49 **DROGO OKUPIONE ZWYCIĘSTWO**
Aleksandra Rybińska

52 **Z PROF. ANDRZEJEM ZYBERTOWICZEM**
rozmawia Marcin Fijołek

KRAJ

56 **JAK NAPRAWDĘ BUDUJE J.W.**
Marek Pyza, Marcin Wikło

SIECI KULTURY

63 **TYLKO JEDEN MIAŁ ODWAGĘ**
Łukasz Adamski

66 **TO MOGĄ BYĆ WASZE DZIECI**
Jolanta Gajda-Zadworna

69 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

70 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

72 **POLECA**
Łukasz Adamski

74 **KINO SAMOTNYCH PSÓW**
Krzysztof Logan Tomaszewski

w SIECI HISTORII

77 **PAŹDZIERNIKOWE ROCZNICE**
Jan Żaryn

78 **TAJEMNICE KL WARSCHAU**
Bogusław Kopka

81 **EGZEKUTOR Z NSZ**
Jerzy Dąbrowski

84 **STUDNIA, KOPALNIA, ZACHÓD**
Piotr Edward Gołębski

OPINIE

85 **NON POSSUMUS WCZORAJ I DZIŚ**
Lidia Dudkiewicz

88 **P JAK PERSWAZJA**
Hanna Karp

ŚWIAT

90 **FIDESZ: ZWYCIĘSTWO W KRAJU, PORAŻKA W BUDAPESZCIE**
Grzegorz Górny

NATURA DLA LUDZI

94 **CAMINO – PIELGRZYMKA PRZYRODNIKA**
Przemysław Barszcz

SPORT

97 **KROK W HISTORII LUDZKOŚCI CZY SPORTOWY FEJK**
Cezary Kowalski

PODRÓŻE

118 **MOJE SZLAKI: ROBERT CZEBOTAR**
Jolanta Gajda-Zadworna

119 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

120 **NASZA NARODOWA KONDYCJA**
Alina Czerniakowska

121 **WAŁĘSA WALCZY O „LEWĄ NOGĘ" W SENACIE**
Jerzy Jachowicz

122 **ORDYNACJA IDÉE FIXE**
Wojciech Reszczyński

123 **FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki

124 **NOBEL, NOBEL I… NOBEL**
Aleksander Nalaskowski

126 **UDERZ W STÓŁ…**
Jan Pospieszalski

127 **DALIŚMY RADĘ**
Katarzyna Łaniewska

128 **POGWARKI WYBORCZE**
Ryszard Makowski

129 **JAK NA POETĘ ROMANTYCZNEGO PRZYSTAŁO**
Leszek Długosz

130 **KIEDY STARCIE WIZJI?**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

12/0919/F

eprasa.pl 3ca8d795e7

ZAPALASZ SILNIK GASISZ POŻAR



#DobryKierowca

Kupując na stacjach ORLEN, wspierasz
ORLEN DLA STRAŻAKÓW

Fundacja ORLEN, od blisko 20 lat, przekazuje środki na zakup sprzętu dla komend Państwowej Straży Pożarnej oraz jednostek Ochotniczej Straży Pożarnej.

Dowiedz się więcej na:
www.dobrykierowca.orlen.pl

ORLEN

eprasa.pl 3ca8d795e7



Sygnalista nadaje

Lewicowo-liberalne media próbują narzucić swoją interpretację wyniku wyborów, ogłaszając: „PiS ma władzę, a opozycja większość wyborców” (tygodnik „Polityka”). Gdyby tę regułę stosować konsekwentnie, to właściwie żaden rząd w Europie nie miałby legitymacji do rządzenia, bo rzadko który ma za sobą 50 proc. głosów. Ale ważniejsze jest coś innego: to na listy prawicowe padła ponad połowa głosów. To nie opozycja zyskała te kilka punktów, które przybyło od maja Konfederacji, ale PiS je straciło. Zapewne tymczasowo.

PiS wybory wygrało tak, jak jeszcze nikt w III RP, ale cieszy się umiarkowanie, bo liczyło na więcej, na historyczne przełamanie. Miał rację Kaczyński, do końca apelując o mobilizację i walkę o każdy głos, i przestrzegając, że sondaże to tylko sondaże. Czy można było zdobyć więcej? Gra o 45 proc. to już akrobatyka na dużej wysokości. Każdy ruch ma swoje skutki na kilku polach i wszystkiego nie można przewidzieć. Jedno pytanie warto jednak postawić: czy gdyby zarejestrowało się więcej małych komitetów, Konfederacja zebrałaby aż tyle?

Teraz PiS musi szybko ruszyć do przodu, pokazując, że mimo utraty Senatu – również być może tymczasowej – może nie tylko skutecznie rządzić, ale również zmieniać Polskę, także tam, gdzie napotka silny opór. Paradoksalnie, może to wszystko otrzeźwi prawicę, której część czuła się już zbyt pewnie, uważając, że władza jej się po prostu należy? A przecież by rządzić, prawica musi codziennie zasuwać dwa razy ciężej niż konkurencja.

***Donald Tusk** wciąż nie powinszował zwycięzcy polskich wyborów (przynajmniej nie do zamknięcia tygodnika). „Ledwie tydzień temu Donald Tusk gratulował kanclerzowi Austrii wygranych wyborów i drugiej kadencji. Poszło pismo, tweet po angielsku i tweet po niemiecku. Tymczasem po wyborach w Polsce gratulacji od Tuska nie widać” – zauważył bloger Paweł Rybicki. Co znamienne, już mało kogo to dziwi. Już wiemy, że z tej strony można się spodziewać i wszystkiego, i niczego.*

Zdaniem opozycji PiS osiągnęło szczyt potęgi i teraz będzie tylko traciło. „Kaczyński brzmiał jak człowiek, który po długiej wspinaczce zdobył szczyt, rozejrzał się i zrozumiał, że teraz może już tylko schodzić” – to red. Wojciech Szacki w „Polityce”. Bartłomiej Sienkiewicz brutalniej: „Zaczął się proces odciągania PiS-u od władzy, bo jeśli po czterech latach, wydanych 80 mld zł (...), największej maszynie propagandowej, jaką uruchomili rządzący, mają niemalże tylu samo posłów co cztery lata temu i stracili Senat, to nie są normalne wybory”. Posłów tylu samo, ale głosów grubo więcej i procent też większy. Jeśli prezydent Duda wygra, to opozycję czeka marny los. W maju będzie bój o wszystko.

Sienkiewicz narzeka także na krzywdę opozycji. „Wygrana PiS-u nie jest taką zwykłą wygraną, co zresztą misje obserwacyjne zauważyły. Odbyło się to w sytuacji absolutnej nierównowagi w dostępie do informacji. Dwa miliony ludzi nie mają dostępu do innej telewizji niż Telewizja Publiczna, która w sposób niebywały w historii Polski i Europy dokonywała manipulacji w czasie tej kampanii”. Ciekawe, co powie o sytuacji, gdy przed rokiem 2015 niemal 100 proc. Polaków nie miało dostępu do innej dużej telewizji niż te, które wychwalały PO. Pewnie nic, bo nie widział, nie słyszał, nie zauważał.

Tymczasem pierwszym celem powyborczych ataków wewnątrz zwycięskiego obozu stał się właśnie

eprasa.pl 3ca8d795e7

prezes TVP ***Jacek Kurski***. Zarzuty różne: a to, że zapraszano i pokazywano nie tych, co trzeba, że mało było kandydatów na senatorów. Także to, że w ostatnich dniach wdał się w dyskusyjną bitkę z Konfederacją. Wreszcie, że „Wiadomości" są zbyt propagandowe. We wszystkim jest pewnie ziarno prawdy, ale tu można powiedzieć tylko jedno: gdy go zabraknie, szybko zatęsknicie. I być może także zapłaczecie.



Ciekawe zjawisko: słabe wyniki wielu partyjnych tuzów, udane wybory dla młodych, energicznych posłów, i to z różnych skrzydeł PiS. Wyborcy też dojrzewają: coraz rzadziej głosują na wskazane jedynki, coraz częściej próbują świadomie kształtować oblicze swoich partii. I coraz większe znaczenie ma wysiłek włożony w dany okręg, nawet obfita obecność w mediach centralnych niczego nie gwarantuje, choć pewnie i nie szkodzi. W sumie pozytywne zjawisko.



Opozycja ma już plan zdobycia władzy. „Po pierwsze: wygrać Senat i stworzyć silną opozycję. Po drugie: stworzyć takiego kandydata na prezydenta, który pokona Andrzeja Dudę. Po trzecie: doprowadzić do przyspieszonych wyborów, bo tego chcą Polacy, bo większość Polaków głosowała przeciwko PiS w tych wyborach" – ogłosił poseł Koalicji Obywatelskiej Piotr Borys, dodając: „Wyznaczyliśmy sobie bardzo czytelne cele". Dobrze, że mu się to wymsknęło, lepiej wiedzieć, niż nie wiedzieć.



Noblistka Olga Tokarczuk zaczęła spłacać dług. „Rozczarowana? To mało powiedziane, jestem wkurzona! (...) W ogóle ten podział na jedną i drugą stronę jest nienormalny, nie do wiary, że polityka może aż tak polaryzować. My, Polacy, przechodzimy swoistą grypę psychiczną" – stwierdziła w powyborczym komentarzu. Czy jej książki są równie nielogiczne? Bo przecież sama nakręca podział, a potem płacze, że naród podzielony. A może to cynizm? No i czy noblistka nie mogłaby choć spróbować łączyć Polaków?



Tuż przed wyborami prof. Andrzej Nowak stwierdził w rozmowie z portalem wPolityce.pl: „Wiara w moc sprawczą słów wypowiadanych przez nową noblistkę i nagłośnionych przez wspomniane tytuły zakrawa na objaw braku racjonalnego rozeznania, jak wygląda demokratyczna polityka, ani tego, kto idzie do wyborów i dlaczego". Profesor zasadniczo ma rację, to była jednak ingerencja przedwyborcza i niewykluczone, że jakoś skuteczna.

„Gdyby politycy PiS uważnie czytali książki Olgi Tokarczuk, gdyby w ogóle je czytali, nie rujnowaliby polskiej demokracji" – ogłosił z kolei Krzysztof Mieszkowski, który także dostał się do Sejmu. Gdyby Mieszkowski czytał coś więcej niż książki Tokarczuk i w stylu Tokarczuk, rozumiałby, że PiS odbudowuje Polską demokrację, a nie ją niszczy. Poza tym Kaczyński czytał Tokarczuk, zanim to było modne.

Mieszkowski zdaje się także marzyć o zemście. „Trzeba to mocno powiedzieć. Współodpowiedzialność za populistyczny reżim ponoszą wyborcy, którzy oddali głos na PiS. Kantor mówił, że do teatru nie wchodzi się bezkarnie. Podobnie trzeba ponosić odpowiedzialność za wspieranie antydemokratycznego państwa PiS". Pytanie tylko, jak tych wyborców zidentyfikować?

Z pomysłem na rozwiązanie problemu pospieszył Wadim Tyszkiewicz, prezydent Nowej Soli, świeżo wybrany senator RP. „Szkoda, że oddane głosy na PiS nie są jawne. Każdy, kto zagłosował za dyktaturą, przeciw wolności i demokracji, każdy, kto świadomie sprzedał się za parę złotych, powinien za jakiś czas spojrzeć w lustro, kiedy kurtyna fałszu opadnie, kiedy Kaczyński pokaże prawdziwe swoje oblicze, które ja znam. Wtedy pozostanie wam tylko wstyd" – ogłosił. Ten człowiek naprawdę nadaje się do zdominowanej przez opozycję „izby refleksji".

Z kolei ***Grzegorz Schetyna*** ma dla izby wyższej konkretną propozycję. „To Senat powinien kontrolować rząd" – oświadczył, choć art. 95 ust. 1 i 2 konstytucji mówią jasno: „Władzę ustawodawczą w Rzeczypospolitej Polskiej sprawują Sejm i Senat" oraz „Sejm sprawuje kontrolę nad działalnością Rady Ministrów". Kto wie, czy w tej kadencji to posłowie PiS nie będą chodzili w koszulkach z wypisanym wielkimi literami słowem „KON-STY-TUC-JA"?

Do grona ludzi obrażających wyborców PiS dołączył poseł ***Janusz Korwin-Mikke***. „Przeciętny wyborca PiS człowiekiem inteligentnym nie jest, na co dowodem jest to, że głosował na PiS" – rzucił w swoim dobrze znanym stylu. Do tych słów odniósł się Dominik Tarczyński: „W imieniu tysięcy wyborców, którzy oddali na mnie głos, wypłacę w Sejmie temu szaleńcowi sprawiedliwość zgodnie z kodeksem honorowym. Przy pierwszym spotkaniu" – zapowiedział poseł PiS. Chyba jednak nie warto.

Fot. Andrzej Skwarczyński x3, Andrzej Wiktor

eprasa.pl 3ca8d795e7

Gladiator Shrek



KRZYSZTOF FEUSETTE

Niech to szlag, szarańcza ich mać. No, ale kto mógł się spodziewać? Poza mną oczywiście. A mówiłem, tłumaczyłem, jak krowie na rowie: chcecie, to mnie wycofajcie, ale żebyście potem nie płakali. Bo i tak się nie wycofam. Zresztą, w imię czego? Kto tę partię, tymi rękami, z popeliny lepił? Kto nie patrzył na osobiste korzyści, tylko pichcił obywatelską formację, jak, za przeproszeniem, zupę na winie – kto się nawinie, ten wchodzi? Kto musiał zęby szczerzyć do przygłupów terenowych, żeby chcieli łaskawie zady z foteli ruszyć i struktury budować? Kto musiał pazury pokazać, jak mu się palant jeden z drugim do konkurencji rwał? Myślicie, że tylko w Tczewie są „po...eby", jak to Sławek Nołnejm mawia?

To porażką pachniało od początku. Kampania wyborcza w toku, a swołocz się uparła, żeby badania wizerunkowe za granicą zamawiać. No, ale jak się chce psa uderzyć, to się go w schronisku nie odwiedza. Siadło pięciu gości, okulary za sto tysięcy, zmarszczki wygładzone za drugie tyle – i wymyślili, że trzeba mnie wymienić. Na babę! Mówię im grzecznie: koleżanki, koledzy, przecież ja się tak przebiorę, że mnie nawet w tefałenie nie poznacie. Ja bym sobie taką kieckę załatwił, że te cizie od „Jurnego" to jest mały pikuś. Ale nie – uparli się, kobita musi być prawdziwa i żeby się z partią za bardzo nie kojarzyła. Jak Szczerba z Grabcem to usłyszeli, dawaj się ścigać, który jest mniej kojarzony. Gdybyśmy im puzzli nie dali, toby się pozabijali. I się zaczęło: Zdanowska byłaby dobra, gdyby nie drobny szczegół, że Zimocha nie poparła. Dulkiewicz w tłoku jeszcze by uszła, tyle że – jak Sławek na taśmie wspominał – Paweł w Gdańsku wszystkich swoich co zdolniejszych zastępców od razu wycinał. Jej nie wyciął – mówi to państwu coś?

Czyli że Małgosia. Piękna chwila była, bardzo wzruszająca, bo jak zaczęła każdego po kolei przytulać, to nam do rana zeszło. Ja od bladego świtu musiałem już po telewizjach łazić – że jakby co, to jestem, a w międzyczasie Gosia telepromptery opanowywała. Łatwo nie było, bo jak jej się zez rozbieżny robił, to natychmiast program gubiła. Z drugiej strony – kiedy coś się zgubi, to znaczy, że to coś istnieje, prawda? To trochę tak, jak z poparciem dla nas. Było większe, jest mniejsze, ale kiedyś znowu będzie większe. Ja wam to obiecuję. Obiecałem, że wygramy samorządowe? Obiecałem. Obiecałem, że wygramy europejskie? Owszem. Obiecałem, że wygramy parlamentarne? Jak najbardziej. I dotrzymam słowa. Ale najpierw wygramy prezydenckie. Obiecuję.

Tylko – żeby była jasność – muszą zostać spełnione odpowiednie warunki. Po pierwsze, musimy mocniej promować posłankę Jachirę. Nie może być tak, że ona wyjdzie na mównicę i zacznie machać biustonoszem, a u nas będzie cisza w ławach. Albo że w Senacie będziemy udawać, że Gawłowskiego nie znamy. Owszem, ma chłop siedem zarzutów prokuratorskich, ale przecież nie po to nikogo mu w okręgu nie wystawialiśmy, żeby przegrał, prawda? Jest na sali ktoś, kto chciałby, żeby „Gaweł" zaczął mówić? No, właśnie.

Po drugie, jak będzie ktoś z najwyższego kierownictwa partii jechał w tak zwany teren i tam próbował coś tym tak zwanym działaczom wytłumaczyć po dobroci, to weźcie i powiedzcie im od razu, że żadnego nagrywania. Sławek już za to zapłacił, zapytajcie go, czy mu fajnie, jak mu tylko 1,2 tys. głosów w Tczewie zostało. Inna sprawa, że nasz elektorat nie zawsze potrafił poradzić sobie z kartą do głosowania. Za cztery lata trzeba wyrzucić z karty kwadraciki inne niż te na głos przeznaczone, bo ludzie nam potem po logo mażą. Jak się komuś nie podoba, niech wstanie i powie, a nie skrobie przy kamerach. A najlepiej byłoby od razu drukować krzyżyki w kratkach opozycji. Jakby delikwent uznał, że chce zagłosować inaczej, niż wskazano w gazetce wyborczej, to zawsze można przytulić i wytłumaczyć.

Podsumowując zatem nieco szerzej naszą rewelacyjną kampanię: wszystko to jest najprawdopodobniej klątwa Donalda, niech zagraniczna będzie jego kariera. Bo to on mnie nazwał połączeniem Shreka i „Gladiatora". Dopóki był w kraju, to ja się czułem jak ten drugi. A najbardziej wtedy, jak Cezar kciuk w dół skierował i z rządu wyleciałem. Potem z kolei ten Shrek zaczął się we mnie odzywać. Gdzie się nie obejrzałem, tam jakiś osioł biegał przy nodze. A jak się te Fiony z Nowoczesnej w kupę zebrały, to już wiedziałem: Grzegorzu, zniszczą cię.

Dzisiaj, jak widzicie, staję przed wami w prawdzie. Wprawdzie nie staję, tylko siedzę, i nie w telewizorze, ale w internecie (pani Ostaszewska, jakby potrzebowała, to nam trochę wi-fi z kampanii zostało) – jednak wiedzcie: ja was w potrzebie nie opuszczę. Widzę, jak na mnie patrzycie i dostrzegam w waszych oczach tyle nadziei, że aż mi się znowu chce coś obiecać. Co powiecie na przykład na to, żebyśmy przed wyborami prezydenckimi jeszcze większego fikołka wykonali niż teraz z „premierą" Małgosią? Miał nie być Schetyna premierem, to nie będzie, nie ma sprawy. Miała Kidawa-Błońska startować w prezydenckich? Miała. A tu, hop-siup, zmiana, wystartuje ktoś inny. Oczywiście, też kobitka, tylko trochę mniej przytulająca się. Fajny pomysł, co? Kto jest przeciw – nie widzę, a kto się wstrzymał, ten może już lecieć, zanim mu Szczerba toalety nie zajmie... A ty, Sławeczku, dzwoń od razu do Grodzkiej i zapytaj, czy nie ma jakiejś garsonki dla faceta pożyczyć. Oddam – obiecuję.

77/1019/F

eprasa.pl 3ca8d795e7

PIERWSZA NAGRODA GŁÓWNA
w konkursie The Best Annual Report 2018 dla PGNiG SA
w kategorii Przedsiębiorstwa



- Kompletne źródło wiedzy dla akcjonariuszy i inwestorów
- Wyróżnienie za wartość użytkową raportu rocznego
- Multimedialna publikacja online
- Komentarze Prezesa Zarządu
- Interaktywne elementy ułatwiające analizę wyników
- Trójwymiarowe animacje
- Wyróżnienie za zastosowanie MSSF/MSR

Zobacz najlepszy raport roczny w Polsce na stronie **pgnig2018.pl**

2018 The Best Annual Report

PGNiG

eprasa.pl 3ca8d795e7

Czarnomorski przyczółek

Rumunia



Aneksja Krymu przez Rosję oraz nieprzewidywalna polityka Turcji sprawiły, że Amerykanie zaczęli się rozglądać za nowym przyczółkiem militarnym nad Morzem Czarnym. Ich wybór padł na Rumunię, która wspólnie z Polską staje się kluczowym elementem systemu obronnego wschodniej flanki NATO. Władze w Bukareszcie, które główne zagrożenie dla bezpieczeństwa swego kraju upatrują w neoimperialnej polityce Moskwy, same od dawna zabiegały o obecność wojskową Amerykanów. W związku z tym ostatnio przedstawiły plan zainwestowania w ciągu najbliższych 20 lat aż 2,6 mld eurow rozbudowę i modernizację bazy lotniczej „Mihail Kogălniceanu" w Dobrudży. Decyzja zapadła po sierpniowym spotkaniu prezydentów Klausa Iohannisa i Donalda Trumpa w Waszyngtonie.

Od lutego 2018 r. we wspomnianej bazie stacjonuje już ok. 500 amerykańskich żołnierzy oraz eskadra samolotów Typhoon z RAF. Od kilkunastu miesięcy regularnie wzbijają się one w powietrze, by przechwytywać rosyjskie myśliwce stale naruszające przestrzeń powietrzną Rumunii. Docelowo „Mihail Kogălniceanu" ma zamienić się w małe miasteczko zdolne pomieścić nie tylko 10 tys. żołnierzy i samoloty F-35, lecz także rozbudowaną infrastrukturę z przedszkolami, klubami sportowymi i szpitalem.

Rumunia przeprowadza też coroczne ćwiczenia wojskowe NATO na Morzu Czarnym, w których uczestniczy nie tylko sąsiednia Bułgaria, lecz również dwa inne kraje leżące nad tym akwenem i doświadczone niedawno rosyjską inwazją – Ukraina i Gruzja.

Obecna administracja USA wspiera projekt powstania nowego formatu bezpieczeństwa w Europie, kontrolującego cały korytarz bałtycko-czarnomorski. Nazwijmy ten format „S" – w taki bowiem kształt układa się ciąg państw od Estonii, przez Łotwę, Litwę, Polskę i Ukrainę, aż po Rumunię. Tylko one w naszym regionie widzą zagrożenie ze strony Kremla i najsilniej opowiadają się za obecnością armii amerykańskiej na kontynencie.

Grzegorz Górny

Fot. kafeirkolik/Shutterstock.com

Syria

Turcja, NATO, sankcje



Sytuacja w związku z akcją militarną Turcji w Syrii staje się coraz bardziej skomplikowana i ujawnia słabość polityki państw europejskich i Stanów Zjednoczonych. Obiektywnie działa również na wzrost regionalnej pozycji Rosji. Kurdowie, zagrożeni tureckim natarciem, zwrócili się do rządu Baszszara al-Asada z propozycją rozmów i wsparcia. Negocjacje toczyły się w rosyjskiej bazie lotniczej w Latakii i doprowadziły do wejścia syryjskich sił rządowych na południowe części terenów kontrolowanych wcześniej przez Kurdów.

Obserwatorzy zwracają uwagę, że poza jednym przypadkiem siły syryjskie nie przekraczają 30-kilometrowej strefy buforowej, którą Turcja chce stworzyć na południe od swojej granicy. Sytuacja może się zmienić w każdej chwili, ale nie ulega wątpliwości, że ten ruch wzmocnił Asada, a osłabił siły kurdyjskie. Obecnie uzyskanie przez nich daleko posuniętej samodzielności politycznej wydaje się mniej prawdopodobne aniżeli przed akcją Turcji. Doprowadzenie do takiej sytuacji było też jednym z celów Ankary obawiającej się federalizacji Syrii, co mogło się stać inspiracją dla kurdyjskiej mniejszości zamieszkującej Turcję.

Stany Zjednoczone w odpowiedzi na turecką akcję militarną ogłosiły wycofanie własnych oddziałów z regionu oraz wprowadzenie sankcji ekonomicznych polegających na podniesieniu o 25 proc. ceł na turecką stal oraz wprowadzenia personalnych ograniczeń dla trzech tureckich ministrów. Krytykująca politykę Białego Domu opozycja jest jednak zdania, że to zasłona dymna służąca uspokojeniu opinii publicznej, zwłaszcza że antyturecki cła zostały w maju tego roku obniżone i obecna ich podwyżka jest jedynie powrotem do stanu wcześniejszego.

Rosja niewątpliwie wzmacnia swoją pozycję w Syrii i w świecie państw arabskich. Cytowani przez rosyjskie media eksperci są zdania, że Moskwa wyrasta na głównego rozgrywającego w regionie, z którym każda ze stron konfliktu jest gotowa rozmawiać. Dodatkowo zwracają uwagę na to, iż Rosja może „w nagrodę" za swe zaangażowanie otrzymać kontrolę nad syryjskimi polami naftowymi kontrolowanymi nadal przez siły kurdyjskie.

NATO i państwa europejskie w obliczu tureckiej akcji zbrojnej znalazły się w trudnym położeniu. Część z nich, jak Francja, Niemcy, Holandia czy Finlandia, wprowadziła embargo na eksport broni do Turcji i domaga się zdecydowanych działań dyplomatycznych. Wspólną akcję Unii Europejskiej zablokowała jednak Wielka Brytania opowiadająca się za bardziej umiarkowanymi działaniami. W tym samym czasie Viktor Orbán przebywał w Baku, gdzie odbywało się spotkanie forum państw języka tureckiego, w którego trakcie trwały normalne rozmowy z udziałem Recepa Erdoğana.

Sekretarz generalny NATO z wyraźną ulgą przyjął wiadomość, że nie doszło do starć wojsk tureckich z rządową armią syryjską, bo w przeciwnym razie Sojusz w związku z zapisami artykułu 5 znalazłby się w trudnej sytuacji. Pytanie, czy artykuł 5 jeszcze w ogóle obowiązuje.

Marek Budzisz

Fot. kafeirkolik/Shutterstock.com

eprasa.pl 3ca8d795e7



Strach przed chińską cenzurą

USA

Zaczęło się niewinnie. Daryl Morey, menedżer drużyny NBA Houston Rockets, zamieścił na Twitterze wpis popierający antychińskie protesty w Hongkongu. W odpowiedzi Chińskie Stowarzyszenie Koszykówki zapowiedziało zawieszenie współpracy z jego drużyną, a telewizja chińska postraszyła zawieszeniem transmisji meczów. To samo zrobiła internetowa firma Tencent, która zajmuje się w Chinach streamingiem meczów NBA. Producent obuwia Li-Ning i producent smartfonów Vivo, który był sponsorem meczów towarzyskich Los Angeles Lakers i Brooklyn Nets w Chinach, również zapowiedzieli bojkot NBA. Amerykańską koszykówkę oglądało w sezonie 2018/19 ok. 490 mln Chińczyków – czyli więcej, niż wynosi liczba obywateli USA. Chiński straszak musiał zaboleć.

Morey skasował tweeta i pokornie przeprosił, a rzecznik ligi NBA Michael Bass napisał w oświadczeniu, że ubolewa, iż „głęboko urażono wielu przyjaciół i fanów w Chinach". Kilka dni później „New York Times" napisał, że konflikt zostanie zażegnany.

Drugi przypadek był zupełnie inny. Gdy kilkanaście tygodni temu w internecie zaczęto porównywać prezydenta Chin Xi Jinpinga do Kubusia Puchatka, popularna kreskówka zniknęła z chińskiej sieci. Twórcy amerykańskiego „South Parku", którzy od ponad 20 lat łamią wszystkie normy poprawności politycznej, postanowili sobie z tego zakpić. W jednym z ostatnich odcinków umieścili Kubusia w celi więziennej, gdzie spotyka on jednego z bohaterów kreskówki, który jedzie do Chin sprzedawać swoje produkty. W efekcie wszystko, co jest związane z „South Parkiem", natychmiast zniknęło z chińskiego internetu.

Matt Stone i Trey Parker niezbyt się przejęli cenzurą. Twórcy „South Parku" od razu wypuścili komunikat: „Podobnie jak NBA zapraszamy chińskich cenzorów do naszych domów i serc. My też kochamy pieniądze bardziej niż wolność i demokrację. Xi w ogóle nie wygląda jak Kubuś Puchatek. Niech długo żyje Wielka Komunistyczna Partia Chin. Czy teraz jesteśmy w porządku?". W kolejnym odcinku powiedzieli zaś ustami jednego ze swoich bohaterów wprost do kamery: „Pierd...ć chiński rząd".

Jednak NBA i Hollywood, które już kroi własne filmy tak, by zarabiały na rynku chińskim, nie są w stanie tak odpowiedzieć reżimowi. W nadchodzącym „Top Gun 2" zdjęto z munduru Toma Cruise'a flagi Tajwanu i Japonii, a „Bohemian Rhapsody" został w Chinach wykastrowany ze wszystkich scen nawiązujących do homoseksualizmu Freddiego Mercury'ego. Gdzie głos oburzenia wrażliwej na sprawy LGBT lewicy? Przykryty juanami?

Łukasz Adamski

Spirala przemocy

RPA

Republika Południowej Afryki – niegdyś najbardziej kwitnący kraj Czarnego Lądu – stopniowo stacza się ku chaosowi. W zastraszającym tempie rośnie korupcja i przestępczość. Kolejne rządy nie są w stanie zaspokoić podstawowych potrzeb materialnych obywateli. Zamiast tego próbują skierować rosnącą frustrację i agresję tłumu przeciwko tym, którym – jak twierdzą – lepiej się powodzi.

Od wielu lat rolę kozła ofiarnego gra miejscowa biała ludność, którą władze chcą wywłaszczyć bez odszkodowania. Te zapowiedzi nakręciły spiralę agresji. Wielu białych farmerów padło śmiertelną ofiarą napadów, niektórzy uciekli za granicę, inni koczują w slumsach, pozbawieni – wraz z rodzinami – pracy i jakiejkolwiek opieki socjalnej. O ich losie niewiele się na świecie mówi.

Taka polityka, motywowanej rasowo i ekonomicznie grabieży własności, zaczyna się jednak wymykać władzom spod kontroli. Coraz częściej celem napaści stają się bowiem także przybysze z innych państw afrykańskich. Chodzi przede wszystkim o imigrantów zarobkowych, którzy masowo ściągają do RPA jeszcze od czasów apartheidu. Miejscowi mają za złe imigrantom, że ci gotowi są pracować za niewielkie pieniądze, i co jakiś czas urządzają przybyszom lokalne pogromy.

Ostatnio ofiarą zorganizowanych pogromów stali się Nigeryjczycy. We wrześniu tłum uzbrojony w prowizoryczną broń zaatakował firmy i domy będące własnością cudzoziemców. W zajściach zginęło 12 osób, a dziesiątki innych odniosły poważne rany. Obiektem ataku stało się łącznie ponad tysiąc firm należących do Nigeryjczyków lub zatrudniających imigrantów.

W odpowiedzi na tę falę przemocy Nigeryjczycy zorganizowali u siebie odwet. Rozzłoszczone tłumy zaatakowały placówki handlowe należące do południowoafrykańskich koncernów. Obiektem napaści stały się także misje dyplomatyczne RPA w Lagos i w stolicy Nigerii Abudży, które zostały ewakuowane i zamknięte. Jednocześnie prezydent Nigerii Muhammadu Buhari ogłosił, że jego rząd przystąpi do ewakuacji Nigeryjczyków z RPA, aby uchronić ich przed przemocą.

Po stronie Nigerii opowiedziało się wiele rządów afrykańskich, które zaczęły wzywać do bojkotu firm południowoafrykańskich, zwłaszcza że wśród ofiar pogromów znaleźli się również imigranci z innych państw, m.in. z Malawi i Zimbabwe. Wielu z nich zostało zmuszonych do natychmiastowej ucieczki.

Dopiero wtedy, gdy sprawy przybrały taki obrót, prezydent RPA Cyril Ramaphosa podjął próbę załagodzenia sytuacji. Na początku października RPA odwiedził prezydent Buhari, który przyjął wyrazy ubolewania ze strony Ramaphosy. Obaj prezydenci zdecydowali też, że podejmą „odpowiednie kroki", aby nie doszło do podobnych wypadków w przyszłości.

Można wątpić w tę deklarację. Świadomie tolerowanej przemocy, która objęła nie tylko białą ludność, lecz również czarnych imigrantów, nie da się tak już łatwo zatrzymać

Konrad Kołodziejski

eprasa.pl 3ca8d795e7

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Rodzina nie jest organizacją partyjną



Jan Pietrzak

Nigdy nie jest tak dobrze, żeby nie mogło być lepiej. To dotyczy wszystkich sfer życia, lecz szczególnie polityki, w tym rezultatu wyborów. Jakkolwiek kombinować – zawsze mogło pójść lepiej. Ale jest, jak jest i trzeba się z tym pogodzić, nie marudzić, nie dręczyć rodziny. Zwłaszcza że rodziny są porozbijane w sposób niemiłosierny.

Szanując demokrację w skali państwa, czasami niełatwo respektować ją w rodzinie. Najprostsze podziały: starzy kontra młodzi, siostra kontra brat, szwagier versus ciotka, dziadek przeciw wnukom itp. Miejmy nadzieję, że za parę dni emocje wyborcze wygasną pod wpływem realnych spraw, jakie niesie życie. Należy co bardziej zapalczywym domownikom, krewniakom, kuzynom przypominać, że rodzina nie jest organizacją partyjną. Jest fundamentem ludzkiego istnienia i ma uświęcony przez stwórcę status. Jak w Peerelu żartowałem – jest podstawową komórką społeczną, dlatego mieszka w komórce.

Partie są doraźną formą organizacji społeczeństwa, służącą załatwieniu jakiejś ważnej sprawy lub idei. Sprawy są lepsze, gorsze, idee mądre lub głupie, ale skoro jakaś społeczność ma dostateczną moc, by wspólnie o nie powalczyć – ma prawo. Pamiętamy Samoobronę, partię, która powstała, blokując drogi i wznosząc jeden okrzyk: „Złodzieje!". Na tym prostym haśle zbudowano siłę polityczną, która co prawda niewiele osiągnęła, ale pokazała, że to możliwe. Warunkiem jest, że ludzie łączą się w sprawie polskiej, a nie narzuconej i opłacanej przez obce złe moce, które wokół nas buzują.

Mamy zbyt bolesne doświadczenia z ideami przywożonymi na czołgach, by obojętnie patrzeć na ideologię rozwożoną autokarami po polskich miastach pod nazwą parady równości. Jeżeli w jakimś mieście ktoś odczuwa deficyt równości, demokracja daje mu szansę. Może wyjść na ulicę, założyć partię, zdobyć miejsce w parlamencie. Natomiast jeżeli na polskie miasto napada desant przebierańców, by zaprowadzić tu swoją równość, sprawa jest nieczysta. Do akcji powinny wkroczyć siły porządkowe...

O demokrację należy nie tylko walczyć w kampanii wyborczej, ale po walce respektować wolę zwycięzców, bo rodzina nie jest rezultatem gier politycznych, lecz efektem miłości... A to coś znacznie ważniejszego od polityki.

Aida według Eltona Johna

Z Janem Traczykiem, aktorem, wokalistą, kompozytorem i autorem tekstów, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Zszedł pan już na ziemię?

Jan Traczyk: Tylko trochę. Po świetnie przyjętych „Pilotach" najnowsza premiera Teatru Muzycznego Roma, czyli „Aida", odrywania się w przestworza – w dosłownym znaczeniu – nie przewiduje. Widzowie mogą się jednak spodziewać wysokich scenicznych lotów. Spektaklu zarazem dynamicznie i poruszająco opowiedzianego muzyką. Trochę w stylu lat 80., choć tłem wydarzeń jest starożytny Egipt.

Tytuł może się kojarzyć z operową klasyką.

Ale to przełożona na współczesny język broadwayowska historia zakazanej miłości Aidy – wziętej do niewoli nubijskiej księżniczki – i dowódcy egipskich wojsk. Od czasu prapremiery w 2000 r. musical z sukcesami wędruje po świecie, co nie dziwi, bo stoją za tym tytułem wspaniałe nazwiska. Muzykę do słów Tima Rice'a, jednego z najbardziej znanych autorów tekstów, skomponował sam Elton John. Czuje się, że pisał ją wokalista. Świetnie się te utwory śpiewa.

W kogo się pan wciela?

W Radamesa, dowódcę egipskiej armii. To twardy wojownik, któremu – co się z czasem okazuje – nie brak też wrażliwości.



Pana głos i twarz rozpoznają nie tylko widzowie „Pilotów", jak się wydaje, katapulty kolejnych pana sukcesów?

Rzeczywiście, od tamtej premiery sprawy dobrze się układają. Wziąłem udział w programie „Twoja twarz brzmi znajomo", dałem sporo koncertów, udało się też parę innych teatralnych projektów, a teraz przygotowuję wydanie płyty. Dziś jednak najważniejsza jest „Aida".

eprasa.pl 3ca8d795e7

BRONISŁAW WILDSTEIN

Natura i natura

Współcześnie ekologizm stał się idealnym uzasadnieniem dla projektantów doczesnej szczęśliwości, którzy dla realizacji tego zadania uzyskać muszą tylko pełnię władzy nad ludzkim światem



Fot. Andrzej Wiktor

Ekologia staje się dziś świecką religią. To już nie tylko obrona naturalnego środowiska, które rzeczywiście obrony wymaga, chociaż nie w taki sposób, w jaki się to nam dzisiaj wmawia. To coraz modniejszy styl życia. Weganizm np. precyzyjnie reguluje życie wyznawców i to jest podstawa do wątpliwości, jakie można wobec niego żywić. Sama idea, aby nie zadawać cierpień zwierzętom, jest szlachetna, jeśli jednak współczucie dla nich przeważać zaczyna nad współczuciem dla ludzi, sytuacja robi się niebezpieczna.

Ekologia ma i musi mieć rodowód konserwatywny. Stanowi przecież ochronę tego, co jest, broni tego, co trwałe i niezmienne. Jako ruch społeczny pojawiała się na przełomie XIX i XX w., chociaż antycypowana była w romantyzmie z jego niechęcią do miejskiego „odczłowieczającego" życia. Wypływała z uznania wartości tradycyjnych form związanych z naturą bytowania. Konserwatywne myślenie wyrasta ze zrozumienia natury świata i człowieka jako jego mieszkańca. Zbyt gwałtowane zmiany naruszają naturalny porządek. Oderwany od przyrody, która ma również aspekt Boskiego ładu i piękna, człowiek nie potrafi odnaleźć właściwego sobie miejsca.

Prorocy lewicy i postępu odrzucali naturę rzeczy oraz człowieka i nienawidzili tradycyjnych modeli ludzkiej egzystencji. Domagali się emancypacji z nich. Marks bez żadnego uzasadnienia pisał o „idiotyzmie życia wiejskiego". Miasto, masa, maszyna były ich idolami. Obiektem adoracji i obowiązkowym elementem socrealistycznego pejzażu były dymiące kominy.

To dopiero kontestacja lat 60. ub.w. odwróciła się od industrialnego przemysłu. Od naiwnej ucieczki na truskawkowe pola prowadziła do wizji zniszczenia przemysłowego świata. Można uznać, że naturalna niepewność człowieka mieszkającego w zmieniającym się zbyt szybko otoczeniu, które nie współgra z jego potrzebami, została przejęta przez lewicę pod hasłem walki z kapitalizmem, czyli wolnym rynkiem. To ów kapitalizm miał być odpowiedzialny za wszelkie nieszczęścia rewolucji przemysłowej i zmiany warunków ludzkiego życia. Jak zwykle w lewicowej mentalności mieliśmy do czynienia z upraszczającym wszystko, a w rzeczywistości deformującym redukcjonizmem.

Współcześnie ekologizm stał się idealnym uzasadnieniem dla projektantów doczesnej szczęśliwości, którzy dla realizacji tego zadania uzyskać muszą tylko pełnię władzy nad ludzkim światem. Posługują się w tym celu prostymi hasłami, a obecnie jednym, czyli walką z emisją CO_2. W świecie rozchwianych norm ludzie, zwłaszcza młodzi, czują się zagubieni i rozpaczliwie pochłaniają dostarczany im w ekologicznej pigułce sens, zwłaszcza kiedy postraszy się ich widmem apokalipsy. Z prawdziwą ekologią ma to niewiele wspólnego, zwłaszcza że tzw. konsensus naukowców w sprawie wpływu człowieka na klimat jest raczej wymuszony, a nie oparty na podobno oczywistych danych. Natomiast cała krucjata w tej sprawie jest na rękę nie tylko macherom politycznym, ale i wielkiemu biznesowi, który doskonale wykorzystuje tego typu histerie.

Generalnie jednak obrońcy ekologii muszą akceptować pewne w miarę stałe dane przyrody i założyć, że istnieją bariery, których nie wolno nam przekraczać. Jednocześnie jednak rzecznicy tego podejścia przyjmują ideologię emancypacji, której zasadą jest uznanie, że człowiek może dowolnie się kształtować. Z jednej strony uznają, że należy bronić naturalnego środowiska, bez którego człowiek nie będzie mógł żyć, z drugiej – sądzą, że wszystko w podstawowych egzystencjalnych kwestiach jest sprawą wyboru. Z jednej głoszą, że ludzie potrzebują naturalnych warunków, z drugiej kwestionują wszelkie naturalne wspólnoty od narodowej po rodzinną. Z jednej są przekonani, że przyroda musi mieć określoną tożsamość – z drugiej negują tożsamość ludzką w najbardziej elementarnym, płciowym wymiarze. Z jednej troszczą się o rośliny, z drugiej – zabijanie płodów ludzkich uznają za sprawę obojętną.

Rozumieją, że człowiek potrzebuje naturalnego, przyrodniczego środowiska, ale negują potrzebę elementarnego dla niego, jego rodzinnego wymiaru. Afirmują porządek natury i odrzucają go w stosunku do bytu ludzkiego. Eksponują ład i piękno ekosystemu, a jednocześnie przekreślają istnienie obiektywnych miar ładu i piękna.

Ideologie zawsze usiane były niekonsekwencjami, ale w tym wypadku mamy do czynienia z fundamentalną sprzecznością. Czy z czasem nie musi to doprowadzić do zmiany postawy adeptów współczesnego ekologizmu?

eprasa.pl 3ca8d795e7

OGNIEM NA WPROST

Konie i spódnice



Napięcie wyborcze udzieliło się rodzimym islamistom. Warszawska Straż Miejska zatrzymała mężczyznę, który zniszczył pięć samochodów. Sprawca szalał na ulicy, rysując karoserie, jak wściekły gniótł blachę, wyrwał wycieraczki, tłukł lusterka. Opętańca w końcu przewieziono na komendę, a tam wyznał w chwili szczerości, jak ujawnił w rozmowie z PAP rzecznik stołecznej SM, że to nie kto inny tylko sam Allah nakazał mu niszczenie mienia „zgniłego kapitalizmu". Być może opinia publiczna potraktowałaby zachowanie sprawcy jako osobliwy akt desperacji o podłożu religijnym z gorączką wyborczą w tle, gdyby nie wykrycie w krwi potencjalnego „dżihadysty" alkoholu i śladów narkotyków. Zamiast pięknych i młodych dziewic w raju nadpobudliwy lokalny wyznawca proroka trafił w twarde ręce pielęgniarzy w warszawskiej izbie wytrzeźwień. Ale będzie punkt za męczeństwo.

Koreański tyran Kim Dzong Un, zwany „Prosiakiem", niczym Napoleon Bonaparte na Przełęczy św. Bernarda z obrazu Jaques'a-Louisa Davida dosiadł siwka i pogalopował przez zbocza góry Pektu. W pełnej symboliki otoczce północnokoreańskiego reżimu góra Pektu i biały koń odgrywają wyjątkowo ważną rolę. To tutaj miał się urodzić w 1941 r. ojciec obecnego dyktatora, Kim Dzong Il, a założyciel dynastii (dziadek) Kim Ir Sen ruszył na białym koniu do walki z Japończykami. Takie epokowe wydarzenie nie mogło umknąć uwadze północnokoreańskiej agencji informacyjnej KCNA, która zareagowała oświadczeniem: „Jego konny przejazd na górze Pektu jest wielkim wydarzeniem o doniosłym znaczeniu w historii rewolucji koreańskiej, [...] wszyscy towarzyszący mu urzędnicy, przepełnieni emocjami i radością, byli przekonani, że wkrótce odbędzie się wielka operacja, by ponownie zadziwić świat i zrobić kolejny krok w rewolucji koreańskiej". Zdaniem Joshuy Pollacka, eksperta ds. Korei Północnej z Middlebury Institute of International Studies w Kalifornii, „jest to jego [Kim Dzong Una] oświadczenie, symbol buntu". W ten sposób pokazuje, że przestał już dążyć do złagodzenia sankcji i „zaczęło się już wyznaczanie kierunków polityki na 2020 r.". Jakich? Może będzie to kolejne spotkanie z Donaldem Trumpem (tym razem na koniach) albo rytualne wystrzelenie rakiety?

Gottsunda to imigrancka dzielnica szwedzkiego miasta Uppsala, we wschodniej części kraju, około 70 km na północ od Sztokholmu. W lipcu 2016 r. w Gottsundzie doszło do zamieszek, które trwały przez dwie noce z rzędu. Lokalna policja czuje się tam tak, jak mniej więcej patrol niemieckiej żandarmerii na ulicach Warszawy przed wybuchem powstania warszawskiego. Dlatego niczym diabeł święconej wody unika wkraczania do tego zaklętego rewiru. Nagle z okazji Dnia Sportu zdobyli się na odwagę i odwiedzili jeden z tamtejszych ogródków dziecięcych. Akcja ta miała zapewnić opinię publiczną, iż policja czuwa nad „bezpieczeństwem i dba o zapobieganie przestępczości" na terenie Gottsundy, a także odbudować mocno nadwerężony stosunek obywateli do władzy. Zdaniem policji takie działania służą również nawiązywaniu kontaktów. W ich ramach jeden z umundurowanych funkcjonariuszy dosiadł okrakiem kija zwieńczonego końskim łbem. Udając zwierzę, przebierał nogami. Imitując galop, pokonał w ten sposób miniaturowy parkur (tor przeszkód). Nie wiadomo, czy dodawał sobie animuszu, wydając „odgłosy paszczą", oglądałem bowiem filmik w wersji bez dźwięku. Szwedzcy internauci jednoznacznie skomentowali występ policji w Gottsundzie. „No i zniknęło ostatnie zaufanie do glin" – stwierdza jeden. „Myślałam, że praca policji to utrzymanie prawa i porządku?! Co wy chcecie osiągnąć? Żenujące to jest. Nie myślałam, że na całym świecie jest gdzieś policja, która się w ten sposób zachowuje. Jest mi wstyd" – dodaje druga.

Pod kuratelą prezydenta miasta Poznania cały czas trwa akcja „Poznań od tyłu". Tym razem dyrekcja Szkoły Podstawowej nr 7 zaplanowała na 24 października Dzień Spódnicy. Rodzice otrzymali od jednej z nauczycielek informacje, by wszyscy uczniowie, także chłopcy, przyszli na lekcje w spódniczkach. Tak ubrane osoby miały nie być odpytywane. Oczywiście zdaniem organizatorów cała ta niby-zabawa miała nie mieć nic wspólnego z ideologią gender. Wokół tego pomysłu rozpętała się medialna burza. „W Poznaniu, którego ulicami przechodzą bezwstydne tęczowe marsze, szkoła zakłada chłopcom spódniczki i... twierdzi, że nie o to w ogóle chodzi. Paradne!" – wytykali przeciwnicy. Dyrekcja wspólnie z radą rodziców uległa presji opinii publicznej, w ostatniej chwili podejmując decyzję o rezygnacji z pomysłu zorganizowania Dnia Spódnicy. I słusznie. Chłopak nie jest przecież dziewczyną, podobnie jak Polska to nie Szkocja.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 3ca8d795e7

Wynalazki szybciej na rynku

Ochrona własności przemysłowej ma w Polsce ponadstuletnią tradycję. Ustanowienie Urzędu Patentowego i utworzenie zawodu rzecznika patentowego stanowiło jedną z pierwszych decyzji podjętych przez Józefa Piłsudskiego po objęciu urzędu Naczelnika Państwa. Po odzyskaniu niepodległości doskonale zdawano sobie sprawę z tego, jak istotne dla rozwoju państwa jest udzielenie wsparcia naukowcom i przedsiębiorcom tworzącym innowacyjne rozwiązania dla odradzającej się gospodarki.



Marta Kaczyńska-Zielińska

Współczesne wyzwania rozwojowe obligują do dostosowania przepisów prawa w sposób sprzyjający wdrażaniu nowych, kreatywnych pomysłów w możliwie krótkim czasie. Prawo nie może stanowić bariery dla postępu cywilizacyjnego i talentu przedsiębiorców tworzących start-upy czy kadry akademickiej tworzącej zaplecze intelektualne dla nowatorskich, biznesowych rozwiązań. Patenty zyskują w Europie coraz większą popularność. W ostatnim dwudziestoleciu ich liczba wzrosła blisko dziesięciokrotnie. W 2018 r. liczba polskich zgłoszeń do Europejskiego Urzędu Patentowego (EPO) zwiększyła się o niemal 20 proc. Przyrost nowatorskich pomysłów pochodzących z naszego kraju należy do największych w Europie! W ubiegłym roku złożono do EPO 534 zgłoszenia patentowe, a w 2017 r. – 446.

Idea zrównoważonego rozwoju, wedle której założeń działa rząd PiS, a także wola zwiększenia konkurencyjności rodzimej gospodarki zdeterminowały nowelizację przepisów prawa regulujących procedurę patentową. W ostatnich dniach parlament uchwalił przepisy upraszczające postępowanie przed Urzędem Patentowym i umożliwiające w czasie wspomnianej procedury korzystanie z pomocy prawnej adwokatów i radców prawnych, a nie jak uprzednio niemal wyłącznie przez rzeczników patentowych. Zgodnie z postulatami obywateli dostępność pomocy prawnej w zakresie prawa własności przemysłowej uległa znacznemu zwiększeniu. Nowi pełnomocnicy będą mogli reprezentować wynalazców w sprawach wzorów przemysłowych i oznaczeń geograficznych. Urząd Patentowy zacznie funkcjonować sprawniej dzięki ułatwieniu w korespondencji elektronicznej, do której nie będzie już konieczny wyłącznie bezpieczny podpis elektroniczny. Za równoważne z podpisem odręcznym uznawany będzie podpis składany za pomocą dowodu osobistego i przez e-PUAP, a także podpisy spełniające wymogi określone w przepisach unijnych lub innych międzynarodowych.

W nowo uchwalonych przepisach dotyczących własności przemysłowej uregulowane zostały także zasady udzielania patentów na wynalazki, przyznawania praw ochronnych na wzory użytkowe i znaki towarowe, a także praw ochronnych na wzory przemysłowe, topografie układów scalonych oraz oznaczenia geograficzne. W nowelizacji zamieszczono zmiany przepisów dotyczących opłat za uzyskanie ochrony dla znaków towarowych. Przewidziano zwolnienie z opłat okresowych na wzory przemysłowe i znaki towarowe dla małych i średnich przedsiębiorstw w początkowej fazie działania (w ciągu trzech lat od jej rozpoczęcia). Doprecyzowano pojęcie wynalazku, wyeliminowano niejasności dotyczące ochrony praw własności przemysłowej. Objęcie wynalazków ochroną prawną stanie się tańsze. Urząd Patentowy wedle nowych regulacji może częściowo zwolnić zgłaszającego z opłaty za wniosek o przyznanie ochrony znakom towarowym i wzorom przemysłowym. Uzyskanie patentu, mimo ujawnienia wynalazku przez osoby trzecie, będzie możliwe, jeżeli nastąpi ono nie wcześniej niż sześć miesięcy przed dokonaniem zgłoszenia i spowodowane było oczywistym nadużyciem w stosunku do zgłaszającego lub jego poprzednika prawnego. Prawa ochronne na znak towarowy podobny do innego będzie łatwiejsze do uzyskania za sprawą wprowadzenia instytucji tzw. listów zgody. Przyspieszone zostaną postępowania sporne w sprawach o unieważnienie albo stwierdzenie wygaśnięcia patentu, prawa ochronnego lub prawa z rejestracji.



Z wielkim smutkiem żegnamy
Ministra Środowiska, Profesora, Miłośnika Przyrody,
ale przede wszystkim Dobrego Człowieka.

Rodzinie i bliskim

składam głębokie wyrazy współczucia
oraz zapewniam o modlitwie w intencji

ŚP. JANA SZYSZKO

Stanisław Piotrowicz
Przewodniczący Sejmowej Komisji
Sprawiedliwości i Praw Człowieka
Poseł na Sejm RP

80/1019/F

eprasa.pl 3ca8d795e7

Zebrała ***Dorota Łosiewicz***

Pan, pani do lamusa

Koniec z „panią” i z „panem”. Przynajmniej na razie na pokładzie samolotów Air Canada. Narodowe linie lotnicze Kanady wprowadzają zakaz mówienia do pasażerów „pan” i „pani”. „Odnoszenie się do płci pasażerów w ogłoszeniach i przez personel pokładowy będzie zakazane. Air Canada zmienia swoją politykę wewnętrzną, by stać się jeszcze bardziej tolerancyjnym i otwartym na różnorodność przewoźnikiem, w którym wszyscy pasażerowie czują się dobrze – niezależnie od narodowości, koloru skóry czy płci” – informuje rp.pl. Według nowych wytycznych pasażerowie będą witani słowami: „Witamy wszystkich”. W tej sytuacji to nawet ludzie syreny i reptilianie nie poczują się urażeni.



Fot. Shutterstock

3,5

– tyle lat trwał proces w sprawie afery Amber Gold.

18 tys.

– tylu było poszkodowanych w aferze Amber Gold.

851 mln zł

– takie straty ponieśli poszkodowani w aferze Amber Gold.

Na czasie

Poznań od dawna stara się nadążać za światowymi trendami. Być może to właśnie dlatego jedna z poznańskich szkół podstawowych postanowiła zorganizować „Dzień spódniczki”. Rodzice dzieci uczęszczających do tej szkoły dostali poprzez e-dziennik informację, że tego dnia wszyscy przychodzą do szkoły w spódniczkach, chłopcy również. Pytana o sprawę nauczycielka oświadczyła, że akcja „nie ma w sobie nic kontrowersyjnego”, „nikogo nie obraża” i ma wnieść „kolor, luz i zabawę”. „Uczniowie Szkoły Podstawowej nr 7 w Poznaniu, którzy mieli przyjść 24 października w spódnicach, mieli zostać zwolnieni z odpytywania. Nauczycielka, która przesłała korespondencję, życzyła podopiecznym »miłej zabawy i pięknych spódniczek«”. Po interwencji rodziców „zabawę” odwołano. Większość chłopców odetchęła z ulgą.



Fot. Shutterstock

Tolerancyjni inaczej

Z kolei w Krakowie środowiska LGBT zorganizowały „taneczny protest” pod oknem papieskim. Wszystko odbyło się w dniu 41. rocznicy wyboru Karola Wojtyły na papieża. Ci tęczowi są tacy tolerancyjni inaczej. Tolerują tylko swoich.



Fot.19pProduction/Shutterstock.com

eprasa.pl 3ca8d795e7

Unisex stop

Rodzice i uczniowie londyńskich szkół mają dość transpłciowych toalet – o czym informuje m.in. Polsat News. Chodzi o to, że takie toalety mają godzić w poczucie bezpieczeństwa dziewczynek oraz mają zły wpływ na ich zdrowie. Według „The Mail" niektóre dziewczęta z powodu braku intymności nie korzystają z toalety przez cały dzień, ryzykując infekcje, gdy miesiączkują, wolą nie iść do szkoły. Często, by nie musieć odwiedzać toalety, dziewczynki nawet nie piją wody. Czy dostanę Nobla za to, że wielokrotnie w tej rubryce pisałam, że tak to się może skończyć?



Fot. Shutterstock

„Na PiS głosowało 8 mln ludzi, po tym jak PiS rozdał 100 mld zł socjalu w postaci różnych plusów, czyli jeden głos kosztował 12,5 tys. zł. PiS rządzi 1428 dni, czyli za jedną dobę PiS zapłacił 8 zł 75 gr swojemu wyborcy. Firma Sedlak & Sedlak podaje, że za noc z prostytutką w Warszawie trzeba zapłacić średnio 2256 zł" – napisała Krystyna Janda na FB. Tej pani faktycznie wyszłoby na dobre, gdyby ktoś zabrał jej internet.

Protest

Przez Paryż przetoczyły się kilkudziesięciotysięczne demonstracje. Ludzie protestowali przeciwko planowanemu rozszerzeniu prawa do technik wspomaganego rozrodu, w tym zapłodnienia in vitro, m.in. na związki lesbijskie i kobiety niebędące w związkach. Francuzom zaczynają spadać klapki z oczu?



Fot. Shutterstock

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Budapeszt nie wierzy tęczy



Dominik Zdort

Kiedy Grzegorz Schetyna z szaleństwem w oczach pokrzykiwał, że nie pozwoli na Budapeszt w Warszawie, mój dawny kolega redakcyjny z „Newsweka" Wojtek Maziarski (z wykształcenia hungarysta) delikatnie narzekał na słabe poinformowanie lidera polskiej opozycji, który nie wiedział, że właśnie w tym samym czasie opozycja przejęła fotel burmistrza stolicy Węgier. Było tak jak w polskich wyborach do Senatu: partyjki połączone nienawiścią do prawicy wsparły wspólnego kandydata, który, uzyskując 50,6 proc., zdobył naddunajski magistrat. W pewnym sensie można by powiedzieć, że mamy Warszawę w Budapeszcie – w stolicy lewacko-liberalna mniejszość stanowi większość i może zagrać na nosie konserwatywnemu narodowi.

Wiem, dużo w powyższych zdaniach uproszczeń, ale – niezależnie od tego, jak rozumieć słowo „konserwatyzm" (na Węgrzech inaczej niż w Polsce) – Viktor Orbán dla obrony cywilizacji judeochrześcijańskiej zrobił tak wiele, jak mało który polityk europejski jego pokolenia. Przejęcie przez opozycję władzy w stolicy oznaczać może pewnego rodzaju społeczne zmęczenie najpopularniejszą wciąż partią. Na szczęście nie oznacza, że zmęczył się Fidesz.

Z czego tak wnioskuję? Otóż latem tego roku Coca-Cola (zachęcam do bojkotu, mamy szeroki wybór) prowadziła na Węgrzech kampanię przekonującą do akceptacji związków jednopłciowych. Na ulicach rozwieszono plakaty z uśmiechniętymi homoseksualnymi parami i z butelkami napoju na tęczowym tle podpisane „Zero cukru, zero przesądów".

Akcja – jak się łatwo domyślić – była kolejną prowokacją lobby LGBT. Ale Węgrzy potraktowali ją poważnie. Pod petycją przeciw homoagitacji podpisało się 20 tys. osób. I koncern został ukarany przez wojewodę pesztańskiego grzywną za złamanie zakazu reklam mogących szkodzić rozwojowi dzieci i młodzieży.

Już widzę liberalnych publicystów tryumfujących, że ta decyzja ostatecznie pogrąży Orbána. Otóż nie jestem pewien. Węgrzy, może nie nazbyt religijni, w tej sprawie akurat zachowują zdrowy rozsądek. Są jednym z najbardziej homosceptycznych narodów w Europie, bardziej niż Polacy. Jednym z czterech ostatnich unijnych społeczeństw, których większość sprzeciwia się przyznaniu parom „nieheteroseksualnym" takich samych przywilejów, jakie mają normalsi. To bardzo ważny powód, dlaczego powinniśmy wciąż marzyć o Budapeszcie w Warszawie.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 3ca8d795e7

RZECZY POSPOLITE

Twardy dysk Seneki



Tomasz Łysiak

Czasem człowiek zatęskni za dawnymi czasy, gdy nie było jeszcze w powszechnym użyciu komórek. Obecnie zostali już tylko nieliczni, którzy z dobrodziejstw telefonii komórkowej nie korzystają. Zalicza się do nich, notabene, mój Ojciec, który twardo odrzuca mobilną wersję telefonów (oraz to wszystko, co się z nią wiąże, także dostęp do internetu). Wtedy gdy jeszcze tych „zabawek" nie było, świat był bowiem uczciwszy. Ot, choćby istniał dobry obyczaj niespóźniania się na umówione spotkania. Teraz można puścić esemesa z wyjaśnieniem i po krzyku.

Mnie jednak chyba najbardziej boli upadek epistolografii. Gdzież ten czas, gdy pisywało się do siebie długie listy – które zresztą później były pieczołowicie przechowywane jako piękne pamiątki rodzinne? Nie mówiąc o korespondencji wielkich i znanych postaci – ich listy stanowią przecież piękną część dorobku literackiego ludzkości. Cóż teraz by zostało z dawnych dzieł epistolograficznych, gdyby smartfony istniały w starożytności? Czy Seneka słałby do Lucyliusza „Esemesy moralne"? Czy zawarłby w nich tyle treści i ważnych pytań filozoficznych? „Siemka. Seneka pozdrawia swego Lucyliusza. Trwaj dalej przy tym, coś rozpoczął, a w miarę możliwości spiesz się, byś tym dłużej mógł się cieszyć z udoskonalonego już i zrównoważonego umysłu. Co prawda, cieszysz się także i wtedy, gdy go dopiero doskonalisz, oraz wtedy, gdy doprowadzisz go do równowagi. Inaczej jednak wygląda taka uciecha, której doznaje się na widok umysłu swego oczyszczonego już z wszelkich skaz tudzież jaśniejącego blaskiem. Sorry, ale resztę wyślę ci potem mailem". I nawet może by faktycznie napisał resztę w Wordzie. I nawet wysłał. Ale nagle Trojan by się pojawił na jego kompie. Bluscreen. Próba restartu nic nie daje. Neron przysyła grupę pretorianów. Ale ci, widząc, że komp wisi, proponują, by powiesić Senekę. Albo wygnać. I na tym by się wszystko skończyło. A dwa tysiące lat później jakiś archeolog by odkopał twardy dysk Seneki. Ale z kamienia nic by się nie dało odczytać. I wszyscy by do dzisiaj myśleli, że Seneka to był dyskobol, a nie filozof i myśliciel.

Obywatel morda



Piotr Cywiński

Dopaść, osaczyć, zelżyć... Cóż za odwaga! Jaki heroizm! Ustawili się, uzbrojeni w kamerę i mikrofon, i dopadli. Ilu ich było? Garstka. Cóż za odwaga...! Kogo osaczyli? Emerytkę z torebką na ramieniu, a nawet dwiema! Taka nie ucieknie, a i się nie odwinie i w mordę nie da. Więc morda lezie za nią krok w krok: „Adam, dawaj...! Pawłowicz...!" – poderwała jedna drugą do akcji. Więc druga nagrywa i relacjonuje: „Pani poseł czeka na taksówkę. Zobaczymy... Ucieka na drugą stronę, jak widzimy, jest chroniona przez policję", słychać zza kadru, a w kadrze – ona, Krystyna Pawłowicz. „Jak obrady Sejmu, zechciałaby pani powiedzieć dwa słowa obywatelom, czy są jakieś plany PiS na przyszłość, co nas czeka w przyszłości?" – zagadnął obywatel morda i dalej sam do siebie: „Przejdziemy na drugą stronę, także tak popatrzymy, pani poseł się chowa za policją, straż marszałkowska, już widzicie..., proszę, taksówka, właśnie odjechała..." – koniec akcji. Adam „dał"...

Na ulicy Wiejskiej, jak sama nazwa wskazuje, słoma w butach. Nie tylko na Wiejskiej notabene, bo wiocha jest mobilna, ruchliwa, wiocha może wleźć na pomnik tragicznie zmarłego prezydenta, wiocha może opluć samochód pani z telewizji, napaść pod kościołem, nawet w kościele pokazać, na co ją stać, z siekierą... Więc, huzia, „Adam, dawaj..., Pawłowicz...!". Pani może mieć tytuły, być nawet profesorką na uczelniach, autorką setek publikacji naukowych, ekspertyz, zasiadać w różnych ważnych gremiach, i co...? „Ucieka na drugą stronę" i „się chowa"...! I czyje na wierzchu? Brawo mordy! Cóż za odwaga, jaki heroizm...!

Czy byli na miejscu stróże porządku? Byli. Może stróże nie wiedzą, co to stalking, z angielska: naprzykrzanie się, nagabywanie, prześladowanie, mające wywołać poczucie zagrożenia, strach. „...Ucieka na drugą stronę". Pani jeszcze poseł dobiegającej końca kadencji wsiadła do taksówki i odjechała bez słowa. W myśl zasady: nie dyskutuj z mordą, bo najpierw sprowadzi cię do swego poziomu, a i tak pokona cię doświadczeniem. Co jest zwycięstwem dla mordy? Żeby było głośno, żeby pokazywali, pisali, mówili. Więc ja, coby garstki nie nobilitować, bez nazwisk. Niektóre pewnie będę musiał później wymieniać, biorąc pod uwagę te, które z wyboru dostaną wkrótce przepustki do gmachu przy ul. Wiejskiej.

Dialog z mordą jest równie bez sensu jak w tym kawale: „Dokąd idziesz? Do kina. Na co? Na »Quo vadis«. Co to znaczy? »Dokąd idziesz«. To ja się pytam, dokąd idziesz? Do kina. Na co? Na »Quo vadis«. Co to znaczy...?". I nowe filmiki też będą, w koło Macieju.

eprasa.pl 3ca8d795e7

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00, (22) 718 30 61, (22) 463 49 95
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL
DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL
STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA, ZBIGNIEW MALICKI
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL, BARTŁOMIEJ SZYPERSKI, BARTLOMIEJ.SZYPERSKI@FRATRIA.PL
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY
PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: JACEK DOMIŃSKI/REPORTER X2, JAKUB KAMIŃSKI/EAST NEWS, ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER X2, SHUTTERSTOCK

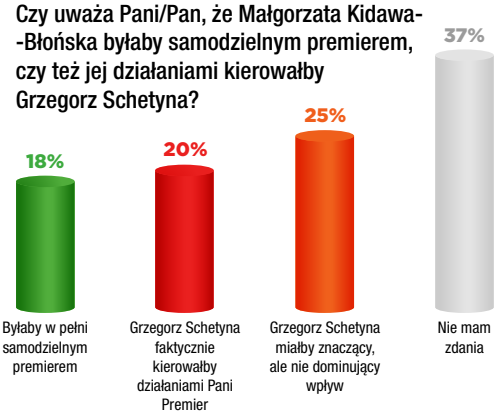
nasz sondaż

pracownia Social Changes dla wPolityce.pl

Które z ugrupowań najlepiej realizuje ideały pierwszej Solidarności?



Czy uważa Pani/Pan, że Małgorzata Kidawa-Błońska byłaby samodzielnym premierem, czy też jej działaniami kierowałby Grzegorz Schetyna?



Czy popiera Pani/Pan działania na rzecz uzyskania od Niemiec odszkodowań za straty poniesione przez Polskę podczas II wojny światowej?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków.

Badania przeprowadzono jesienią 2019 r.

eprasa.pl 3ca8d795e7

WYBORY PARLAMENTARNE 2019 – WYNIKI

Źródło: PKW

FREKWENCJA

61,74%

SEJM: PiS WYGRYWA Z KO W 15 WOJEWÓDZTWACH

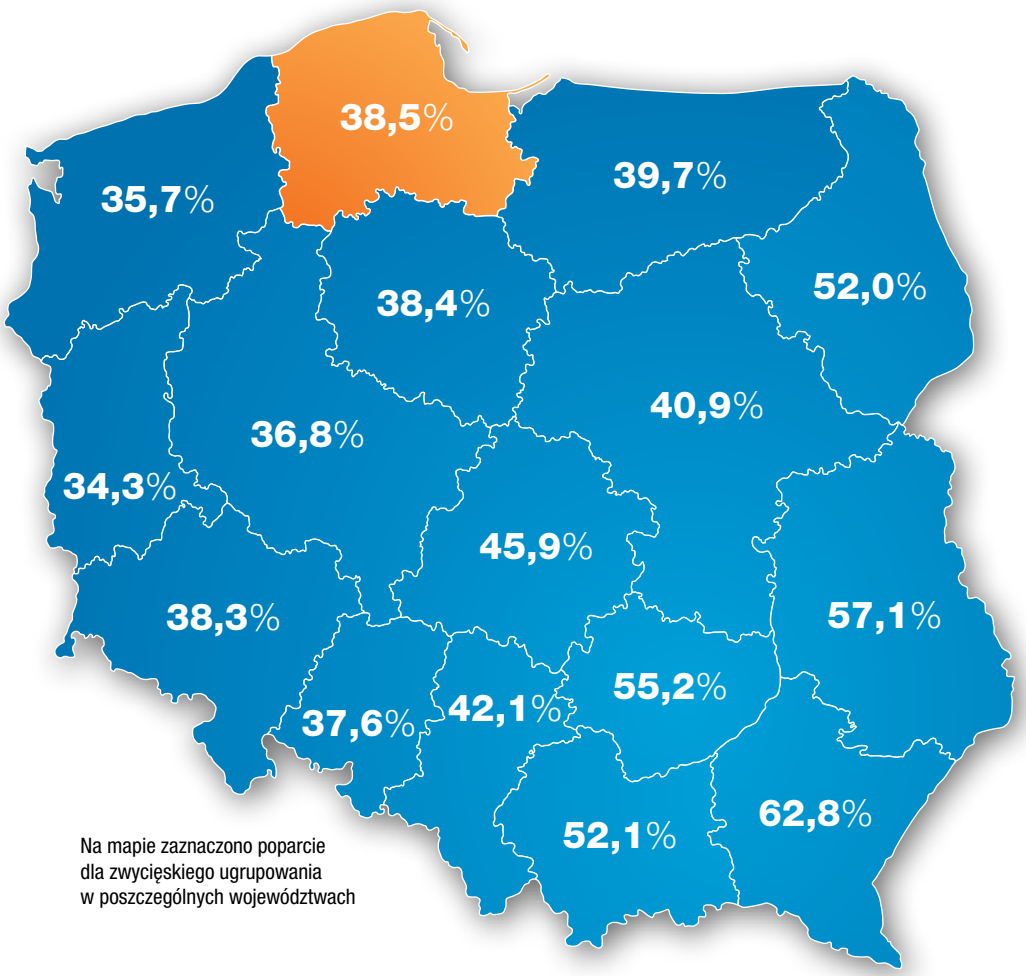
Prawo i Sprawiedliwość **43,59%**

Koalicja Obywatelska **27,40%**

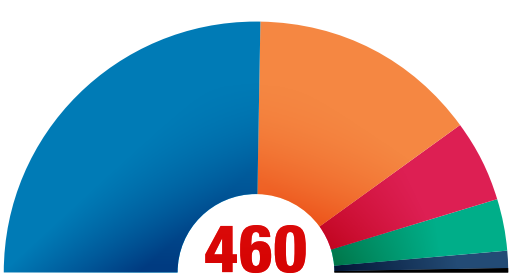
Lewica **12,56%**

PSL + Kukiz'15 **8,55%**

Konfederacja **6,81%**



Na mapie zaznaczono poparcie dla zwycięskiego ugrupowania w poszczególnych województwach



podział mandatów w Sejmie

235 Prawo i Sprawiedliwość

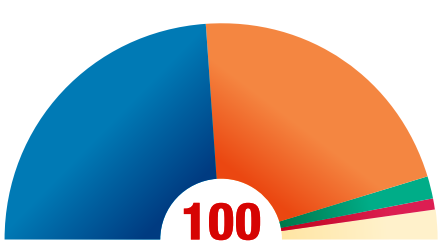
134 Koalicja Obywatelska

30 PSL + Kukiz'15

1 Mniejszość niemiecka

49 Lewica

11 Konfederacja



podział mandatów w Senacie

48 Prawo i Sprawiedliwość

43 Koalicja Obywatelska

3 PSL

2 SLD

4 Niezależni

eprasa.pl 3ca8d795e7

Wyśrubowany rekord

13 października padł rekord, który długo może być nie do pobicia. Prawo i Sprawiedliwość zdobyło 8 051 935 głosów, więcej niż ktokolwiek wcześniej. Więcej niż zagłosowało za konstytucją w 1997 r. (6 396 641 osób) i niewiele mniej niż Andrzej Duda zdobył w drugiej turze wyborów prezydenckich (8 630 627). Procentowo PiS również wyśrubowało wynik, zdobywając 43,59 proc. głosów. U szczytu swojej potęgi, w 2011 r., PO Donalda Tuska wywalczyła 41,51 proc., a SLD Leszka Millera w 2001 r. – 41,04 proc. Można więc się zasadnie zastanawiać, czy PiS nie dotknęło swego rodzaju strukturalnego sufitu. Nie jest przypadkiem, że nikt nie wywalczył wcześniej więcej



JACEK KARNOWSKI

Poziom 40 proc. z kawałkiem stanowi barierę trudną do przebicia nie tylko w Polsce – mniej więcej tyle zdobywały w swoich najlepszych czasach zachodnie partie. Torysi Margaret Thatcher w systemie większościowym tylko raz zdobyli więcej niż PiS obecnie – 43,9 proc. w 1979 r. Tylko hiszpańskiej Partii Ludowej udawało się zdobywać więcej – 45,24 proc. w roku 2000 oraz 44,62 proc. w roku 2011. Partido Popular sprzyjały wówczas jednak szczególne okoliczności – najpierw było to bój jeden na jeden z socjalistami, a później efekt kryzysu gospodarczego. Ale już niemiecka CDU nigdy się do tego poziomu nie zbliżyła, jej najlepszy wynik to 39,7 proc. w roku 1957. Wyjątkiem jest węgierski Fidesz (52,73 proc. w 2010 r. oraz 49,27 proc. w roku 2018), który jednak sięgnął po władzę w sytuacji bezprecedensowej zapaści konkurencji, w momencie załamania się całego systemu postkomunistycznego. W Polsce ten moment został zmarnowany w roku 2005, gdy Platforma najpierw przejęła część głosów rewolucji, a później postanowiła zająć systemowe miejsce rozbitego w pył SLD. Oczywiście to tylko liczby, ale mówią nam one ważną rzecz: PiS wywalczyło wynik, który niemal w każdym europejskim kraju uznany by został za wielkie osiągnięcie.

W każdym razie w systemach proporcjonalnych, w warunkach realnej demokracji, gdy konkurenci nie są pozbawieni kanałów komunikacji oraz mają istotne zasoby, teoretyczne prawdopodobieństwo, że jedna z propozycji przekona połowę wyborców, jest minimalne, bliskie zeru. Można to porównać do festiwalu, na którym o laur walczy pięciu piosenkarzy. Nawet jeśli jeden ma wybitny głos i wspaniałą piosenkę, połowy głosów raczej nie zdobędzie. Z tej prostej przyczyny, że im większe mamy poparcie, tym trudniej zbudować taki wspólny mianownik, który zostanie uznany za najważniejszy przez kolejnych widzów czy wyborców.

eprasa.pl 3ca8d795e7



Fot. Andrzej Iwańczuk/REPORTER

Demokracja to instynktowne zróżnicowanie, i to zróżnicowanie w jakiejś mierze również pozarozumowe, ignorujące osobiste doświadczenie, istniejące tylko dlatego, że może istnieć.

TO BYŁA WOJNA TOTALNA

Triumf formacji Jarosława Kaczyńskiego ma więc wymiar realnie historyczny. Po czterech latach walki na tak wielu frontach, po dokonaniu tak wielu głębokich zmian, wreszcie po czterech latach naprawdę wściekłego ostrzału PiS zdobyło 2 340 248 głosów więcej niż cztery lata temu, i to w warunkach realnego plebiscytu: kto za, a kto przeciw PiS. Także w warunkach pełnej mobilizacji obu stron: frekwencja wyniosła 61,74 proc. i była tylko o punkt niższa od tej z 1989 r. (62,7 proc.). Wielki plan opozycji, która po klęsce w 2015 r. postanowiła nie tyle pokonać konkurencję, ile po prostu ją zniszczyć, sięgając po metody politycznej wojny totalnej (Goebbels w berlińskim Pałacu Sportu 18 lutego 1943 r.: „wojna totalna – wojna najkrótsza"), nie powiódł się. Batalia, w której opozycja sięgnęła po każdy możliwy środek wojny cywilnej znany z czasów pokoju (wielkie demonstracje, próby wywołania zamieszek, okupacja parlamentu, strajki paraliżujące całe dziedziny życia, presja zagraniczna, stały propagandowy ostrzał, zastraszanie, ostracyzm, precyzyjne ataki na liderów, w pewnym sensie także najbardziej prestiżowe nagrody), została wygrana przez PiS. A była to batalia nie tylko o władzę, lecz również – nie miejmy żadnych wątpliwości – o samo istnienie, o prawo do działania. Sfrustrowana, pełna gniewu opozycja nie ukrywała przecież, że myśli głównie o zemście i o takiej przebudowie Polski, by już nikt nigdy nie odebrał jej władzy. Taki jest przecież właściwy sens choćby planu rozbicia Polski na niemalże suwerenne dzielnice.

Mimo wszystko to PiS może dziś mówić: a jednak nie przeszli. Może tak mówić, choć jeszcze wiosną sprawa wydawała się niemal beznadziejna: z sondaży wynikało, że PiS wygrywa, ale nie zdobywa władzy. Kaczyński doprowadził jednak do przełamania, po pierwsze, inwestując bardzo dużo – i personalnie, i kampanijnie – w wybory europejskie, a po drugie, skutecznie mobilizując wyborców wcześniej biernych za pomocą zdecydowanej odpowiedzi w sprawie roszczeń żydowskich oraz poprzez jednoznaczne stanięcie w obronie normalności i rodziny, zagrożonych przez agresywne środowiska spod znaku LGBT i genderyzmu. W tle cały czas były, rzecz jasna, i wiarygodność, i poprawa warunków życia milionów rodzin. Teza, że wybory europejskie otwierają drzwi do władzy w kraju, była więcej niż trafiona.

eprasa.pl 3ca8d795e7



A JEDNAK NIEDOSYT?

Mimo zdobycia 43,6 proc. głosów i mimo samodzielnej większości politycy i sympatycy PiS wyraźnie sygnalizują poczucie pewnego niedosytu. Sam Kaczyński mówił w czasie wieczoru wyborczego o potrzebie refleksji „nad tym wszystkim, co się udało", ale także nad powodami, dla których „poważna część społeczeństwa jednak uznała, że nie należy nas popierać, mimo przecież zupełnie ewidentnych i oczywistych osiągnięć". Najważniejsza diagnoza została zawarta w słowach: „Otrzymaliśmy dużo, ale zasługujemy na więcej". W kolejnych dniach lider PiS już tego wątku nie kontynuował, ale pytanie, czy nie dało się wywalczyć więcej, nie zniknęło. Nasuwa się ono samo, choćby za sprawą przedwyborczych sondaży, w większości przypadków dających przeciętnie jednak więcej, co najmniej 45 proc., a często i więcej. Czy w końcówce popełniono jakiś istotny błąd?

Liczni komentatorzy wskazują na sprawę zapowiedzi podwyższenia płacy minimalnej – do 3 tys. zł do końca przyszłego roku i do 4 tys. do końca 2023 r. Społeczne poparcie dla tej obietnicy PiS było i jest bardzo duże – według badania Social Changes w końcu września wynosiło 56 proc., przy sprzeciwie ze strony 25 proc. badanych. Ta zapowiedź została jednak uznana przez część przedsiębiorców, zwłaszcza drobnych, za przekroczenie granicy bezpieczeństwa, za krok zbyt daleko idący. W ostatnich dniach przed wyborami wielu dziennikarzy, także z naszej redakcji, mówiło o zaniepokojeniu części wyborców prawicy właśnie na tym tle. Sztab PiS teoretycznie kwestię tę wyłapał, ale z jakichś przyczyn zwlekano z konkretną odpowiedzią, ogólne zaniepokojenie nie przekładało się na konkretne zadania, choćby na spotkania z ludźmi małego biznesu. Co ciekawe, to nie pierwsza kampania, w której zapowiedzi dotyczące biznesu wpędzają PiS w kłopoty. W przyszłości tę właśnie dziedzinę należy potraktować jako szczególnie niebezpieczną, wymagającą wyjątkowej staranności i precyzji. Bo przecież sprawa płacy minimalnej nie miałaby takiego efektu, gdyby nie wcześniejsze zamieszanie wokół składek na ZUS.

> Wynik wyborów do Senatu – w którym opozycja zderzyła się czołowo z PiS – jest wyraźną wskazówką, że batalia o prezydenturę nie będzie dla Andrzeja Dudy spacerkiem

Ale problemem kampanii PiS było także coś jeszcze: swego rodzaju rutyna, powtarzalność i formy, i treści przekazu w ostatnich tygodniach i dniach. Z jednej strony zapewniało to jasność komunikatów i ich prostotę, ale z drugiej wyraźnie już męczyło publiczność. PiS wpadło więc w pułapkę kampanii dobrej, nawet bardzo dobrej, ale jednocześnie w jakiś sposób płaskiej, przewidywalnej. Na papierze była to strategia zapewne słuszna, ale w świecie realnym przyniosła ona efekt w postaci znudzenia wyborców, także gorących sympatyków. Ile razy można bowiem wysłuchiwać tych samych przemówień? Być może była to także przyczyna problemów z mobilizacją wyborców, o którą Kaczyński apelował do ostatnich chwil. Obawiał się uśpienia nasyconych sondażami wyborców, wyczuwając, że obraz całości jest zbyt piękny, by nie był nieco zafałszowany. Opozycja – która z walki o zatrzymanie PiS realnie nie zrezygnowała nigdy – z mobilizacją problemów nie miała. I to nie tylko dlatego, że została sprowadzona do swojego rdzenia. W oczach prawicy kiepska jakość przywództwa PO i nijakość programowa powinny przemawiać za wyborczą absencją sympatyków opozycji. To jednak błędne założenie: budowana i wzmacniana latami niechęć, a nawet nienawiść do PiS przykrywała wszystko i była skuteczniejszą zachętą, niż mogłyby być najlepsze nawet propozycje. Ci ludzie bronili wszystkiego: swojego świata i swoich biografii.

Podobne do siebie jak krople wody konwencje PiS były transmitowane przez radio i telewizję, były opisywane przez portale, ale ich realny zasięg należy uznać za dość dyskusyjny. Także dlatego, że PiS zdecydowanie za mało inwestowało w internet, w próby dotarcia do wyborców nieobecnych w tradycyjnych mediach. Inna sprawa, czy można było to zrobić w warunkach zmowy największych graczy na tym rynku, wyraźnie sprzyjających opozycji. Znamy przykłady mediów konserwatywnych, których zasięgi portalu w różnych wyszukiwarkach zostały gwałtownie, sztucznie ograniczone – zapewne za pomocą zmiany algorytmów – na przełomie sierpnia i września, wraz z wejściem kampanii w gorącą fazę.

eprasa.pl 3ca8d795e7

Takich ruchów wykonano znacznie więcej. Można tylko pytać retorycznie, czy w PiS jest choć jedna osoba, która monitoruje tego typu zdarzenia i choć próbuje walczyć o równe reguły gry? Dysponujące niemal całym aparatem państwowym ugrupowanie rządzące wciąż ma problem z załatwianiem spraw drobnych, ale sumujących się na coś, co można nazwać ekosystemem wsparcia opozycji.

W powyborczych rozliczeniach powraca też stale kwestia oceny działań najważniejszego kanału komunikacji PiS i rządu z Polakami, czyli Telewizji Polskiej. Nie wchodząc w szczegóły, należy jasno stwierdzić, że bez tego medium PiS nie miałoby żadnych szans nie tylko na pozyskanie kolejnych wyborców, ale nawet na uzyskanie tego, co miało w roku 2015. To w dużej mierze TVP powstrzymała wielką ofensywę opozycji z lat 2015–2016, to ona wreszcie zneutralizowała jak zawsze bardzo agresywny TVN. Nie byłoby to możliwe, gdyby nie prezes Jacek Kurski, który nie tylko tę firmę głęboko przebudował, lecz także potrafił utrzymać, a nawet wzmocnić jej pozycję na polach niepolitycznych, zwłaszcza w rozrywce i sporcie. Bez tej otoczki nawet najsłuszniejszy przekaz nie ma wielkich szans.

SENAT W RĘKACH OPOZYCJI

Utrata większości w Senacie nie musiała się zdarzyć. Zdecydowało dosłownie kilka błędnych decyzji personalnych oraz – to najważniejsze – brak skupienia się na tej kampanii. Bo PiS kampanii do Senatu właściwie nie prowadziło. Znaczna część kandydatów liczyła, że wystarczy wskoczyć na dobrą pisowską falę i wygraną mają w kieszeni. Z dzisiejszej perspektywy należało powołać osobny sztab, skoncentrowany na batalii o izbę wyższą, inwestujący w okręgi wahające się, graniczne. Dziś PiS wciąż ma nadzieję na zbudowanie większości poprzez przyciągnięcie dwóch senatorów, ale łatwo nie będzie. To nie Sejm złożony z 460 posłów, opozycja ma 51 senatorów i wśród nich trzeba szukać.

Ale PiS nie ma wyjścia: musi próbować. Nie ma wątpliwości, że choć opozycja będzie w stanie jedynie opóźniać – a nie blokować – ustawy rządu, to uczyni wszystko, by robić to głośno i spektakularnie. Atut sprawności i szybkiej skuteczności, np. przy realizacji kolejnych obietnic czy w reagowaniu na nagłe kryzysy (egzaminy podczas strajku nauczycieli), który tak podobał się wyborcom i który dawał władzy realną moc („macht"), zostanie mocno ograniczony. Będziemy także świadkami próby wykreowania swoistego kontrparlamentu, mającego mieć nie tylko symboliczne prawo weta. To będzie ten kawałek władzy, który stanie się prestiżowym centrum opozycji, a także czynnikiem podejmującym samodzielną politykę zagraniczną. To będzie instrument, który ułatwi ewentualne działania destabilizujące. Przecież gdyby w czasie grudniowego puczu w 2016 r. marszałkiem Senatu był przedstawiciel opozycji, zapewne wpuściłby tłum do gmachu parlamentu.

> Powyborczy krajobraz jest w pewnym sensie słodko-gorzki. Nie nastąpił ów „moment konstytucyjny", który dawałby nadzieję na szybkie, głębokie zmiany w sferach dotąd nietkniętych. W drugiej kadencji realizacja reforms będzie trudniejsza, a nie łatwiejsza

Wynik wyborów do Senatu – w którym opozycja zderzyła się czołowo z PiS – jest także wyraźną wskazówką, że batalia o prezydenturę nie będzie dla Andrzeja Dudy spacerkiem. W drugiej turze zdecydują dwa lub trzy punkty. Obecny prezydent ma ogromne szanse wygrać, ale ani jego sztab, ani wyborcy prawicy nie mogą ani na chwilę uwierzyć, że coś jest posprzątane. Można mieć zresztą nadzieję, że dziś już wszyscy mają wbite do głów hasło tak często powtarzane przez Kaczyńskiego: wybory wygrywa się przy urnach, a nie w sondażach.

STRACONA SZANSA?

Powyborczy krajobraz jest więc w pewnym sensie słodko-gorzki. PiS zdobyło mocny mandat do sprawowania władzy, ale opozycja uciekła spod politycznego topora. Linia frontów nie została przesunięta, okopy są mniej więcej tam, gdzie były. Nie nastąpił ów nieformalny „moment konstytucyjny", który dawałby nadzieję na szybkie, naprawdę głębokie zmiany w sferach dotąd nietkniętych. W drugiej kadencji realizacja reform będzie trudniejsza, a nie łatwiejsza. A wszystko to w czasie swego rodzaju momentum prawicy, punktu kulminacyjnego, który trudno będzie powtórzyć za cztery lata. Po stronie rządu stały przecież spektakularne programy społeczne, świetna koniunktura gospodarcza, przełomowe sukcesy międzynarodowe, skuteczna walka ministra Zbigniewa Ziobry z przestępczością zorganizowaną, poczucie dobrze wykonanego obowiązku, a także coś, co premier Mateusz Morawiecki słusznie określał mianem „rewolucji godności". To wszystko jednak nie wystarczyło na więcej niż odnowienie silnego mandatu do rządzenia.

Co więcej, wynik PiS sprawia, że partia rządząca nie ma zapasu, z którego mogłaby tracić. A przecież za kolejne cztery lata programy społeczne już nie będą takim atutem jak obecnie, a proces naturalnego zużywania się urzędującej władzy będzie postępował. Na wyborczy rynek będą też wchodziły roczniki znacznie bardziej lewicowe, znacznie mniej przychylne prawicy. To wszystko wymaga starannego przemyślenia i naszkicowania strategii stosownej do tych, jednak nowych okoliczności. Zakładany wcześniej scenariusz skupienia się na rozwoju, po zabezpieczeniu najbardziej potrzebujących grup społecznych – to w planie społecznym chyba za mało,

eprasa.pl 3ca8d795e7

by mieć nadzieję na 231 mandatów w 2023 r. Oczywiście cztery lata to w polityce niemal epoka, wiele się może zdarzyć, ale pytania o kolejne wybory nie można odkładać.

KONIEC ANTYPISU?

Wynik z 13 października niesie jednak także nadzieję na zakończenie, czy choćby zawieszenie, tak szkodliwej dla Polski „wojny polsko-polskiej". Zwróćmy uwagę: w swoim marszu po nieznaną wcześniej u nas wielkość PiS zostało zatrzymane nie przez partie opozycji totalnej, ale przez ugrupowania centrowe i nominalnie prawicowe, a więc PSL i Konfederację. Głosy tego ostatniego ugrupowania dodane do głosów PiS dają ponad połowę wszystkich, a pamiętajmy, że ludowcy również akcentowali w czasie kampanii pewne wątki konserwatywne. Z kolei opozycję spod znaku PO czekają teraz poważne turbulencje wewnętrzne. Również formuła zjednoczonej lewicy jest dość krucha. Może się więc okazać, że czas frontalnego zderzenia antypisu z PiS-em dobiega końca, że obraz będzie bardziej skomplikowany, bardziej wielopłaszczyznowy. Również i z tej przyczyny, że prawie każdy człon opozycji musi szukać jakiegoś nowego paliwa, które albo pozwoli odbić się od dna, albo umożliwi dalszy wzrost; antypisowskość też doszła do granic swoich możliwości. Dla PiS to duża szansa na rozbicie kordonu sanitarnego, a także na uzyskanie większej legitymizacji w konkretnych środowiskach społecznych. Taki Sejm, jaki mamy – a przecież będą w niej formacje dotąd nigdy nie reprezentowane, np. Partia Razem – może oznaczać, że to nie PiS znajdzie się w okrążeniu, ale jego najwięksi, najbardziej zaciekli wrogowie z Platformy. Rzecz wciąż niepewna, ale przy pewnej dozie szczęścia i roztropnej polityce możliwa do wyobrażenia.

PRAWICOWY KLUCZ DO PRZYSZŁOŚCI

Nad wrześniowo-październikową kampanią, podobnie jak nad majową, unosił się spór światopoglądowy, koncentrujący się wokół ofensywy coraz bardziej agresywnych środowisk spod tęczowej flagi. PiS jednoznacznie podkreślało swój sprzeciw wobec totalitarnych intencji grup związanych z LGBT, promując hasło „Tolerancja tak, afirmacja nie". Można sądzić, że był to ważny czynnik motywujący wyborców do głosowania na partię Kaczyńskiego. Sukces Konfederacji – w jakiejś mierze – był wynikiem przekonania części prawicowych wyborców, że w sprawach światopoglądowych trzeba się przeciwstawić lewicy jeszcze bardziej zdecydowanie, jeszcze ostrzej. PiS, rzecz jasna, nie mogło przesadzić, bo walczyło o 45 proc., a więc także o wyborców bardziej na lewo. Pytanie jednak pozostaje: w jaki sposób prowadzić politykę w tej sferze, skoro agresja LGBT w polskich warunkach na pewno spotka się ze społecznym zapotrzebowaniem na konkretną, twardą, konsekwentną odpowiedź? To może być klucz do kolejnej większości. Z kolei zdolność do powstrzymania genderyzmu i LGBT określi możliwości sprawowania władzy przez prawicę w najbliższych dekadach. Bez jakiejś skutecznej odpowiedzi: politycznej, kulturowej, instytucjonalnej, rządy lewicy będą kwestią czasu.

> Zdolność do powstrzymania genderyzmu i LGBT określi możliwości sprawowania władzy przez prawicę w najbliższych dekadach

TRZY DROGI

13 października 2019 r. Jarosław Kaczyński poprowadził swoją partię do największego w dziejach polskiej prawicy triumfu wyborczego. Jego obóz wciąż ma sprawczość, wciąż może zmieniać Polskę, wciąż ma szansę tak prowadzić politykę państwową, by przekonywać do siebie kolejne grupy wyborców. Nikt inny czegoś podobnego wcześniej nie dokonał. Dziś nie ma wątpliwości, że gdyby nie polityczne umiejętności lidera, prawica w Polsce władzy nawet by nie powąchała, chyba że w roli bezwolnej przystawki. A już na pewno by jej nie obroniła. Każdy polityk prawicy powinien o tym pamiętać, zwłaszcza teraz gdy czeka nas naturalny proces ponownego wyważania wpływów w obozie na podstawie wyników ostatnich wyborów. Pojawiające się tu i ówdzie dywagacje o możliwych rządach z PSL, które miałoby zastąpić któreś ze skrzydeł, to czysta fantazja. Jaki byłby wyborczy finał takiej koalicji, o ile w ogóle przetrwałaby choć parę miesięcy? Czy byłaby w stanie naprawić choć kawałek Polski? Kto błyskawicznie urósłby w siłę kosztem PiS? Odpowiedzi są oczywiste.

Przed PiS stoją teraz do wyboru trzy drogi. Pierwsza to kontynuacja tego, co w pierwszej kadencji: głębokich, ale najczęściej punktowych reform, duża ostrożność, pozostawienie całych obszarów w stanie nienaruszonym, staranne, cierpliwe budowanie poparcia na bazie polityki społecznej i rozwojowej. To daje pewną szansę, ale żadnych gwarancji. Druga droga to reformy znacznie głębsze i szersze, przeprowadzane ze świadomością, że można się wywrócić nawet przed końcem kadencji, ale też można na tyle zmienić reguły gry, by III RP przestała być oceanem, w którym wciąż pływa IV RP. Wreszcie opcja trzecia: polityka jeszcze spokojniejsza niż dotychczas, skupiona na łagodzeniu emocji i zamazywaniu najostrzejszych podziałów, zmierzająca faktycznie do pozyskania jakiegoś istotnego koalicjanta – albo spośród partii dziś obecnych w Sejmie, albo spośród środowisk pozaparlamentarnych, mogących przejąć w 2023 r. tradycyjne już głosy protestu, dziś zagospodarowane przez Konfederację.

Ale to wszystko dopiero przed nami. Dziś najważniejsze, że zadanie zostało wykonane, że Polska nadal jest w dobrych rękach.

eprasa.pl 3ca8d795e7

PiS zyskało dwa miliony nowych wyborców

W słoneczną niedzielę 13 października Polacy po raz kolejny zdecydowali, kto będzie kierował sprawami państwa przez najbliższe cztery lata. Ugrupowaniem tym będzie Prawo i Sprawiedliwość. Powoli opada kurz bitewny, można więc na chłodno się zastanowić, co mówią nam wyniki wyborów parlamentarnych



MARCIN FIJOŁEK

Ponad 8 mln głosów oddanych w tegorocznych wyborach parlamentarnych na PiS jest absolutnym rekordem w historii III Rzeczypospolitej. Żadna inna partia w ciągu ostatnich 30 lat nie uzyskała tak wysokiego wyniku, a w porównaniu z wyborami sprzed czterech lat PiS zyskało ponad 2 mln więcej głosów. Obserwowałem z bliska wieczór wyborczy w siedzibie tej partii przy Nowogrodzkiej – radości z wyników było mniej więcej tyle samo co ulgi, bo ten świetny wynik nie przełożył się na powiększenie stanu posiadania, jeśli chodzi o liczbę mandatów w Sejmie. Samodzielną większość udało się zdobyć drugi raz z rzędu, niemniej jednak w liczbie mandatów wynik jest dokładnie taki sam, jak w roku 2015 – PiS zgarnęło 235 miejsc w Sejmie.

Wszystko z powodu wysokiej frekwencji oraz ograniczonego niemal do zera zjawiska oddania głosu na komitety, które nie przekroczyły progu wyborczego. W wyborach zagłosowało 61,74 proc. uprawnionych; większy odsetek Polaków zagłosował tylko w częściowo wolnych wyborach do parlamentu z 4 czerwca 1989 r. i prezydenckich z roku 1995. Mobilizacja była zatem – po obu stronach dzisiejszego sporu – bardzo duża. A że na dokładkę wszystkie ogólnopolskie komitety wyborcze (było ich zaledwie pięć) uzyskały wynik powyżej 5 proc., to w Sejmie zrobiło się ciasno. Jak się to przełożyło na konkretne liczby, procenty i miejsca w sali plenarnej?

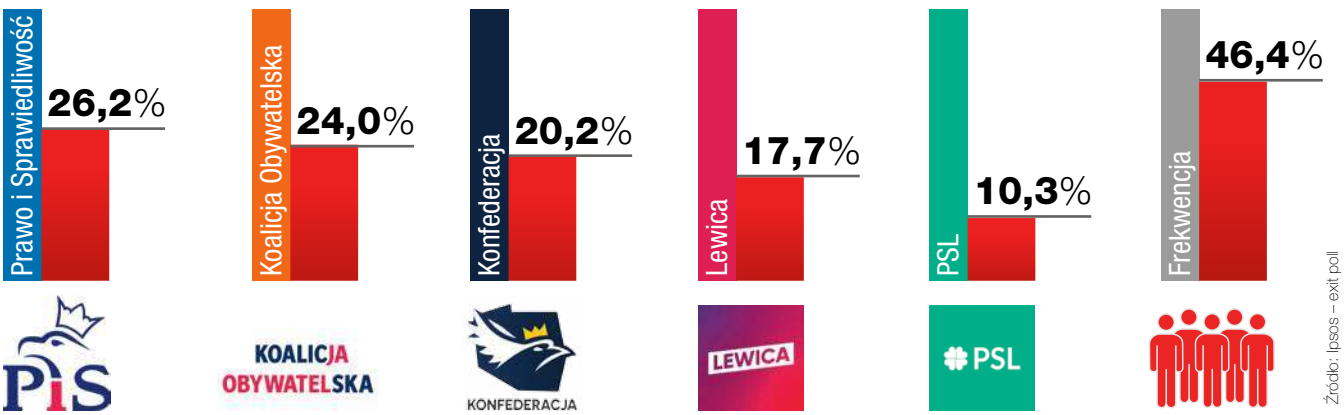
Oficjalne dane Państwowej Komisji Wyborczej są następujące: Prawo i Sprawiedliwość zdobyło 235 mandatów (43,59 proc. głosów); Koalicja Obywatelska – 134 mandaty (27,40 proc. głosów); Sojusz Lewicy Demokratycznej – 49 mandatów (12,56 proc. głosów); Polskie Stronnictwo Ludowe – 30 mandatów (8,55 proc. głosów); Konfederacja – 11 (6,81 proc. głosów), a Mniejszość Niemiecka – 1 mandat (0,17 proc. głosów). W liczbach bezwzględnych wygląda to z kolei tak: na ugrupowanie kierowane przez Jarosława Kaczyńskiego zagłosowało 8 051 935 osób, koalicja stworzona wokół Platformy Obywatelskiej uzyskała 5 060 355 głosów, SLD – 2 319 946, z kolei ludowców poparło 1 578 523 wyborców. Ostatni z komitetów, który dostał się do Sejmu – Konfederacja Wolność i Niepodległość – otrzymał 1 256 953 głosy.

– To jest zwycięstwo na punkty, na pewno nie nokaut. Mam wielką satysfakcję, że wystarczająca liczba Polaków doceniła naszą pracę. Ale mamy świadomość, że druga połowa zagłosowała na inne ugrupowania – komentował Jarosław Gowin na gorąco, jeszcze w trakcie wieczoru wyborczego, w rozmowie z tygodnikiem „Sieci". Z kolei pytany przeze mnie Zbigniew Ziobro zwracał uwagę na stale rosnący pułap poparcia dla PiS: – Po czterech latach to jest ewenement – takiego wyniku nie miała żadna partia. Nasz rezultat urósł w stosunku do tego, co było wcześniej, zatem możemy mówić o sukcesie – podkreślał minister sprawiedliwości. Obaj politycy mają powody do zadowolenia: Solidarna Polska wprowadziła z list PiS 18 parlamentarzystów, tyle samo Porozumienie. To mocne karty przetargowe w dyskusjach i negocjacjach co do składu kolejnego rządu i kierunku, jaki obierze okręt dobrej zmiany.

Lider Zjednoczonej Prawicy Jarosław Kaczyński w trakcie wieczornego przemówienia zaznaczył, że obóz dobrej zmiany ma powody do radości, niemniej jednak potrzebna jest krytyczna refleksja: „Jeśli przed nami kolejne cztery lata rządzenia, to czeka nas najpierw refleksja nad tym wszystkim, co się udało, o czym mówiliśmy, ale także nad tym, co się nie udawało i co spowodowało, że poważna część społeczeństwa jednak uznała, że nie należy nas popierać, mimo przecież zupełnie ewidentnych i oczywistych osiągnięć" – ocenił prezes PiS.

eprasa.pl 3ca8d795e7

Tak głosowali młodzi (18-29 lat)



Źródło: Ipsos – exit poll

O ile w Sejmie możemy mówić o utrzymaniu status quo, o tyle w Senacie doszło do sporych zmian. Z danych Państwowej Komisji Wyborczej wynika bowiem, że w izbie wyższej parlamentu większość będzie miała opozycja. PiS co prawda wygrało wybory i tutaj, zgarniając 48 mandatów, a jeśli doliczyć Lidię Staroń, przeciwko której PiS nie wystawiło konkurenta, nawet 49. Niemniej jednak 43 mandaty senackie dla KO, kolejne 3 dla PSL, 2 dla SLD, wreszcie następne 3 dla sympatyzujących z opozycją, ale startujących z własnych komitetów, dają razem 51. O wybór marszałka Senatu, a także stworzenie względnie stabilnej większości, będzie jednak trudno.

Co realnie może oznaczać zmiana układu sił w Senacie? W teorii sporo, w praktyce – niewiele. Opozycyjna wobec PiS większość może co prawda odrzucać kolejne ustawy, wysyłając do Sejmu setki, a może i tysiące poprawek, niemniej jednak te mogą być szybko odrzucone. Senatorowie mogą więc opóźnić i wydłużyć cały proces legislacyjny o kilka tygodni, utrudnić wybór przez PiS Rzecznika Praw Obywatelskich, wreszcie – wprowadzić swoich przedstawicieli do takich ciał jak kolegium IPN czy KRRiT. Więcej w tym jednak symbolicznych narzędzi niż realnych możliwości wpływu na rzeczywistość polityczną.

Wracając do wyników wyborczych, warto spojrzeć raz jeszcze na mapę poparcia dla poszczególnych komitetów wyborczych. PiS wygrało październikowe wybory w 15 z 16 województw – ostatnim bastionem KO pozostało woj. pomorskie. Schodząc na poziom niżej, ugrupowanie Jarosława Kaczyńskiego zwyciężyło w 36 okręgach wyborczych z 41, a skala zwycięstwa jest jeszcze bardziej widoczna na poziomie poparcia w poszczególnych powiatach i gminach.

Ciekawe i dające do myślenia są również rezultaty poparcia w kolejnych grupach wiekowych – PiS wygrało w każdej z nich, zarówno wśród młodych, jak i wśród seniorów, rzecz jasna z różną przewagą nad poszczególnymi partiami. I tak według sondażu Ipsos (który, co warto odnotować, po raz pierwszy tak celnie oszacował wyniki exit poll w porównaniu z oficjalnymi danymi PKW), PiS największe poparcie uzyskało wśród wyborców powyżej 60. roku życia – aż 55,6 proc. głosów. KO uzyskała w tej grupie 25,3 proc. poparcie, SLD – 10 proc., PSL – 7,4 proc., natomiast Konfederacja 1,1 proc.

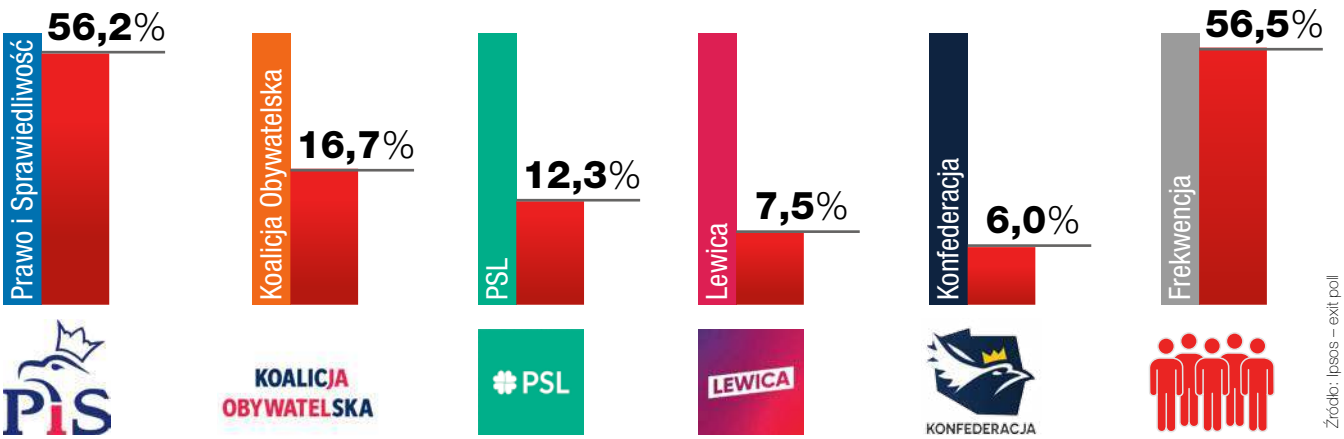
Jak rozkładało się poparcie wśród kolejnych grup wiekowych? Wśród wyborców od 50 do 59 lat PiS uzyskało 51 proc. głosów. KO uzyskała tu 26,3 proc., PSL – 9,9 proc; SLD – 9,2 proc., a Konfederacja – 2,8 proc. W grupie 40–49 lat najwięcej głosów (40,7 proc.) oddano na PiS. 31,7 proc. zagłosowało na KO, 11,6 proc. na SLD, 10,6 proc. na PSL, a 4,3 proc. na Konfederację. Wśród osób od 30 do 39 lat na PiS zagłosowało 36,9 proc. osób. KO zdobyła w tej grupie 29,8 proc głosów, SLD – 12,4 proc., PSL –11,1 proc., natomiast Konfederacja – 8,2 proc. Wreszcie najmłodsi wyborcy, czyli osoby od 18 do 29 lat – PiS uzyskało wśród nich 26,2 proc., KO – 24 proc., Konfederacja – 20,2 proc., SLD – 17,7 proc., a PSL – 10,3 proc.

Ciekawe szacunki można odnotować również wtedy, gdy podzielimy wyborców na poszczególne grupy zawodowe. Badanie Ipsos wskazuje m.in., że wśród rolników ponad dwie trzecie wyborców poparło PiS (67,4 proc.), dobry wynik odnotowało też PSL – 17,1 proc. Z kolei KO w tej grupie uzyskała 7,8 proc., SLD – 3,5 proc., zaś Konfederacja 3,4 proc.

Spore poparcie PiS uzyskało też wśród emerytów i rencistów (56,8 proc.), przy 24,5 proc. dla KO, 10,3 proc. dla SLD, 6,8 proc. dla PSL i tylko 1,1 proc. dla Konfederacji. Natomiast wśród osób bezrobotnych PiS uzyskało 55,6 proc., KO – 16,8 proc., PSL – 11,6 proc., SLD – 7,6 proc., zaś Konfederacja – 6,9 proc. Właściciele lub współwłaściciele firm najchętniej zagłosowali na KO, którą poparło 38,8 proc. wymienionych, PiS – 29,5 proc., SLD – 12,1 proc., PSL – 9,9 proc., a Konfederację – 8,8 proc. Najbardziej wyrównane wyniki sondaż odnotował wśród uczniów i studentów. W tej grupie PiS zajęło trzecie miejsce z poparciem 22,3 proc. Partię tę nieznacznie wyprzedziły KO z poparciem 24,8 proc. i SLD z 23,4 proc. Dobry wynik w tej grupie odnotowała

eprasa.pl 3ca8d795e7

Wieś murem za PiS



Źródło: Ipsos – exit poll

Konfederacja – 17,9 proc., PSL zaś uzyskało 10 proc.

Ankieterzy Ipsos zapytali wyborców wychodzących z głosowania nie tylko o to, na kogo teraz oddali swój głos, lecz i kogo poparli w 2015 r. 90,4 proc. wyborców PiS sprzed czterech lat w niedzielę ponownie zagłosowało na to ugrupowanie. W przypadku KO ten wynik jest znacznie gorszy i wskazuje na całkiem duży przepływ głosów ze strony Platformy (i Nowoczesnej) w kierunku Lewicy oraz PSL. Okazuje się bowiem, że na KO zagłosowało w niedzielę wyborczą zaledwie 68,8 proc. tych, którzy cztery lata temu postawili na PO. Co z pozostałymi wyborcami? 16,1 proc. wyborców Platformy z 2015 r. tym razem oddało głos na Lewicę. 8,5 proc. byłych wyborców PO poparło PSL. 3,7 proc. wybrało PiS, a 2,2 proc. Konfederację. Jeszcze gorzej wyglądają dane w przypadku wyborców Nowoczesnej, która teraz była częścią KO. Elektorat dawnej partii Ryszarda Petru pozostał wierny tej formacji tylko w 53,7 proc. w stosunku do wyników z poprzednich wyborów.

Co z wyborcami mniejszych komitetów w roku 2015? Według sondażu Ipsos 68,4 proc. wyborców, którzy głosowali na PSL cztery lata temu, ponownie poparło to ugrupowanie. Reszta głosów rozłożyła się niemal równo między Lewicę – 10 proc., PiS – 8,9 proc. i 9 proc. – KO. Wyborcy, którzy poparli SLD w 2015 r., w tegorocznych wyborach w zdecydowanej większości (71,4 proc.) zagłosowali na Lewicę. Ponadto 18 proc. wyborców tamtego elektoratu zyskała KO, a 6 proc. PSL. Wśród osób niegłosujących w 2015 r. najwięcej, bo 27,2 proc., oddało swój głos w wyborach 13 października na KO, 23,3 proc. wybrało PiS, a 22,1 proc. Lewicę.

> 90,4 proc. wyborców PiS sprzed czterech lat ponownie zagłosowało na to ugrupowanie. W przypadku KO ten wynik jest znacznie gorszy

Październik 2019 r. będzie również oznaczał pożegnanie z Sejmem przynajmniej dla kilkorga parlamentarzystów, którzy bez powodzenia ubiegali się o mandat w kolejnej kadencji. I tak miejsca przy Wiejskiej zabraknie m.in. dla Stanisława Piotrowicza, Bernadety Krynickiej, Anny Sobeckiej, Piotra Naimskiego, Zbigniewa Gryglasa czy Krzysztofa Czabańskiego (wszyscy z PiS), Piotra Liroya-Marca i Piotra Apela (Kukiz'15), Tomasza Cimoszewicza, Romana Koseckiego, Jerzego Meysztowicza czy Piotra Misiły (KO). W wyborach nie startowali Krystyna Pawłowicz, Marek Jakubiak czy Stefan Niesiołowski, więc i tych barwnych parlamentarzystów zabraknie w Sejmie. Wśród nowych nazwisk warto zwrócić uwagę na swoisty desant młodych polityków. Przy Wiejskiej zadebiutują m.in. Sebastian Kaleta, Jan Kanthak, Rafał Bochenek, Radosław Fogiel czy Michał Woś – wszyscy dostali się z list PiS. Młode pokolenie wśród posłów sejmowej opozycji reprezentować będą po raz pierwszy Aleksandra Gajewska, Klaudia Jachira czy Franciszek Sterczewski (KO), a także kilku działaczy Razem, którzy dostali się do Sejmu z list Lewicy – warto wymienić choćby Paulinę Matysiak i Marcelinę Zawiszę. Październikowe wybory oznaczają również kilka głośnych powrotów w ławy sejmowe. Na Wiejską wrócą m.in. Janusz Korwin-Mikke, Krzysztof Bosak (Konfederacja), a także Joanna Senyszyn, Marek Dyduch, Wanda Nowicka (SLD).

Zanosi się na bardzo ciekawe cztery lata – zarówno w Sejmie, jak i Senacie nie powinno zabraknąć ani ważnych dyskusji i wprowadzanych zmian, ani emocji i gorących wystąpień, ani wreszcie politycznych, zakulisowych gier, które mogą być dodatkowym smaczkiem rozpoczynającej się IX kadencji. Zaprzysiężenie nowych posłów w najbliższy czwartek.

eprasa.pl 3ca8d795e7



Bardzo silny mandat

Po czterech latach rządzenia każda partia zwykle się zużywa, a tutaj mamy przypadek odwrotny. Więcej o 7 proc. głosów, a w liczbach bezwzględnych o 2 mln wyborców. To zdecydowanie jest bardzo silny mandat do dalszego rządzenia, to nagroda za bardzo dobrą sytuację gospodarczą, rekordowo niskie bezrobocie, wzrost średniej płacy krajowej o 30 proc., wzrost płacy minimalnej o 25 proc.

Fot. Maja Krynska

Michał Karnowski rozmawia z prof. Norbertem Maliszewskim (UKSW), psychologiem społecznym, specjalistą ds. marketingu politycznego, publicystą, komentatorem politycznym

Jak pan profesor ocenia wyniki wyborów dla obozu rządzącego? Triumf czy coś poszło nie tak? Oczekiwania były wyższe.

Norbert Maliszewski: Ponad 8 mln głosów to jest historyczny sukces, silny mandat do rządzenia, zmieniania instytucji, utrwalania dokonań poprzedniej kadencji. To też jakaś puenta do rozważań, że ten obóz przejął władzę na chwilę. Problemem może być faktycznie zarządzanie oczekiwaniami. Często mówiliśmy, że jedną kwestią są sondaże, a drugą mobilizacja.

Właśnie, kto się bardziej zmobilizował?

Bardziej zmobilizowali się przeciwnicy obozu rządzącego. Mobilizacja obozu pisowskiego była mniejsza ze względu na strukturę elektoratu. Jeżeli ma się poparcie na poziomie ponad 40 proc., to jest to grupa szeroka, zawierająca w sobie grupy bardziej i mniej zdeterminowane.

Sondaże nie uśpiły czujności? Nie zmniejszyły mobilizacji?

Na pewno w jakimś stopniu tak. Wielu wyborców było przekonanych, że wszystko jest już jasne, zdecydowane. Wyborcy nie widzieli też zagrożenia zwycięstwem strony przeciwnej, przerwaniem programów prorodzinnych, wprowadzeniem polityki lewicowej w sferze obyczajowej, co było bardzo wyraźne w czasie wyborów do Parlamentu Europejskiego. Nie było lęku, że strona liberalna wygra, nie było zatem mobilizacji.

Czy w samej kampanii możemy wskazać coś, co przyczyniło się do mniejszego, niż oczekiwano, wyniku PiS?

Kluczowe były wspomniane czynniki mobilizacyjne, ale gdybyśmy mieli wskazać jakiś konkret, to była to zapowiedź rekordowego wzrostu płacy minimalnej. Projekt był długofalowy, zakładający rozwojowe podnoszenie tego wskaźnika, ale wybita suma 4 tys. zł i gorąca debata wokół tego stworzyła wrażenie, że to stanie się już, natychmiast. Stworzyło to poczucie zagrożenia wśród osób o poglądach wolnorynkowych.

Przed wprowadzeniem tego tematu Prawo i Sprawiedliwość miało rekordowe poparcie w byłym elektoracie Kukiz'15, potem to straciło. Lęk przed obietnicą skokowego wzrostu płacy minimalnej spowodował, że ci wyborcy wsparli PSL i Konfederację. To nie byli tylko przedsiębiorcy, ale wyborcy obawiający się zbyt dużych wydatków – jak to oni określają „na socjal, rozdawnictwo". Jako błąd PiS można też wskazać złą komunikację zmian w ZUS, wprowadzenia proporcjonalnych składek dla najmniejszych firm, które zmierzały do ulżenia przedsiębiorcom, a zostały odebrane w początkowej fazie jako zwiększenie obciążenia dla wszystkich.

Błędem było w ogóle wejście w te tematy czy sposób ich przedstawienia?

Gdy myślano o zwiększeniu płacy minimalnej, dostrzegano tylko pozytywy tego postulatu, czyli zwiększenia elektoratu wrażliwego na niskie płace. A to dotyczy większości Polaków. I to myślenie ma podstawy, Polska nie może być dłużej krajem przede wszystkim taniej siły roboczej. Nie dostrzeżono jednak wystarczająco drugiej strony tego medalu – obaw przedsiębiorców i osób o poglądach wolnorynkowych. Osobiście dostałem wiele maili z pytaniami od zaniepokojonych przedsiębiorców. Tam odbiór tego pomysłu był zdecydowanie negatywny, powiększony przez jego nieprecyzyjną komunikację. Grupy te zdecydowanie częściej głosują na opozycję, ale wcześniej brakowało im niekiedy motywacji do głosowania. Oferta formacji opozycyjnej ich nie zadowalała, teraz dostali motyw, by pójść do wyborów. To było zresztą świadomie podsycane, choćby przez akcję mailingową straszącą Polaków wprowadzaniem zarządów komisarycznych firm przez prokuraturę. Nawet osoby wykształcone, kierujące dużymi firmami nie widziały, że to jest przekaz bazujący na lęku.

Czy te wszystkie sprawy miały wpływ na kampanię do Senatu, gdzie Prawo i Sprawiedliwość o włos nie osiągnęło samodzielnej większości?

W wyborach do Senatu kampanie są dużo bardziej indywidualne. Trzeba pewnie się przyjrzeć, jak wyglądała kampania poszczególnych kandydatów, zwłaszcza tam gdzie poprzednio PiS zdobywało mandaty senatorskie, choćby w okręgach wokół Warszawy. Obwinianie czy to sztabu wyborczego PiS, czy telewizji publicznej za słaby rezultat w pięciu czy sześciu okręgach wydaje się nieracjonalne. Bo dlaczego w innych okręgach, gdzie bywało trudniej, ktoś mógł zwyciężyć, a tu się nie udało? Myślę, że kluczowa była jednak osobista kampania i aktywność kandydata?

Jak pan profesor ocenia siłę tego mandatu, który obóz Jarosława Kaczyńskiego uzyskał? Momentu rewolucyjnego chyba nie ma, jest zgoda na dalsze rządy?

Po czterech latach rządzenia każda partia zwykle się zużywa, a tutaj mamy przypadek odwrotny. Więcej o 7 proc. głosów, a w liczbach bezwzględnych o 2 mln wyborców. To zdecydowanie jest bardzo silny mandat do dalszego rządzenia, to nagroda za bardzo dobrą sytuację gospodarczą, rekordowo niskie bezrobocie, wzrost średniej płacy krajowej o 30 proc., wzrost płacy minimalnej o 25 proc. To też uznanie za programy społeczne, które PiS miało odwagę wprowadzić. O tym, że trzeba uczynić podział dochodu narodowego bardziej sprawiedliwym, mówili od lat ludzie także ze strony liberalnej i lewicowej. Ale nikt nie chciał się tym zająć, nikt nie umiał. PiS to zrobiło i dostało od wyborców nagrodę w postaci drugiej kadencji samodzielnych rządów. Podkreślam: to wszystko poszło zgodnie z planem i założeniami obozu rządzącego. Błędem było jedynie budowanie bańki nadmiernych oczekiwań.

Te, jak pan profesor mówi, bańki nadmiernych oczekiwań zawierały w sobie złudzenie, że obóz III RP

eprasa.pl 3ca8d795e7

zniknął. On jest może poobijany, pogubiony, ale ma ogromne zasoby społeczne, biznesowe, medialne.

To jest najciekawsze moim zdaniem. Pomylono według mnie dwie kwestie. Pierwsza to bardzo słaba kampania, marazm intelektualny Platformy i środowisk wspierających, które popełniały błąd za błędem. Drugą kwestią jest mobilizacja elektoratu liberalnego, która mimo to była silna. Dla tych grup społecznych rządy konserwatywne oznaczają, że władza kieruje się innymi wartościami. Sprawy dla tych ludzi istotne, przeżywane przez nich hasła i postulaty, nie są realizowane. Oni to boleśnie odczuwają i chcą zmiany. Wystarczy popatrzeć na relacje z rozmaitych protestów tych środowisk, by to dostrzec.

Można powiedzieć, że wyborcy liberalni, lewicowy zagłosowali z zatkniętymi nosami? Nie byli zadowoleni z oferty, którą dostali, ale jednak poszli do urn, by zmienić władzę.

Tak, ale warto dostrzec podstawowy deficyt oferty na przykład Platformy Obywatelskiej. Jest nim deficyt umiejętności nowoczesnego przedstawienia wyborcom oferty. Do dzisiaj przecież liderzy PO próbują narzucić Polakom wybór wedle schematu Donald Tusk kontra Jarosław Kaczyński, tylko że tym razem tym Tuskiem miał być Grzegorz Schetyna czy później Małgorzata Kidawa-Błońska. Tym bardziej wynik PiS należy postrzegać jako sukces, efekt dobrych diagnoz i skutecznego działania. Tu zresztą dochodzimy do kolejnego ważnego wniosku z ostatniego czterolecia. W 2015 r. PiS było formacją postrzeganą w dużo większym stopniu jako partia ideologiczna, a dziś ma wizerunek formacji skutecznej, sprawnej, złożonej z profesjonalistów osiągających założone cele.

Dlaczego te socjotechniki PO są już nieskuteczne?

Polacy nauczyli się przez osiem lat rządów PO-PSL, że ta skrajna personalizacja polityki to przykrywka do braku działań. Drugim takim schematem jest koncentrowanie uwagi na klimacie polityki, nastrojach, budowanie wrażenia, że coś strasznego się dzieje. Polacy pamiętają ten zabieg z lat 2005–2007 i wiedzą, że to się nijak miało do rzeczywistości. To wszystko nie zadziałało nawet na wyborców liberalno-lewicowych, oni poszli zagłosować nie z powodu kampanii opozycji, ale pomimo niej.

W 2015 r. PiS było formacją postrzeganą w dużo większym stopniu jako partia ideologiczna, a dziś ma wizerunek formacji skutecznej, sprawnej, złożonej z profesjonalistów osiągających założone cele

Może to efekt Nobla dla Olgi Tokarczuk i jej pierwszego apelu, bardzo politycznego?

Nie sądzę. Naszą nową noblistkę można raczej potraktować jako przykład wyborcy lewicowo-liberalnego, który nie patrzy na wskaźniki społeczne i gospodarcze, który nie ocenia jakości propozycji opozycyjnej, ale za wszelką cenę chce, by rząd reprezentował jej wartości, a nie konserwatywne. Do czego ma oczywiście prawo.

Zatrzymajmy się chwilę po stronie opozycyjnej. Cztery lata temu zaczynała ona od hasła totalności, potem była „ulica i zagranica", na ostatniej prostej czarowanie obietnicą „współpracy, a nie kłótni". Mimo wszystko władzy nie odzyskała. Czy teraz możemy się tam spodziewać jakichś poważniejszych przegrupowań, rozliczeń wewnętrznych?

Narracje, które są budowane poprzez sumowanie głosów i podnoszenie, że w liczbach bezwzględnych cała opozycja zdobyła więcej głosów, zdają się wskazywać, że może tam wygrać samozadowolenie. Ale fakty są takie, że Grzegorz Schetyna przegrał trzecie wybory z rzędu, cierpi na wyraźny brak charyzmy. Co więcej, wysuwając w końcówce kampanii Kidawę-Błońską, w jakimś sensie przyznał się do tych deficytów. Do tego jego partia zaprezentowała bardzo miałki, mało pogłębiony intelektualnie program. Wszystko przemawia za tym, aby zmienić lidera Platformy. Jeżeli ta partia pozostanie przy Grzegorzu Schetynie, to będzie to tylko wyraz jej słabości i wcześniejszego ułożenia list, z których ewentualni konkurenci zostali wyeliminowani.

A lewica? Czy ta kampanijna jedność tak różnych środowisk może się utrzymać?

Mogą się tam pojawiać spory na tle światopoglądowo-gospodarczym, ale wydaje się, że dla SLD, Wiosny i Partii Razem wejście do Sejmu jest tak dużym sukcesem, iż będzie ich skłaniało do wspólnego działania przynajmniej na początku. Kiedy minie miesiąc miodowy, pojawią się spory, a przy próbach ułożenia na nowo opozycji, potencjalnych pęknięciach nie tylko w KO, lecz i na lewicy ich nie zabraknie. Można się spodziewać co najmniej zmiany klubu przez niektórych posłów, prawdopodobne są także scenariusze budowania nowych sojuszy.

PSL świętuje sukces. Słusznie?

W tej partii ku zaskoczeniu wszystkich dokonała się faktycznie pewna zmiana, udało jej się pozyskać część elektoratu Kukiz'15, a nawet byłych wyborców PO, zniesmaczonych jej kampanią. Był to jednak wybór na zasadzie mniejszego zła, ta identyfikacja jest słaba. Co więcej, PSL i Platforma są skazane na walkę pomiędzy sobą o ten sam elektorat. Podobnie Lewica i PO. Będzie też walka o przywództwo nie tylko w Platformie, lecz w całej opozycji. Dlatego też ten scenariusz tworzenia nowych sojuszy, przetasowań, jest bardzo prawdopodobny.

eprasa.pl 3ca8d795e7

A skąd wynik Konfederacji? Jakieś rozczarowanie PiS części wyborców konserwatywnych?

Według mnie odpowiedź jest prostsza. Musimy pamiętać, że w każdych ostatnich wyborach parlamentarnych pojawiała się formacja buntu, sprzeciwu, która okazywała się atrakcyjną ofertą dla młodych wyborców. Trochę o tym ostatnio zapomnieliśmy, ale potwierdziło się, że taki mechanizm jest wpisany w wybory Polaków. Teraz też pojawiła się taka moda, mimo programu, który na przykład przez studentów może być traktowany jako kontrowersyjny. To jest taka żółta kartka, którą młodzi pokazują wobec tego, co się dzieje.

Co konkretnie im się nie podoba?

Na przykład programy prorodzinne, prospołeczne. To są wyborcy nastawieni bardzo wolnorynkowo, libertarianie. Wyborcy Konfederacji to nie są ultrakonserwatyści. Oczywiście to nie wyklucza prób stawiania PiS przez liderów Konfederacji w sytuacji trudnej, poprzez zgłaszanie projektów wzbudzających silne społeczne emocje. Testowanie w sprawie zmian prawa aborcyjnego. Partia rządząca musi zaś szukać salomonowych rozwiązań i poszukiwać zrozumienia pośród części katolickich wyborców, bo huśtawka ideologiczna może doprowadzić do zmiany władzy, wzrostu popularności lewicy i liberalizacji prawa aborcyjnego. Partia rządząca musi stabilizować nastroje. Nie tylko społeczne, lecz i wewnątrz. Są obawy w ramach samej Zjednoczonej Prawicy o spójność obozu. Odpowiedzią może być wyraźniejsza gra na wielu fortepianach w ramach Zjednoczonej Prawicy, tym bardziej że jak się ma poparcie ok. 44 proc., to trudno z przekazem trafiać do wszystkich. Solidarna Polska czy tacy liderzy jak Patryk Jaki mogą się częściej zwracać do narodowców. Porozumienie Jarosława Gowina może adresować swój przekaz do wyborców konserwatywnych, ale nieco bardziej liberalnych gospodarczo. PiS zaś może pozostać przy swoim wizerunku. Według mnie za mało korzysta z owoców własnego sukcesu gospodarczego, za mały nacisk kładzie na swój realny dorobek. Można powiedzieć, że nie jest już lokalną Polo-Cocktą, ale silną, nowoczesną marką jak Coca-Cola. To jest naprawdę mocna strona tej partii, pozwalająca powalczyć nie tylko na wsi, w małych miejscowościach, lecz także w większych miastach.

> Według mnie PiS za mało korzysta z owoców własnego sukcesu gospodarczego, za mały nacisk kładzie na swój realny dorobek. Można powiedzieć, że nie jest już lokalną Polo-Cocktą, ale silną, nowoczesną marką, jak Coca-Cola

Jak to zrobić?

Problemem jest to, że PiS za bardzo koncentruje się na wybranych grupach społecznych, opisanych jako młodzi z małych lub dużych miejscowości, zarabiający tyle lub tyle. A tymczasem po pierwsze ta rzeczywistość jest bardziej złożona, a po drugie partia Jarosława Kaczyńskiego znacząco przesunęła się i na Zachód, i do miast, i do grup zadowolonych z własnej sytuacji. Tego nowego wyborcę można opisać jako człowieka sukcesu, dobrze zarabiającego, o konserwatywnych poglądach, ale nie z metropolii. Często jest to duże miasto powiatowe. Formacja rządząca musi o tych ludziach lepiej pamiętać, ma tam zresztą jeszcze duże rezerwy. Realizując programy społeczne, nie może naruszać ich poczucia bezpieczeństwa.

Często pan profesor podkreśla, że to nie oznacza przesuwania w stronę centrum, co jest takim komentatorskim wytrychem. Dlaczego?

Tu nie chodzi o żadne centrum, ale dostrzeżenie, iż pojawiają się wyborcy o poglądach konserwatywnych, ale dobrze sytuowani, ciężko pracujący na własny sukces. Jedną z takich grup, które wyszły w moich badaniach, byli też studenci, aspirujący do tego, by znaleźć po studiach dobrą pracę, założyć firmę. Jeśli przekaz PiS zostanie zawężony do stwierdzenia, że jest to partia wsi, to się ich odrzuci.

Czy w pana opinii obóz prawicowy może się teraz pogrążyć w jakichś sporach, walce o wpływy poszczególnych frakcji, co sugerują media? Nastąpiła tam jakaś redefinicja poszczególnych części składowych tej koalicji?

Pozycja Jarosława Kaczyńskiego nigdy nie była tak silna jak obecnie. Owszem, pojawiają się kalkulacje medialne, że PiS potrzebuje dzisiaj głosów środowiska Jarosława Gowina czy Zbigniewa Ziobry. To jest prawda w jakiejś mierze, trwają negocjacje, co jest racjonalne i naturalne w polityce. Pojawiają się też w sposób naturalny emocje, ale nie są one dobrym doradcą. Warto zapytać, jaką ci panowie mają alternatywę? Ich elektoraty nie zaakceptowałyby podziału. Zresztą już część tych polityków przećwiczyła takie próby i z pewnością pamięta efekt. Liczenie na rozłam jest więc nierealistycznym optymizmem tych środowisk, które źle życzą rządowi prawicy. Pamiętajmy, że politycznym celem najbliższych ośmiu miesięcy jest reelekcja prezydenta Andrzeja Dudy. Z tego punktu widzenia obóz rządzący powinien pozostać w miarę taki sam, z pewnymi oczywiście, jak zawsze korektami. Niektórzy się sprawdzają, inni nie.

Właśnie, czy ta kampania powiedziała nam coś o zbliżającej się walce o prezydenturę?

Na pewno jedna kampania wpływa na kolejną. Tak jak majowa ustawiła październikową, tak ta wpłynie na prezydencką. Z tego punktu widzenia problem Zjednoczonej Prawicy w Senacie ma nie tylko negatywne, lecz i pozytywne strony. Kłopotem obozu rządzącego była bowiem słaba motywacja jego wyborcy, który często nie widział

eprasa.pl 3ca8d795e7

zagrożenia, wydawało mu się, że wszystko jest już rozstrzygnięte, a jedyne pytanie dotyczy skali zwycięstwa. Teraz każdy widzi, że to nieprawda. Że można nie zdobyć większości w Senacie, że prezydent Andrzej Duda też bez mobilizacji nie wygra. Ten ostateczny wynik wyborów prezydenckich zależy jednak od wielu czynników. Na pewno potencjały obozów są w miarę wyrównane. Andrzej Duda będzie musiał zabiegać także o część wyborców Konfederacji, PSL, znajdować drogę do wyborców Kukiz'15. Musi też próbować ofensywy w wielkich miastach, zabiegać o młodych wyborców. Na pewno sytuacja społeczno-gospodarcza będzie mu sprzyjać. Ma wiele atutów w ręku.

Czy po stronie opozycyjnej ta kampania wyłoniła Małgorzatę Kidawę-Błońską jako kandydatkę na prezydenta, czy to przedwczesny wniosek?

> Fakty są takie, że Grzegorz Schetyna przegrał trzecie wybory z rzędu, cierpi na wyraźny brak charyzmy. Co więcej, wysuwając w końcówce kampanii Kidawę-Błońską, w jakimś sensie przyznał się do tych deficytów

Nie postawiłbym takiej tezy. Owszem, zebrała dużą liczbę głosów w Warszawie, ale nie można pomijać wybitnie lewicowo-liberalnego charakteru bazy wyborczej, w której to zrobiła. W całym kraju żaden efekt Kidawy-Błońskiej nie wystąpił, a to chyba było celem całej operacji. Swojej szansy będzie też szukał Donald Tusk, ale on wystartuje tylko wówczas, gdy będzie miał przekonanie o możliwości wygranej. Sondaże są dla niego niełaskawe. Może także po cichu promować Władysława Kosiniaka-Kamysza, aby krzyżować plany Grzegorza Schetyny. To z kolei może osłabić Platformę, zatem ta będzie musiała wystawić własnego kandydata. Podobnie jak przed wyborami jesiennymi opozycję czeka spór, być może przetasowania, rozłamy, czas upływa, a budowanie strategii wymaga wielu miesięcy prac, bo inaczej jest chaos, nieprzemyślane decyzje. Zyskuje na tym prezydent Andrzej Duda, który pracuje, mobilizuje własny elektorat. Nie może jednak popełnić błędu i lekceważyć ewentualnego konkurenta, gdyż te potencjały elektoratów są bardzo podobne i od ich wysiłku, a także obozu Zjednoczonej Prawicy zależy końcowy wynik.

AUTOPROMOCJA

GAZETA BANKOWA
NAJSTARSZY MAGAZYN EKONOMICZNY W POLSCE

POLSKI KOMPAS 2019

ROCZNIK INSTYTUCJI FINANSOWYCH I SPÓŁEK AKCYJNYCH



Bezpłatna wersja elektroniczna do pobrania na **gb.pl** *oraz w* **App Store** *i* **Google Play**

PARTNER ZŁOTY: ORLEN

PARTNERZY STRATEGICZNI: accenture, Bank Pekao, Energa

PARTNERZY GŁÓWNI: BANK GOSPODARSTWA KRAJOWEGO, KGHM POLSKA MIEDŹ, PZU, LOTOS, PKP POLSKIE KOLEJE PAŃSTWOWE Spółka Akcyjna, SALTUS UBEZPIECZENIA, TOTALIZATOR SPORTOWY

PARTNERZY: arp Agencja Rozwoju Przemysłu S.A., GPW, PGNiG, PKPCARGO

PARTNER TECHNOLOGICZNY: HUAWEI

eprasa.pl 3ca8d795e7

Pisowski Mount Everest

W ciągu ostatniej dekady żadna partia nie odniosła porównywalnego zwycięstwa wyborczego w żadnym państwie Unii Europejskiej, z wyjątkiem Węgier Viktora Orbána. Nie ma wątpliwości, że Jarosław Kaczyński rozstrzygnął wieloletnią batalię o władzę na swoją rzecz. I najbliższe lata będą w związku z tym czasem jego osobistej hegemonii nad polską polityką



JAN ROKITA

Dość osobliwa była pierwsza reakcja liderów obozu rządowego na przygniatające zwycięstwo PiS. Jarosław Kaczyński wyglądał na rozczarowanego i w pierwszym zdaniu po ogłoszeniu wyników oznajmił: „Zasłużyliśmy na więcej". Jarosław Gowin z troską wymalowaną na twarzy nawoływał zaś do „głębokiej refleksji" nad faktem, iż „połowa społeczeństwa na nas jednak nie głosowała". W jakimś sensie normalnie (jak na tę sytuację) zachował się w tamten niedzielny wieczór tylko Mateusz Morawiecki, przytomnie zauważając, iż jeszcze nikt w najnowszych dziejach polskiej demokracji nie zyskał takiego wyborczego poparcia jak PiS w 2019 r.

Dla pełności kontekstu to oczywiste spostrzeżenie premiera, powtarzane w następnych dniach przez wszystkich pisowców do znudzenia, wymagałoby uzupełnienia. W ciągu ostatnich lat żadna partia nie odniosła porównywalnego zwycięstwa wyborczego w żadnym państwie Unii Europejskiej, z wyjątkiem Węgier Viktora Orbána . Rządzący we Francji En Marche zyskał w ostatnich wyborach 28 proc., a włoski Cinque Stelle 33 proc., tyle samo, ile sprawująca władzę w Niemczech chadecja.

Ten początkowy ton PiS zmienił się radykalnie następnego dnia, wraz z poniedziałkowym oświadczeniem Kaczyńskiego. Była już w nim mowa o tym, że to „najlepszy dzień w historii PiS", a sam prezes partii nie wyobrażał sobie, „że możemy funkcjonować na poziomie 8 mln głosów". Ale to już była przemyślana korekta nastrojów. Jest jasne, że to raczej pierwotna, w miarę spontaniczna, reakcja bardziej autentycznie oddaje nastawienie szefostwa PiS. Niewykluczone skądinąd, że pewne rozczarowanie Kaczyńskiego brało się z nadchodzących doniesień o nie najlepszych dlań wynikach warszawskich. Ale generalnie wygląda na to, iż na szczytach obozu władzy na serio liczono na wyniki sięgające 50 proc. Tyle tylko, że takie rachuby świadczyłyby o zdecydo-

eprasa.pl 3ca8d795e7

wanie przesadzonych oczekiwaniach, a przede wszystkim o nadmiernej wierze w zapanowanie przez PiS nad duszami Polaków.

HEGEMON

Nie ma wątpliwości, że Kaczyński rozstrzygnął teraz wieloletnią batalię o władzę przeciw PO na swoją rzecz. I najbliższe lata będą w związku z tym czasem jego osobistej hegemonii nad polską polityką. Przeszło dwumilionowy (w liczbach bezwzględnych) przyrost elektoratu PiS w stosunku do wyborów 2015 r. nadaje silną legitymizację owej hegemonii, w sytuacji gdy Platforma (liczona wraz z byłą Nowoczesną) zachowuje w tym czasie mniej więcej stagnację poziomu elektoratu (przyrost o 200 tys.). Oznacza to, że czterolecie skrajnie konfliktowej polityki wyszło – summa summarum – jednoznacznie PiS na zdrowie. Jeśli w te „legitymistyczne rachunki" włączyć jeszcze Lewicę, to okazuje się, że frekwencyjny przyrost wyborców tak rozumianego obozu „twardej opozycji" wyniósł nieco poniżej jednego miliona wyborców, czyli ponaddwukrotnie mniej niźli przyrost PiS.

Trudno w związku z tym na serio traktować tezę, w dniach powyborczych głoszoną przez nieusatysfakcjonowanych prorządowych publicystów i analityków, że „wybory nie doprowadziły do przechylenia szali". Być może takie opinie mają na celu już z góry przygotowywanie zwolenników PiS na przyszłoroczną mobilizację w wyborach prezydenckich. Ale gdy idzie o nagie fakty, to jest najzupełniej jasne, że szala została przechylona na korzyść PiS. A przeszło milionowa nadwyżka przyrostu głosów nad przeciwnikami dowodzi, iż przechył ów jest nawet całkiem wyraźny.

NIEWYGODNE FAKTY

Ten generalny obraz jest daleko ważniejszy, niźli mogące go przesłaniać trzy niewygodne dla PiS, ale partykularne fakty. Pierwszy to kiepski relatywnie wynik samego Kaczyńskiego, zdystansowanego w Warszawie przez Małgorzatę Kidawę-Błońską stosunkiem głosów 3:5. Jednak wynik ten wiele mówi o rozkładzie społecznych sił w samej stolicy, zdecydowanie i zapewne trwale niekorzystnym dla PiS, i to z tendencją do coraz silniejszego przechyłu na lewo. Ale w gruncie rzeczy nie mówi zgoła niczego o trendach polityki ogólnopolskiej.

Podobnie rzecz ma się z drugim niewygodnym faktem, jakim jest tylko minimalne przekroczenie w Sejmie przez PiS bezwzględnej ilości mandatów (zaledwie o pięć). To z kolei oczywisty rezultat polskiego systemu wyborczego, który ogranicza wysokość premii za pierwsze miejsce w warunkach dość dużych okręgów wyborczych, a czyni to zwłaszcza wówczas, gdy jest mało tzw. głosów zmarnowanych. Tak się właśnie stało w tych wyborach, gdyż cała piątka ogólnopolskich komitetów wyborczych przekroczyła próg wyborczy (zarówno ten formalny 5-procentowy, jak i ten naturalny, wynikający z wielkości okręgów), tym samym biorąc udział w podziale wyborczej premii. Ten efekt to znów żadna informacja na temat trendu do wzmacniania się albo słabnięcia PiS, ale skutek rzadkiej dotąd w Polsce konfiguracji wyników wyborczych, sprzyjającej skądinąd pełniejszej proporcjonalności i zróżnicowaniu obecnego Sejmu (co prawdziwi fani demokracji zwykli uważać za rzecz bardzo dobrą).

> Szala została przechylona na korzyść PiS. A przeszło milionowa nadwyżka przyrostu głosów nad przeciwnikami dowodzi, iż przechył ów jest całkiem wyraźny

W końcu tak samo rzecz się ma z trzecią i najbardziej spektakularną dokuczliwością wyniku wyborczego dla obozu władzy, czyli utratą wyraźniej dotąd większości w Senacie. Cztery lata temu PiS wzięło Senat nie dlatego, że w podziale jednomandatowym dysponowało bezwzględną przewagą w tak wielu okręgach, ale z racji jednoturowego charakteru tego głosowania, czyli wystarczającej do wyboru senatora większości względnej. Przed obecnymi wyborami opozycja zawarła pakt likwidujący de facto ową sztuczną (bo względną) przewagę PiS, poprzez eliminację konkurencji pomiędzy kandydatami opozycyjnymi. Nie była to ani żadna „zmowa" (jak można było przeczytać na prawicowych portalach), ani tym bardziej żaden naganny wybryk łamiący demokrację. Był to natomiast akt zdrowego politycznego rozsądku, dowodzący, że opozycja przestała ignorować (tak jak cztery lata temu) wiedzę na temat mechanizmu działania senackiego systemu wyborczego. I krok ten okazał się skuteczny. Ale znowu fakt ów niczego nie mówi o wzroście bądź słabnięciu PiS, tylko najwyżej o pewnej roztropności liderów opozycji.

ZAKORZENIENIE

Powtórzmy: wszystko to są całkiem niebłahe dokuczliwości dla PiS, które w taki czy inny sposób stanowić będą teraz praktyczny kłopot dla obozu władzy. Ale wobec kwestii zasadniczej, czyli pytania o globalny trend, jaki ujawnia się w tych wyborach, nie są to rzeczy istotne, ale akcydentalne. Fakt kardynalny dla diagnozy polskiej polityki to obiektywny i wyraźny trend głębszego społecznego zakorzeniania się PiS.

Ale już interpretacja jego źródeł jest kwestią znacznie bardziej nieoczywistą. Dwa czynniki są tu zapewne nowością, jaka ujawniła się w ciągu ostatniego czterolecia. Pierwszy z nich, najlepiej znany (nazwijmy go „merkantylnym"), to zadowolenie i wdzięczność beneficjentów licznych transferów finansowych ze strony państwa oraz szybkiego wzrostu płac. Krytycy tej polityki nie bez racji podkreślają jej bezprecedensowość w najnowszych dziejach polskiej demokracji. Nikt dotąd tak metodycznie i z takim rozmachem nie wykorzystał bowiem tej najprostszej metody społecznego zakorzeniania partii.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 3ca8d795e7



13 października PiS utraciło wyraźną dotąd większość w Senacie

Fot. Andrzej Stwarczyński

Bardziej nieoczywisty jest natomiast czynnik drugi, który można by nazwać metapolitycznym. Spora grupa nowych wyborców PiS to tacy, dla których wyboru kluczowa stała się nie tyle sama „polityka", czyli np. sposób rządzenia (niekoniecznie budzący ich entuzjazm), ile raczej zdefiniowanie kulturowej roli PiS jako swoistego obrońcy cywilizacji, w obliczu rozprzężenia norm obyczajowych i walki z religią. Wrażenie, że PiS jest tutaj zaporą przed jakąś wielką i niebezpieczną falą idącą przez Polskę, umocnili zwłaszcza nie tyle nawet opozycyjni politycy, ile ich ideologicznie sfanatyzowani sojusznicy ze świata mediów i kultury. Co ważne, owi metapolityczni wyborcy PiS to bynajmniej nie tylko „katolicy ludowi" ze wsi i małych miast na Mazowszu i Podkarpaciu (choć ci zapewne przeważają w sensie ilościowym). Lecz także spora grupa katolickich inteligentów, skonsternowanych antyreligijnym radykalizmem znacznej części świata mediów i kultury.

Dwa przykłady tego zjawiska z dni bezpośrednio poprzedzających wybory. Wybitny reżyser Krystian Lupa (który przy okazji na łamach „Rzeczpospolitej" nazywa obóz rządzący „kliką" strasznych ludzi) swoją walkę z PiS uzasadnia marzeniem o „świecie bez wojen, granic i religii", jaki jego zdaniem miał nastąpić po upadku komunizmu, ale nie nastąpił. W związku zaś z Nagrodą Nobla dla świetnej pisarki Olgi Tokarczuk tabloidy przypomniały tuż przed wyborami jej opowieść o neopogańskich obrzędach inicjacji, jakie swego czasu urządziła dla własnego syna (z „wielkim ogniskiem i uroczystym obcinaniem długich włosów"), jako alternatywę dla odrzuconej nauki religii i pierwszej komunii. Mówiąc wprost, tego typu deklaracje najwybitniejszych ludzi polskiej kultury u sporej liczby wyborców (także u niżej podpisanego) budzą autentyczną grozę. I ta groza to jeszcze jeden korzeń, którym PiS wrasta w tkankę społeczną.

SZKLANY SUFIT

To wszystko w żadnym jednak razie nie znaczy, że PiS nie osiąga właśnie swojego szklanego sufitu. Generalnie w zachodnich demokracjach jest dzisiaj tak, że ostre spory ideologiczne dzielą mniej więcej społeczeństwa w proporcji pół na pół. Zważywszy, że nigdzie w Europie nie ma już de facto systemu dwupartyjnego, osiągnięcie w normalnych (tzn. nie wojennych ani nie rewolucyjnych) warunkach poparcia wyborczego na poziomie 50 proc. jest więc niemożliwością. Węgry nie są z tego punktu widzenia dobrym przykładem, gdyż tam władza sparaliżowała partie opozycyjne, używając do tego metod miękkiego autorytaryzmu.

Wbrew twierdzeniom polskiej opozycji (i marzeniom niektórych fanatycznych zwolenników PiS) nie ma żadnych przesłanek, aby się spodziewać podobnego kierunku rozwoju polskiej polityki. Polski trend będzie więc raczej zbliżony do europejskiej średniej. Co więcej, oba obecne źródła głębszego zakorzeniania się PiS mogą w nieodległej przyszłości co nieco wysychać. Czynnik merkantylny będzie słabnąć, zwłaszcza wobec zaczynającej się ciemnej fazy cyklu globalnego kapitalizmu. Ogólne słabnięcie religii w toku zmiany pokoleniowej nie będzie zaś sprzyjać rozrostowi grupy wyborców metapolitycznych. Dość zatem prawdopodobne, że wybory 2019 r. przejdą do dziejów polskiej demokracji jako pisowski Mount Everest.

eprasa.pl 3ca8d795e7



Co dalej?



STANISŁAW JANECKI

Przed Zjednoczoną Prawicą stoi wybór: albo dotychczasowymi metodami zapewni sobie poparcie na poziomie 9 mln głosów, co wydaje się bardzo trudne, albo utrzymując poparcie na poziomie ok. 8 mln głosów, stworzy możliwość zawarcia jakiejś koalicji, a co za tym idzie – doprowadzi do zburzenia jednolitego opozycyjnego frontu, który na dłuższą metę jest dla rządzących zagrożeniem

Największym problemem zwycięskiej Zjednoczonej Prawicy są wybory parlamentarne w 2023 r., choć wydaje się, że to kwestia bardzo odległa zarówno w czasie, jak i jeszcze niedookreślona merytorycznie. Zupełnie inaczej wygląda rządzenie przy założeniu czy prognozowaniu, że druga kadencja będzie ostatnia, a inaczej, gdy celem jest przedłużenie mandatu jeszcze co najmniej na trzecią kadencję. Tym bardziej że przedłużenie sprawowania władzy po jednej pełnej kadencji zdarza się w Polsce po 1989 r. dopiero drugi raz.

Inny jest jednak punkt startu: Platforma Obywatelska (w koalicji z Polskim Stronnictwem Ludowym) zaczynała w 2011 r. drugą kadencję, mając wynik o 2,33 pkt proc. gorszy niż w 2007 r. (koalicyjne PSL straciło 0,55 pkt proc.), natomiast Zjednoczona Prawica rozpoczyna ją w 2019 r., mając wynik aż o 6,01 pkt. proc. lepszy niż w 2015 r. W wypadku PO już na starcie było widać tendencję spadkową, w wypadku PiS zaś mamy tendencję wzrostową. W 2019 r. PiS pobiło nawet rekord wszystkich wyborów parlamentarnych w III RP, gdyż na jego listy głosowało 8 051 935 wyborców (wcześniej najwięcej wyborców – 6 701 010 głosowało w 2007 r. na PO). Ale PO (w koalicji z PSL) nie miała w 2011 r. wszystkich pozostałych sejmowych ugrupowań przeciw sobie, tak jak ma PiS w 2019 r. Przeciwnie,

Andrzej Iwańczuk/REPORTER

eprasa.pl 3ca8d795e7

obecne wtedy w Sejmie Sojusz Lewicy Demokratycznej oraz Ruch Palikota w każdej chwili mogły się stać sprzymierzeńcami rządzących, gdyby była taka potrzeba. Poza tym na starcie do drugiej kadencji koalicja PO-PSL miała absolutną większość w Senacie (65 mandatów), podczas gdy PiS jest obecnie w izbie wyższej w mniejszości (48 mandatów).

PONAD PIENIĘDZMI I WYGODĄ ŻYCIA

Dla rządzących ważne są nie tylko cele do zrealizowania w drugiej kadencji, ale też związana z nimi zdolność do wygrywania kolejnych wyborów, a przez to umocnienia procesów i przemian zainicjowanych w pierwszej kadencji. Gdyby nie dbać o perspektywę wygrania kolejnych wyborów, ma się zupełnie inne priorytety i właściwie nie ma ograniczeń, jakie ta perspektywa nakłada. A PiS zakłada zdolność do rządzenia przynajmniej w trzeciej kadencji, podczas gdy PO tego nie zakładała, jeśli nie od początku drugiej kadencji, to przynajmniej od połowy 2014 r., gdy szef partii i premier Donald Tusk szykował się do objęcia stanowiska przewodniczącego Rady Europejskiej.

Ani drugi rząd Donalda Tuska, ani rząd Ewy Kopacz nie miały żadnego strategicznego celu poza trwaniem u władzy, a przez to umocnieniem pozycji własnego aparatu (także części aparatu państwowego) oraz swojej klienteli. Chodziło wręcz o poszerzenie tej klienteli, żeby to ona (grupy interesów, lobby, część środowisk naukowych, kulturalnych, medialnych, wolnych zawodów itp.) miała motywację i siłę do obrony i wspierania rządzących, by umożliwić uzyskanie przez nich jak najlepszego wyniku w wyborach prezydenckich i parlamentarnych w 2015 r. Choć zapewne nie taki był zamiar, ostatni rok rządów PO-PSL, pod wodzą Ewy Kopacz, był już tylko dryfem nastawionym na dotrwanie do wyborów. Rządzący wtedy liczyli tylko na to, że PiS nie uzyska bezwzględnej większości i będzie miało kłopot w stworzeniu koalicji dającej taką większość.

Po wyborach 13 października 2019 r. Zjednoczona Prawica ma do zrealizowania już rozpoczęty cel strategiczny, czyli budowę polskiego modelu państwa dobrobytu. Zmierzająca do tego celu polityka prowadzona w latach 2015–2019 przyniosła rekordowy w dziejach III RP wynik wyborczy, ale ten wynik dużo też mówi o wielkości ewentualnego poparcia w wyborach w 2023 r. Dla rządzącego obozu wydaje się całkiem jasne, że dotychczasowa polityka socjalna (wielomiliardowe transfery) praktycznie wyczerpała swoje możliwości. To, co rozpoczęto, musi być zrealizowane, ale poza polskim modelem państwa dobrobytu powinien być jeszcze tworzony i wzmacniany ideowy kościec tego państwa w ogóle.

Nie bez powodu europoseł, a wcześniej wiceminister sprawiedliwości, Patryk Jaki, kilka dni po wyborach pytał: „Dlaczego mimo obiektywnych sukcesów: wzrostu gospodarczego, spadku bezrobocia, sukcesów w polityce socjalnej, w bezpieczeństwie (mocny spadek przestępczości), sukcesów w polityce zagranicznej (wizy do USA, Wojciechowski), słabości i śmieszności PO-KO – dalej większość osób wybiera partie opozycyjne? A wzmocniona lewica wraca do Sejmu". Patryk Jaki twierdzi, że przyczyną jest to, iż „nie sięgamy do fundamentów III RP, np. tego, że trwa proces wrogiej socjalizacji społeczeństwa – zamiany flagi biało-czerwonej na »tęczową«, społeczeństwa wolnościowo-konserwatywnego na lewackie. Świat wartości społeczeństwa w większości kształtują media liberalno-lewicowe oraz lewicowe uniwersytety. I smutną puentą tego procesu było oświadczenie rektorów polskich uczelni, że trzeba karać za krytykę ideologii LGBT". W efekcie „za 4 lata, kolejne kilka milionów ludzi skończy ten proces »socjalizacji« i prawica nie będzie miała czego szukać w Sejmie". Albo „sama będzie musiała stać się lewicą, jak brytyjscy konserwatyści, którzy przegapili proces wrogiej socjalizacji społeczeństwa i potem musieli zmienić swój program i zaakceptować małżeństwa homoseksualne i adopcje przez nie dzieci, a teraz (od 2020 r.) wprowadzają obowiązkowe lekcje gender w szkołach!".

Dla tej części obozu władzy, którą reprezentuje Patryk Jaki, celem rządzenia w drugiej kadencji powinno być także zahamowanie „wrogiej socjalizacji", co oznacza skupienie się na wartościach i ideach, gdyż „pieniądz i wygoda życia" to za mało.

GRANICA 9 MLN GŁOSÓW

Już zrealizowane elementy polskiego modelu państwa dobrobytu („pieniądz i wygoda życia") podniosły jakość życia oraz cywilizacyjny poziom grup dotychczas często wykluczonych, przez co zyskały one polityczną podmiotowość i w większości identyfikują sprawcę tego cywilizacyjnego skoku po stronie PiS. I efekty tego widać także w wynikach wyborów, choć oczywiście nie tylko te grupy zdecydowały o wzroście liczby głosów oddanych na PiS aż o 2,3 mln w stosunku do roku 2015. Ale pułap ponad 8 mln głosów wydaje się bliski maksymalnego. A to, przy określeniu się wszystkich pozostałych ugrupowań w parlamencie jako bezwzględnie opozycyjne, oznacza poleganie wyłącznie na sobie, czyli konieczność uzyskiwania bezwzględnej większości przez Zjednoczoną Prawicę. Wystarczy mniejsza mobilizacja własnego elektoratu albo większa opozycyjnego i możliwość uzyskania bezwzględnej większości zniknie, nawet mimo wyraźniej wygranej nad pozostałymi ugrupowaniami. Wtedy będą one bowiem w stanie stworzyć większościową koalicję.

Pierwsza po 13 października 2019 r. próba zmierzenia się ze zjednoczonym frontem opozycji czeka nas już za kilka miesięcy, podczas wyborów prezydenckich. To są oczywiście inne wybory niż parlamentarne. Nie wiadomo, czy w drugiej turze wszyscy będą przeciwko kandydatowi popieranemu przez Zjednoczoną Prawicę (Andrzejowi Dudzie), czy wyborcy posłuchają liderów partii, nie wiadomo też tego, czy i w jakim stopniu w wyborach prezydenckich wezmą udział te same osoby i grupy co w wyborach parlamentarnych. A jednak będzie to test na to, jak sobie radzić wtedy, gdy trzeba zdobyć poparcie grubo ponad 8 mln wyborców, a może nawet ponad 9 mln, jak było w wyborach w 1995 r., gdy zwycięzca zyskał w drugiej turze 9,7 mln głosów (w 1990 r. było to 10,6 mln głosów, ale wtedy w drugiej turze nie było walki łeb w łeb – jak podczas tych następnych).

eprasa.pl 3ca8d795e7

W 2015 r. w drugiej turze wyborów Andrzej Duda nie miał jednak wszystkich przeciwko sobie i przy frekwencji 55,34 proc. do zwycięstwa wystarczyło 8,6 mln głosów. W 2020 r. może być potrzebne grubo ponad 9 mln głosów i skądś trzeba wziąć te ponad 8 mln głosów, a zapewne więcej, gdyż inna będzie struktura elektoratu, który pójdzie do głosowania. I w wyborach prezydenckich w 2020 r. kwestie „wartości i idei" będą ważne, ale nie decydujące. Tak jak ważne jest, czy prezydent pochodzi z własnego obozu czy opozycyjnego, bo wtedy efektywne rządzenie może być wręcz sparaliżowane, szczególnie gdy chodzi o wielkie i śmiałe projekty.

Przed Zjednoczoną Prawicą stoi wybór: albo dotychczasowymi metodami zapewni sobie poparcie na poziomie 9 mln głosów, co wydaje się trudne, o ile w ogóle możliwe, albo utrzymując poparcie na poziomie 8 mln głosów (a może mniejszym), stworzy możliwość zawarcia jakiejś koalicji, a co za tym idzie doprowadzi do zburzenia jednolitego opozycyjnego frontu, który na dłuższą metę jest dla rządzących zagrożeniem. Także z tego powodu, że zamykanie się wyłącznie we własnym kręgu (bezwyjściowość sytuacji) wzmacnia poczucie oblężonej twierdzy i prowadzi do różnych patologii i form degeneracji, choćby intencje były jak najszlachetniejsze. Takie są po prostu skutki długiego sprawowania władzy.

Te problemy są w kierownictwie Zjednoczonej Prawicy identyfikowane i dyskutowane. Dlatego całkiem poważnie jest też analizowana kwestia posiadania partnera po opozycyjnej stronie, nawet gdyby nie było konieczności podzielenia się z nim władzą przed wyborami parlamentarnymi w 2023 r. I nie musi to być wcale koalicjant czysto pragmatyczny, czyli osiągający korzyści ze sprawowania władzy, choć w realnej polityce to też się liczy. Może to być koalicjant, który podziela „wartości i idee", m.in. te, o których mówił Patryk Jaki. Koalicjant, któremu zależy na tym, żeby Polska nie była tylko „papugą narodów" – zarówno w wersji, o jakiej mówił Juliusz Słowacki, jak i w wersji Donalda Tuska (zarówno z czasów gdy był premierem RP, jak i z okresu przewodniczenia Radzie Europejskiej). Koalicjant dostrzegający zagrożenia dla bytu państwa i narodu, wrażliwy na lewicowy „długi marsz przez instytucje", jak i na tworzenie społeczeństwa i człowieka „bez właściwości". Finałem tego procesu może być Federacja Europejska, w której mniejsze narody utrzymają co prawda jakąś autonomię, ale zasadniczo staną się tylko ciekawostką etnologiczną, a społeczeństwa będą tylko mniej lub bardziej bezmyślnymi konsumentami, rodzina w tradycyjnym sensie zaś szkodliwym reliktem.

> Nie istnieje żadna klątwa wiecznego podziału na PiS i antypis, tym bardziej że to podział wyjątkowo szkodliwy dla Polski. Realnie istnieje jakaś możliwość współpracy z PSL oraz Konfederacją, gdyż nie ma tu wyraźnych podziałów ani w kwestiach ideowych, ani dotyczących modelu funkcjonowania państwa

WYJŚCIE Z OKOPÓW?

Równolegle z tworzeniem nowego rządu w gremiach kierowniczych Zjednoczonej Prawicy dyskutuje się o perspektywie wyborów prezydenckich w 2020 r. oraz parlamentarnych w 2023 r. Oraz o generalnej strategii na rządzenie w latach 2019–2023. I nie chodzi o trwanie u władzy, choć to też istotne z punktu widzenia dalekosiężnych planów, lecz także o to, co trzeba i można zrobić obok wdrażania polskiego modelu państwa dobrobytu, żeby przeciwstawić się nie tylko „wrogiej socjalizacji", ale też uodpornić Polskę na procesy rozsadzające „stare" europejskie demokracje. Z drugiej zaś strony na proces usamodzielniania się Komisji Europejskiej, jako rządu europejskiego, i Trybunału Sprawiedliwości UE, jako supersądu europejskiego, wbrew traktatom i wbrew interesom państw członkowskich UE.

Długofalowo wydaje się, że dłużej niż przez nadchodzącą kadencję nie da się rządzić we wrogim otoczeniu wszystkich pozostałych sił obecnych w parlamencie (te pozaparlamentarne w tym rozdaniu, czyli z pięcioma największymi ugrupowaniami w Sejmie, stanowią margines). Sił zjednoczonych jako antypis. I nie da się już rozszerzać polityki społecznej (transferów socjalnych). To wszystko nie znaczy, że nowy rząd nie będzie miał i nie będzie realizował ambitnych celów. Potrzeba jednak do tego szerszego konsensusu. Z tego punktu widzenia brak większości w Senacie może być zachętą do działań, które przy posiadaniu takiej większości byłyby odkładane na później. Szukanie konsensu w Senacie, gdzie zasiada 43 senatorów PO, nie jest łatwe, ale nie chodzi o stworzenie mechanicznej większości, lecz o działanie dla przyszłości.

Nie istnieje żadna klątwa wiecznego podziału na PiS i antypis, tym bardziej że to podział wyjątkowo szkodliwy dla Polski. Realnie wydaje się, że istnieje jakaś możliwość współpracy z PSL (Koalicją Polską) oraz Konfederacją, gdyż nie ma tu ani przepaści ideowej, ani dotyczącej kwestii docelowego modelu państwa. Ale nawet w innych ugrupowaniach opozycyjnych nie ma pod tym względem monolitu.

W polityce nigdy nie warto mówić nigdy, nawet gdy ma się w miarę bezpieczną perspektywę funkcjonowania przez kolejne cztery lata. W miarę, gdyż czekają nas wybory prezydenckie. Jeśli rządzący i część opozycji w pełni uświadomią sobie zagrożenia oraz skutki zaniechania strategicznych reform w razie klinczu, są w stanie współpracować. Tym bardziej i efektywniej, że przez najbliższe cztery lata nie istnieje żaden przymus. Ale Polska nie kończy się na perspektywie 2023 r.

eprasa.pl 3ca8d795e7



Fot. Piotr Molecki / EastNews

Co dalej z opozycją?

Po wyborach Platforma Obywatelska będzie musiała zareagować na zupełnie nowe zagrożenia. To już nie jest tylko PiS, wobec którego wystarczyło być po prostu antypisem, bo taka taktyka wobec PSL i formalnie sprzymierzonej z PO Lewicy nie ma sensu. Trzeba będzie po raz pierwszy od wielu lat ruszyć głowami i pomyśleć nad programem partii, wskazać priorytety, czyli jakoś się wyróżnić na tle bliskiej konkurencji. W tej chwili można jednak wątpić, czy Platforma ma wystarczający potencjał, aby sprostać takim wyzwaniom



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Z wyników wyborów do Sejmu nie wszyscy są zadowoleni. Wyborcy PiS mogą odczuwać pewien niedosyt – pięć mandatów większości sejmowej i utrata tej większości w Senacie nie są powodem do entuzjazmu. Ale podobnie jest z opozycją, zwłaszcza z liderami i zwolennikami Koalicji Obywatelskiej, którzy – co można było zaobserwować po ich pierwszych reakcjach – liczyli na znacznie lepszy rezultat. Okazało się jednak, że nawet mobilizacja ogromnych rezerw nie wystarczyła, aby dać PO powrót do władzy. Rozczarowanie jest więc duże.

SCHETYNA W TARAPATACH

Głównym winowajcą niższego, niż zakładano, wyniku KO ogłoszono przewodniczącego PO Grzegorza Schetynę. Oskarżenia padają na razie ze strony zaprzyjaźnionych z partią publicystów, jasne jest jednak, że zawsze to szef partii ponosi odpowiedzialność za obraną strategię.

Schetyna postanowił konsekwentnie i do samego końca trzymać się rozpoczętej cztery lata temu kampanii negatywnej, rezygnując z debaty programowej i starannie unikając jakichkolwiek sporów merytorycznych z PiS. Symboliczny był tutaj słynny „sześciopak" Schetyny, składająca się z sześciu punktów oferta dla wyborców, słynna tylko dlatego, że zapytany o nią przewodniczący PO nie był w stanie sobie jej przypomnieć.

Rzecz jasna, najbardziej zatwardziały elektorat antypisowski przełykał takie wpadki jak ostrygi, chodziło bowiem nie o program, lecz o odsunięcie PiS od władzy. Jednak w chwili gdy pojawiła się alternatywa w postaci Lewicy oraz PSL, sytuacja się nieco zmieniła. Okazało się, że partia Schetyny jest niewiarygodna dla zwolenników rewolucji obyczajowej, którzy przerzucili swoje głosy na Lewicę, oraz jednocześnie zbyt agresywna jak na standardy umiarkowanych

eprasa.pl 3ca8d795e7



wyborców odpływających powoli w stronę PSL.

Podgryzana z obu stron PO nie potrafiła pod przywództwem Schetyny zatrzymać korozji, pozostając przy jedynej jej znanej strategii, jaką jest eskalacja konfliktu w Polsce. To paliwo wystarczyło dziś na mobilizację 27 proc. wyborców, ale w przyszłości może się okazać, że jest go zbyt mało, aby nadal odgrywać rolę lidera.

Oczywiście zdawano sobie z tego sprawę, ale liczono, że zadziała mechanizm opisany przed wyborami przez socjologa z Uniwersytetu Jagiellońskiego prof. Jarosława Flisa, który przewidywał, że rozbicie głosów opozycji na trzy komitety wyborcze (KO, PSL i SLD) uruchomi nowe rezerwy w elektoracie, co pozwoli wspólnie odsunąć PiS od władzy. I rzeczywiście mechanizm ten zadziałał, jednak nie doceniono równie wielkiej mobilizacji po stronie wyborców PiS, która – dzięki pozyskaniu przez prawicę dodatkowych 2 mln głosów – ostatecznie pokrzyżowała te plany.

To zła wiadomość dla tej grupy zwolenników PO, która z powrotem tej partii do władzy ściśle wiąże swoją osobistą sytuację: rozgoryczonych celebrytów różnej maści i zawodów, urzędników porozrzucanych dziś na samorządowych synekurach w oczekiwaniu na państwowe posady, biznesmenów spekulantów, handlarzy roszczeniami majątkowymi i każdego, komu rządy PiS odebrały lub ograniczyły wcześniejsze przywileje. Dla tych ludzi osłabienie PO na rzecz konkurentów z lewa (SLD, Wiosna, Partia Razem) czy z prawa (PSL) może stanowić zagrożenie. Dlatego zaczęto nawoływać do rozliczeń i nowego otwarcia.

TEFLONOWI RYWALE

Okazją do takich rozliczeń mają się stać zaplanowane na styczeń 2020 r. wybory przewodniczącego PO. Schetyna, któremu kończy się kadencja, znalazł się w dość trudnej sytuacji. Nie ma wielkiego zwycięstwa i odsunięcia PiS od władzy. Schetyna okazał się politykiem niezdolnym do wykonania tego planu. Nawet w swoim rodzinnym Wrocławiu uzyskał mniej głosów w wyborach niż kandydatka PiS Mirosława Stachowiak-Różecka.

Na głównego kontrkandydata wyrasta mu w partii Borys Budka. Niektórzy wspominają o Rafale Trzaskowskim, Bogdanie Zdrojewskim i szeroko lansowanej Małgorzacie Kidawie-Błońskiej. Wśród tych osób należy też zapewne szukać potencjalnych kandydatów PO w przyszłorocznych wyborach prezydenckich, dlatego decyzja o wyborze przewodniczącego partii musi być skorelowana ze wstępnym wytypowaniem rywala Andrzeja Dudy.

Trudno jednak nie zauważyć, że nikt z wymienionej trójki nie wnosi istotnej nowej jakości. To kandydaci teflonowi, pozbawieni jakiejkolwiek głębszej wizji, być może odpowiedni na dobre czasy, ale raczej niezdolni do tego, aby trwale wyprowadzić partię z kryzysu.

Przede wszystkim PO będzie musiała zareagować na zupełnie nowe zagrożenia. To już nie jest tylko PiS, wobec którego wystarczyło być po prostu antypisem, bo taka taktyka wobec PSL i formalnie sprzymierzonej z PO Lewicy nie ma sensu. Trzeba będzie po raz pierwszy od wielu lat ruszyć głowami i pomyśleć nad programem partii, wskazać priorytety, czyli jakoś się wyróżnić na tle bliskiej konkurencji. W tej chwili można wątpić, czy PO ma wystarczający potencjał, aby sprostać takim wyzwaniom.

Pozostanie więc zapewne mieszanka sprawdzonych chwytów: okładanie kłonicą pisowców oraz sztuczne uśmiechy mające świadczyć o „nowym otwarciu". Taka strategia – z braku innej – może się okazać na krótką metę skuteczna, zwłaszcza w trakcie kampanii przed wyborami prezydenckimi, gdy znowu będzie trzeba mobilizować rezerwy. Jednak jest to gra o bardzo wysoką stawkę. Zwycięstwo sprawi, że PO otrzyma dostęp do najważniejszych instytucji państwowych i zachowa dzięki prezydenturze atut głównego rozgrywającego po stronie antypisu. Przegrana kandydata lub kandydatki PO w wyborach prezydenckich musi się zaś skończyć stopniową i zapewne trwałą marginalizacją tego ugrupowania.

Pierwszym sprawdzianem będzie tu gra w nowym parlamencie, gdzie PO będzie się musiała wykazać sporymi umiejętnościami wobec PSL i sprzymierzeńców z Lewicy. Jasne jest bowiem, że obie formacje nie zechcą się podporządkowywać wytycznym idącym z PO.

ROZGRYWAJĄCY CZARZASTY

Jeśli ktoś może być w pełni zadowolony z rezultatów wyborów, to z pewnością jest to SLD. Włodzimierz Czarzasty jest w całkowicie innym położeniu niż Schetyna, bo stał się tym, który wskrzesił SLD i wprowadził tę partię ponownie do Sejmu. Jego pozycja w partii jest więc niekwestionowana.

Czarzasty jest też bardzo sprawnym graczem, który z pewnością dostrzega szansę, jaka pojawiła się przed Lewicą, i nie zamierza być przystawką Platformy. W przypadku porażki PO w wyborach prezydenckich i marginalizacji tej partii to właśnie Lewica staje się głównym pretendentem do przejęcia pałeczki po PO. Świadczyć może o tym nie tylko polityka, lecz również struktura demograficzna wyborców Lewicy, która najwięcej głosów zyskała nie tylko w najstarszej grupie wiekowej (wymierający weterani PZPR), lecz – co znacznie ważniejsze – w najmłodszej (wchodzące do życia publicznego pokolenie dzieci lemingów, wychowane w świeckim, progresywnym obrządku).

Problem, który stoi przed Lewicą, polega na tym, że w tej chwili ma zagwarantowaną jedynie połowę głosów

eprasa.pl 3ca8d795e7

oddanych na PO i na rewolucję pokoleniową (i obyczajową) trzeba będzie jeszcze poczekać, o ile w ogóle do niej dojdzie. Być może jednak można wpłynąć na ten proces i zwiększyć poparcie, umiejętnie łącząc postulaty obyczajowe z socjalnymi, co od dawna postulują różni lewicowi publicyści. A zatem podjąć rywalizację z PiS na płaszczyźnie programów socjalnych w nadziei, że część elektoratu prawicy kieruje się wyłącznie pobudkami ekonomicznymi.

W takim kierunku wydaje się zmierzać grupka działaczy Partii Razem z jej liderem Adrianem Zandbergiem. Zandberg, z bardzo wysoką lokatą wyborczą w Warszawie (140 tys. głosów) i najwyższym poparciem uzyskanym w wyborach przez kandydata SLD, będzie z pewnością zabiegał o znacznie silniejszą pozycję na lewicy. Jednak z drugiej strony jest grupka działaczy Wiosny Roberta Biedronia, która – w odróżnieniu od Zandberga – dąży do bardziej liberalnego programu w obu sferach: socjalnej i obyczajowej, co zbliża ją do lewego skrzydła PO.

Czarzasty staje więc dzięki temu w wygodnej pozycji rozjemcy i głównego moderatora na lewicy. W zależności od sytuacji może wychylać formację raz w jedną, raz w drugą stronę. Wspierając Zandberga, zrobi krok w stronę części socjalnego elektoratu PiS, opowiadając się za ekipą Biedronia, sięgnie po część liberalnych wyborców PO. To trudna taktyka, ale nie niemożliwa, jeśli nie popełni błędów palikotowców i zdoła zaprezentować swoje postulaty w bardziej wyważony sposób, zachowując przy tym – w odróżnieniu od PO – choćby pozory merytorycznej debaty.

MIEJSKIE PSL

Agresywna formuła nie zawsze się sprawdza. Pozwala zmobilizować najbardziej oddanych wyborców, ale odstrasza innych. Przykładem na zasadność tej tezy jest na prawicy uspokojenie kampanii przez PiS, a po przeciwnej stronie – widoczne podczas niedawnych wyborów przepływy wyborców między PO i PSL.

PSL przetrwało wyjście z koalicji z PO, choć z początku wydawało się, że będzie to gwóźdź do trumny ludowców. Władysław Kosiniak-Kamysz, spokojny i nieco flegmatyczny lider PSL, okazał się jednak dzięki tym cechom atrakcyjny dla tych wyborców PO, którzy mieli już dość agresywnego tonu Platformy i jej programowego nihilizmu. Tym samym w miejsce tradycyjnego wiejskiego elektoratu, którego stały odpływ do PiS groził już ludowcom klęską, zyskali oni umiarkowanie konserwatywnych wyborców w miastach. Nie są to wielkie grupy, ale okazały się wystarczające, aby zapewnić reelekcję PSL i dziś pozwolić pełnić tej partii funkcję języczka u wagi w parlamencie. Ludowcy stali się bowiem pożądanym sprzymierzeńcem zarówno dla PO, jak i dla PiS.

Trudno w tej chwili przewidzieć, jak PSL wykorzysta swoją pozycję. Wielu komentatorów jest przekonanych, że ludowcy ostatecznie pójdą na współpracę z PiS. Jednak, biorąc pod uwagę silny konflikt między obydwiema partiami, nie byłbym tego pewien. Porozumienie z PiS byłoby niezrozumiałe dla nowego elektoratu PSL wywodzącego się z PO. Również PiS miałoby pewien problem z wytłumaczeniem swoim wyborcom na prowincji, dlaczego podejmuje współpracę z PSL, choć to akurat byłoby zapewne łatwiejsze.

> Dopełnieniem wyborów do Sejmu będą przyszłoroczne wybory prezydenckie. Wtedy może się rozstrzygnąć dalszy los Platformy, a wraz z nim kształt sceny politycznej w Polsce

Wydaje się więc, że PSL zachowa dystans wobec obu stron sporu politycznego w Polsce, bo właśnie taka taktyka przyniosła ludowcom mandaty w Sejmie, choć niekoniecznie musi to być równy dystans. O tym, z kim będzie ludowcom bliżej po drodze, a z kim dalej, rzeczywiście może zadecydować atrakcyjność złożonej im oferty. Z pewnością jednak PSL będzie podkreślać swój umiar i rozsądek w kwestiach obyczajowych. Na wprzęgnięcie ludowców do wojny ideologicznej raczej nie ma dziś co liczyć. Kosiniak-Kamysz odrobił lekcję z majowych wyborów europejskich.

KONKURENT NA PRAWICY

Kwestie ideologiczne będą za to zapewne głównym paliwem Konfederacji, prawicowej konkurencji dla PiS. Wejście Konfederacji do Sejmu jest problemem dla partii rządzącej, bo rywal, choć niewielki, będzie zmuszał PiS do bardziej wyrazistej postawy w sporach obyczajowych, co może spowodować straty wśród bardziej umiarkowanych wyborców (którzy zyskują alternatywę w PSL).

Z kolei silny libertarianizm konfederatów stoi w sprzeczności z socjalną linią „państwa dobrobytu" realizowaną przez PiS. Odejście, nawet tylko taktyczne, od tej linii daje z kolei szansę na przechwycenie jakiejś grupy elektoratu socjalnego przez Lewicę. A PiS na straty pozwalać sobie nie może, zwłaszcza w obliczu nadchodzących wyborów prezydenckich.

Na szczęście dla partii rządzącej Konfederacja jest dość niespójną grupą, której wewnętrzne zróżnicowanie może jej nie pozwolić na odgrywanie – tak jak w przypadku PSL – języczka u wagi. Nie da się jednak wykluczyć (a nawet jest to dość prawdopodobne), że pojedynczy posłowie tej formacji będą w niektórych sprawach grali wspólnie z opozycją przeciwko PiS.

Październikowe wybory mocno zagmatwały na polskiej scenie politycznej. Dotychczasowy spór PO-PiS, skądinąd wygodny dla obu partii, się skomplikował, bo obie zyskały nowych konkurentów. Momentem decydującym, swego rodzaju dopełnieniem wyborów do Sejmu, będą jednak przyszłoroczne wybory prezydenckie. Wtedy może się rozstrzygnąć dalszy los PO, dziś najbardziej nadgryzionej przez nowych rywali partii głównego nurtu, a wraz z nim kształt sceny politycznej w Polsce. Od wyniku Platformy zależeć będzie bowiem, czy ten kształt zostanie ponownie zabetonowany (w przypadku zwycięstwa PO), czy – przeciwnie – wskutek porażki Platformy zacznie pękać.

eprasa.pl 3ca8d795e7

Dziewiątą kadencję czas zacząć

Ach, cóż to będzie za Sejm! Jeszcze zatęsknimy za minioną, ósmą kadencją parlamentu. Bo w dziewiątej dopiero będzie się działo! W jednej izbie zasiądą przedstawiciele Lewicy, Konfederacji, PiS, KO i PSL. Debaty Klaudii Jachiry z Grzegorzem Braunem mogą przejść do historii

Pożegnania



DOROTA ŁOSIEWICZ

Marek Jakubiak, Stanisław Piotrowicz, Zbigniew Gryglas, Anna Sobecka czy Tomasz Cimoszewicz – to niektórzy z dotychczasowych posłów, których zabraknie teraz na Wiejskiej. Poza Sejmem znaleźli się także Jerzy Meysztowicz, Stefan Niesiołowski, Grzegorz Lipiec, Piotr Misiło, Roman Kosecki i Alicja Dąbrowska, Kornelia Wróblewska, Grzegorz Furgo, Piotr Apel oraz Piotr Liroy-Marzec. Reelekcji nie uzyskał także przewodniczący Rady Mediów Narodowych Krzysztof Czabański.

Wspomnijmy tych posłów, którzy barwnie zapisali się w historii poprzedniego parlamentu.

RYSZARD „SZEŚCIU KRÓLI” PETRU

Drugiego takiego, który szybciej mówił, niż myślał i jeszcze się tym szczycił, chyba już nie będzie. Ryszard Petru to jedyny ojciec partii, który oddał dobrowolnie swoje dziecko w cudze ręce, gdyż nie zorientował się, że uknuto przeciwko niemu spisek. Polityk, który w ciągu jednej kadencji Sejmu wywindował swoje ugrupowanie od zera do dwucyfrowego wyniku, by następnie znów strącić je w niebyt. Gdy ponoć miały się ważyć losy państwa, wybrał się z kochanką na romantyczny, sylwestrowy wypad, udowadniając tym samym, że sejmowy pucz to lipa. Człowiek mem, chodząca wpadka. W Sejmie IX kadencji go nie będzie, nie z powodu decyzji wyborców, a jego własnej. W czerwcu ogłosił, że odchodzi z polityki i wraca do biznesu. Świat biznesu zastygł w przerażeniu. Jednocześnie wtedy komentatorzy zgodzili się, że ten Ryszard to właściwie nie był taki zły, bo nigdy nikogo nie obraził, używał stosunkowo parlamentarnego języka i był dość niegroźny. Przynajmniej dla innych, bo samego siebie załatwił spektakularnie.

PIOTR „JAK BĘDĘ PREZESEM TVP” MISIŁO

Piotr Misiło już był prezesem TVP, już zwalniał dziennikarzy dyscyplinarnie, ale okazało się, że to jego dyscyplinarnie zwolnili wyborcy. Kandydat KO, rozstawiony na ostatnim miejscu listy w Szczecinie, dostał jedynie 1044 głosy. Posła Misiłę zapamiętamy m.in. jako człowieka, którego zaatakowało krzesło. Rzecz działa się podczas nocnego posiedzenia sejmowej komisji sprawiedliwości i praw człowieka. W pewnym momencie Misiło złapał krzesło i zaczął się z nim przeciskać w stronę stołu prezydialnego. Wówczas na głowę spadło mu siedzenie. Jednak poseł się nie poddał. Doniósł mebel przed stół prezydialny i w trakcie obrad komisji wszedł na nie, a następnie zaczął rzucać kartkami ze zgłaszanymi przez opozycję poprawkami. W listopadzie 2018 r. Misiło został zawieszony w prawach członka partii, a kilka dni później wykluczony z Nowoczesnej. „Mój wynik jest dla mnie wielkim rozczarowaniem, ale i nauczką. Powodzenia, Polsko” – podsumował w mediach społecznościowych Misiło. Dobra wiadomość jest taka, że nawet Misiło potrafi wyciągać wnioski.

MAREK „IDIOCI SĄ WSZĘDZIE” JAKUBIAK



Kariera polityczna właściciela browaru Ciechan zaczęła się po akcji wylewania tego piwa w geście protestu przeciw (rzekomo) homofobicznym wypowiedziom Marka Jakubiaka. Milioner, właściciel Browarów Regionalnych, dostał się na Wiejską z list Kukiz’15 i z poparciem Ruchu Narodowego. Jakubiak zaczynał jako wiceprzewodniczący klubu poselskiego Kukiz’15, ale w październiku 2017 r. został odwołany. Po poróżnieniu się z Pawłem Kukizem i odejściu z Kukiz’15 (do dziś nie wiadomo, czy odszedł sam, czy został wyrzucony, bo ile osób, tyle relacji) założył Federację dla Rzeczypospolitej. Następnie przyłączył się do Konfederacji, lecz równie szybko się od niej odłączył.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 3ca8d795e7

Wystartował więc z listy Koalicji Bezpartyjni i Samorządowcy. Komitet uzyskał 0,79 proc. w skali kraju, a sam Jakubiak 3,5 tys. głosów w Krakowie. Byłego posła zgubiła nadmierna inteligencja. Żaden lider partii nie chce mieć w swoich szeregach ludzi mądrzejszych od siebie. Poseł miał riposty ostre jak brzytwa i celne jak strzała. Wraz z brakiem Jakubiaka Sejmowi obniży się iloraz inteligencji. Jednak coś mi mówi, że niebawem znów usłyszymy o jednym z najbardziej medialnych posłów.

KRYSTYNA „TERAZ JA MÓWIĘ” PAWŁOWICZ

„Idę się kurować, sprzątać. Ktoś mi życzy, żebym kolejne porcje sałatki zjadła, zjem i sałatkę” – tak żegnała się z Sejmem prof. Krystyna Pawłowicz, która podobnie jak Ryszard Petru w ogóle nie wystartowała w wyborach. Pawłowicz, przez wielu uważana za najbardziej kontrowersyjnego posła, zostanie zapamiętana m.in. jako twórczyni określenia „myszka agresorka” pod adresem Kamili Gasiuk-Pihowicz. Choć prawda jest taka, że tego określenia po raz pierwszy użył Paweł Kukiz, a posłanka PiS tylko je powtórzyła podczas posiedzenia jednej z sejmowych komisji. Pewnie będzie nam brakować jej wachlarza mocnych ocen, ciętych ripost, soczystych epitetów, niechęci do lewactwa. Do skali zbrodni przeciwko ludzkości media rozdmuchały spożywanie przez nią sałatki na sali plenarnej. Pawłowicz odchodzi z Sejmu spełniona, tak przynajmniej deklarowała na Twitterze.

BERNADETA „NIE WSZYSCY SĄ RÓWNI” KRYNICKA

Tę posłankę PiS zapamiętano po tym, jak uciekała sejmowymi korytarzami przed protestującymi opiekunami niepełnosprawnych dzieci w idealnie dopasowanej do niezłej figury niebieskiej sukience. To jednak nie wszystkie epizody z jej udziałem. W pamięci zapadł mi szczególnie jeden, z czasu kampanii wyborczej. Rzecz działa się tuż przed konferencją prasową kandydatów PiS w Łomży. Bernadeta Krynicka startująca z ósmego miejsca na liście w okręgu białostockim przed rozpoczęciem konferencji poinformowała, że sama zabierze głos. Na te słowa zareagowała startująca z jedenastki Agnieszka Muzyk. Doszło do słownej przepychanki. Wszystko zarejestrowały kamery. Na nagraniu było widać, jak Krynicka podchodzi do Muzyk i do posła Lecha Kołakowskiego, po czym oznajmia, że „też zabierze głos”. „Jeżeli Bernadeta, to ja też” – żachnęła się Muzyk, która w ostatnich wyborach samorządowych ubiegała się o urząd prezydenta Łomży. „Ja jestem posłem” – ripostowała Krynicka. „Ale proszę pani, pani Krynicka, niech się pani nie popisuje jak zwykle. Wszyscy na liście są równi, pani poseł” – przerwała jej Muzyk. „Nie, nie jesteśmy równe” – skończyła Krynicka. Ale obie panie równo dostały czerwone światło od wyborców.



PIOTR „SCYZORYK” LIROY-MARZEC

Raper był jednym z ciekawszych odkryć Sejmu minionej kadencji. Szybko się jednak okazało, że dwóch piosenkarzy w jednym klubie to o jednego za dużo. Po rozstaniu z Kukiz'15 (wykluczenie z klubu wiązało się z uwikłaniem najbliższego otoczenia posła w tzw. dziką reprywatyzację w Warszawie) i krótkim sojuszu z Konfederacją nie udało mu się, podobnie jak Jakubiakowi, znaleźć miejsca na polskiej scenie politycznej. Do wyborów Liroy-Marzec poszedł pod własnym szyldem Stowarzyszenia „Skuteczni”. Niestety, nie pomogło prawie 8 tys. głosów zdobytych w rodzinnych Kielcach. Komitet w skali kraju zgarnął zaledwie 0,1 proc. poparcia. Liroy-Marzec dał się zapamiętać m.in. jako największy adwokat medycznej marihuany, walcząc na rzecz jej legalizacji. Gdy się okazało, że Kukiz wystartuje z list PSL, Liroy podsumował: „Rozumiem, że niektórzy pękają na robocie, ale skończyłeś się, Paweł, zanim się jeszcze zacząłeś”. Z tym że wcześniej skończył się „Scyzoryk”. Przynajmniej jako poseł, bo liczę, że śpiewać nadal będzie.



STANISŁAW „30 SEKUND” PIOTROWICZ

Jego nieobecność w nowym Sejmie to duże zaskoczenie ostatnich wyborów. Szef sejmowej komisji sprawiedliwości i praw człowieka zdobył w Krośnie 10 tys. głosów. Do uzyskania mandatu zabrakło mu ok. 800 głosów. Bezapelacyjnie pokonał go m.in. Marek Kuchciński, któremu nie zaszkodziła afera z lotami. Piotrowicz zostanie w naszej pamięci jako ten, który błyskawicznie przepchnął przez sejmową komisję projekt ustawy o Sądzie Najwyższym (podczas nocnych obrad komisja przegłosowała 1,3 tys. poprawek w ciągu kilku minut) oraz ten, który bezpardonowo odbierał podczas prac komisji głos politykom przeciwnych formacji. Możliwe, że poklasku w oczach wyborców nie znalazło to, że jako prokurator w PRL Piotrowicz podpisywał się pod aktami oskarżenia opozycyjnych działaczy, a także słowa obrony wobec księdza pedofila z Tylawy. Gdy się okazało, że Piotrowicz do Sejmu nie wchodzi, nikt z partyjnych kolegów nie wziął go w obronę.

Powitania

Nowych posłów będzie ponad 170, trudno wymienić wszystkich. Wspomnijmy więc chociaż tych, którzy mogą temu parlamentowi dostarczyć wyjątkowych wrażeń.

KLAUDIA „SMOLEŃSKIE PARÓWKI” JACHIRA

Ta posłanka może dostarczyć parlamentowi wyjątkowych emocji, o ile w ogóle klub Koalicji Obywatelskiej dopuści ją do głosu. Jeśli nawet nie z mównicy sejmowej, to w mediach będzie nam podnosić ciśnienie swoimi teoriami na temat wyborców PiS czy katastrofy smoleńskiej. Posłowie dziewiątej kadencji zastanawiają się, jaki gadżet przyniesie na pierwsze posiedzenie Sejmu. Czy będzie to dmuchana kaczka, kukła Jarosława Kaczyńskiego,

Fot. Andrzej Wiktor (3), Andrzej Skwarczyński, Mateusz Zelnik, Shutterstock

eprasa.pl 3ca8d795e7

czy może gitara. Producenci popcornu już się cieszą na myśl o wzroście sprzedaży ich produktu przed kolejnymi debatami w Sejmie. Jedno trzeba przyznać świeżo upieczonej posłance KO: Klaudia Jachira okazała się w swych prowokacjach tak skuteczna, że znalazła się wśród 460 wybrańców narodu. I choć sama lubiła drwić ze stanu umysłowego wyborców PiS, lepiej nie pytać o stan tych, którzy postawili krzyżyk przy jej nazwisku.

ADRIAN „ZANUDZĘ WAS NA ŚMIERĆ” ZANDBERG

Wystąpień tego posła słuchać będzie prawdopodobnie tylko garstka fanatyków z jego własnego ugrupowania. Jak przed wyborami podsumował portal MakeLifeHarder: „Posłowie Razem chętniej niż o twarzy Schetyny mówią o progresywnym systemie podatkowym, a bardziej niż garsonka Szydło interesują ich warunki pracy w służbie zdrowia. Nic więc dziwnego, że kompletnie nie wpisują się w aktualny dyskurs polityczny”. Taki też jest sam Adrian Zandberg, który w nosie ma wszelkie doniesienia o tym, że przeciętny widz jest w stanie skoncentrować uwagę tylko przez 30 sekund. W sprawie miłości do humusu może znaleźć porozumienie z Klaudią Jachirą.

JANUSZ „HITLER NIE WIEDZIAŁ O HOLOKAUŚCIE” KORWIN-MIKKE



Po ponad ćwierćwieczu przerwy do Sejmu wraca Janusz Korwin-Mikke. Wybrany z list Konfederacji polityk po raz ostatni sprawował mandat posła w Sejmie I kadencji. Choć Korwin-Mikke rytualnie kandydował chyba we wszystkich polskich wyborach, do Sejmu wraca dopiero teraz. Przeważnie na finiszu kampanii udawało mu się powiedzieć coś, co przekreślało jego wyborcze szanse. Tym razem został schowany tak głęboko pod ziemią, że nie zdołał zaszkodzić Konfederacji. Wynik tego ugrupowania tak zaskoczył jej członków, że natychmiast po zwycięstwie zażądali unieważnienia wyborów. W 2014 r. Korwin-Mikkemu udało się dostać do Parlamentu Europejskiego, ale nie mogąc rozsadzić UE od środka, co obiecywał, zrezygnował z mandatu. Konfederacja zdobyła w Sejmie 11 mandatów. Prawdopodobnie każdy poseł tej partii dostarczy nam niezapomnianych wrażeń.

OPOWIEŚCI Z KRYPTY



Po latach nieobecności na Wiejską wracają także znani (co nie zawsze znaczy lubiani) posłowie SLD: Joanna Senyszyn, Marek Dyduch, Włodzimierz Czarzasty. „No Boże! To jest dla mnie fun. Dla 59-letniego komunisty, który wyszedł na ten moment z krypty” – powiedział, rozpoczynając kampanię Włodzimierz Czarzasty. Okazało się, że wyciągnął za sobą z tej krypty jeszcze parę osób. Np. Joanna Senyszyn wraca do polskiego Sejmu po 10 latach przerwy.

TEOFIL „KOSINIAK-KAMYSZ MOŻE WSZYSTKO” BARTOSZEWSKI

To będzie akurat jedna z najbardziej merytorycznych postaci tej kadencji. Warto jednak wspomnieć o dr. Bartoszewskim dlatego, że to pierwszy warszawski poseł PSL od 70 lat. Ostatnim był Stanisław Mikołajczyk. Jak na przedstawiciela partii chłopskiej (choć to już raczej przeszłość) przystało, syn Władysława Bartoszewskiego jest absolwentem Uniwersytetu Warszawskiego i Uniwersytetu Cambridge. Na tym ostatnim także wykładał. Być może to dlatego PSL oddał w tych wyborach wieś, ale podbił za to duże miasta. A ludowość w nazwie partii ma wskazywać na jej powszechność, a nie na związki z wsią. Nieźle to chłopy wykombinowały.

KRZYSZTOF „WEZMĘ ŚLUB Z BIEDRONIEM” ŚMISZEK



I wreszcie w Sejmie znajdzie się życiowy partner Roberta Biedronia, który nie chciał zrezygnować z mandatu w europarlamencie (choć to obiecał w kampanii) i teraz musi żyć ze swoją drugą połową w rozłące. Krzysztof Śmiszek zdobył prawie 42 tys. głosów (drugi wynik po Zandbergu wśród kandydatów Lewicy). Na miejscu przyszłego marszałka Sejmu ograniczyłabym szanse na mijanie się w drodze na mównicę sejmową Śmiszka z posłami z Konfederacji. Może wtedy nie będzie musiała interweniować Straż Marszałkowska.

Opozycja poczuła krew

W normalnej demokracji zwycięstwo PiS byłoby nie do zakwestionowania – ponad 15 proc. przewagi nad największą partią opozycyjną to knockout. Jednak III RP ma inne standardy – sama przyznaje, że opozycja stanowi jeden front, więc jej wynik należy traktować łącznie. Czy w antypisie przeważą różnice, czy wspólny cel – przejęcie władzy?



JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

Kotłowanina wśród dziedziców „okrągłego stołu" trwa na trzech płaszczyznach – kto powinien przewodzić Platformie Obywatelskiej, jak pokonać Prawo i Sprawiedliwość, a także szerzej: co zrobić z tymi Polakami, którzy jednak pozostają konserwatywni i nie dali się zamknąć w narzuconych ramach ciemnogrodu, tylko w liczbie ośmiu milionów poparli środowiska Zjednoczonej Prawicy.

PROJEKT: PLATFORMA DO CELÓW OSOBISTYCH

Jesienią 2014 r. prof. Przemysław Żurawski vel Grajewski sformułował na łamach dwumiesięcznika „Arcana" surową diagnozę wobec polityki prowadzonej przez ekipę PO-PSL. Naukowiec stwierdził, że polityka w latach 2007–2014 była całkowicie podporządkowana Niemcom i żeby to zrozumieć, „trzeba zacząć od określenia istotnego, rzeczywistego, a nie pozornego celu polskiej polityki zagranicznej od schyłku 2007 r. Będę brutalny – celem tym było zdobycie stanowisk dla prominentnych członków ekipy rządzącej i ten cel został osiągnięty. A koszty zapłaciła Polska". Żurawski vel Grajewski mówił o tym w czasie, gdy Tusk został przewodniczącym Rady Unii Europejskiej, a Sikorski zdradził opinii publicznej, że Putin proponował Tuskowi rozbiór Ukrainy. „Do takiej właśnie polityki zgłosili akces, moim zdaniem, ze względów osobistych, a nie państwowych, Sikorski i Tusk. I Sikorski przegrał, a Tusk wygrał. I proszę zwrócić uwagę na to, jak Sikorski gwałtownie wytrzeźwiał. Natychmiast po zakończeniu gry, po tym kiedy już było wiadomo, że on nie będzie nową Ashton, natychmiast powiedział, że Unia i Niemcy nie radzą sobie z wyzwaniem rosyjskim i Amerykanie powinni się silniej zaangażować. To nie wiedział wcześniej?". Słowem – PO od 2007 r. była projektem wywindowania Tuska do międzynarodowej kariery.



„Wszystko jest otwarte" – powiedział Schetyna o kandydaturze Tuska na prezydenta RP po ubiegłotygodniowym spotkaniu z nim w Brukseli

Fot. Twitter

Jeśli przyjmiemy to założenie, to późniejsze porażki PO w polityce krajowej staną się łatwe do wytłumaczenia – mechanizm stworzony dla realizowania planów Berlina i zapłaty Tuskowi za służbę nie sprawdził się, gdy w grę wchodziła reforma państwa czy choćby zwykłe rządzenie, a już szczególnie trzymanie PiS z dala od władzy. Dlatego przyszłoroczne lutowe wybory na przewodniczącego Platformy, kiedy Grzegorz Schetyna będzie się bronił prawdopodobnie przed Borysem Budką lub Bogdanem Zdrojewskim, są

56/0919/F

eprasa.pl 3ca8d795e7

> Opozycja poczuła wiatr w żaglach – „pakt senacki" mimo wątpliwości politologów oraz samych przedstawicieli opozycji zapobiegł większości PiS w Senacie. Niemożliwe stało się możliwe – Zjednoczoną Prawicę można pokonać wspólnymi siłami

kwestią nie tylko zmiany lidera, lecz również zaplanowania dalszych celów – do czego teraz będzie służyła PO? Do kolejnych zagranicznych stanowisk w Unii? Czy może stworzenia symbiozy między zachodnimi firmami drenującymi polską gospodarkę w zamian za wsparcie w utrzymaniu władzy? Kampania wewnątrzpartyjna w PO odpowie na te pytania, ale to, że Tusk włącza się w te wewnątrzopozycyjne rozgrywki może oznaczać, że projekt Platforma może się jego prawdziwym zwierzchnikom jeszcze do czegoś przydać.

WYBORY PREZYDENCKIE

W powyborczych sporach dziedziców okrągłego stołu trwa walka o sukcesję. „Ktoś się przyzwyczaił przed wyborami do tego, że jest liderem opozycji. Po wyborach na pewno już nie ma lidera opozycji, są trzy równoprawne bloki" – powiedział Władysław Kosiniak-Kamysz w wywiadzie dla RMF FM. Miał na myśli oczywiście Schetynę – a więc nawet jeśli lider PO utrzyma się na stołku, to poszukiwania wybawcy od PiS nie zostaną zakończone. Platforma dominuje w atakach na PiS, PSL obłudnie stroi się w szaty partii środka, kompromisu i spokoju, a Lewica ma wiele do ugrania kosztem partii Schetyny. Czy znajdzie się lider, którego poprą wszystkie trzy kolumny opozycji?

16 października na antenie Telewizji Republika prof. Waldemar Paruch stwierdził, że Tusk „jest niewybieralny", tzn. nawet jeśli zdecyduje się na udział w wyborach prezydenckich, to i tak nie wygra. Nie lekceważmy jednak stronnictwa niemieckiego w Polsce. Około 2015 r. prawicowa publicystyka była pewna, że czas Tuska nad Wisłą już się skończył, w 2017 r. zadawano sobie pytanie, czy wróci, a w listopadzie 2018 r. „Newsweek" umieścił na okładce szefa RE na białym

REKLAMA

LECZENIE BEZ KOLEJEK

Indywidualne Ubezpieczenia Zdrowotne w placówkach wybranych Spółdzielczych Kas



SALTUS UBEZPIECZENIA

Informacja o charakterze reklamowym i marketingowym

www.saltus.pl/zdrowotne

eprasa.pl 3ca8d795e7

koniu, z obietnicą dla swoich czytelników, że były premier ponownie powalczy o władzę w Polsce. Dziś już pojawiają się zapewnienia (równie przekonujące jak te wcześniejsze), że Tusk nie wygra – a co pojawi się jutro?

Zwłaszcza że opozycja poczuła wiatr w żaglach – pakt senacki mimo wątpliwości politologów (prof. Antoni Dudek i prof. Kazimierz Kik dla tygodnika „Sieci" nr 34/2019) oraz samych przedstawicieli opozycji, zapobiegł większości PiS w Senacie. Niemożliwe stało się możliwe – Zjednoczoną Prawicę można pokonać wspólnymi siłami. Gdyby jeszcze w wyborach prezydenckich startowali przedstawiciele Konfederacji i PSL, którzy podbieraliby z jednej strony prawicowy, a z drugiej umiarkowany elektorat, to Andrzej Duda straciłby przynajmniej w pierwszej turze setki tysięcy głosów.

Tymczasem Schetyna chce kontynuować promowanie Małgorzaty Kidawy-Błońskiej. „Żeby zatrzymać rząd PiS w robieniu szkód, trzeba mieć siłę prezydenckiego weta" – powiedział 16 października Tusk. Wezwanie ostatniej nadziei III RP jasno pokazuje, że w drugiej turze wyborów prezydenckich 2020 r. wszystkie siły zostaną rzucone do walki z pragnieniem powtórzenia wyników z paktu senackiego. To zresztą symptomatyczne, jak bardzo szef Rady Europejskiej ingeruje w wewnętrzną politykę Polski – wprost nawołuje do powstrzymania jednej partii politycznej. Gdy Duda wzywał Polaków w październiku do udziału w wyborach, a następnie dziękował za tak licznie oddane głosy, ani słowem nie wspomniał, by wybierać którąkolwiek ze stron. Tusk robi to nieustannie – w czerwcowym przemówieniu w Gdańsku, w sierpniowym wywiadzie dla TVN, podczas ostatnich konferencji prasowych. No ale skoro nie był polskim kandydatem na stanowisko szefa RE, to może faktycznie łatwiej mu wzywać do oporu przeciwko demokratycznemu werdyktowi Polaków?

> W powyborczych sporach dziedziców „okrągłego stołu" trwa walka o sukcesję. „Ktoś się przyzwyczaił przed wyborami do tego, że jest liderem opozycji. Po wyborach na pewno już nie ma lidera opozycji, są trzy równoprawne bloki" – powiedział Kosiniak-Kamysz

W JAKIM OBOZIE ZAMKNĄĆ KONSERWATYSTÓW?

Liberałowie nadal postrzegają swoich konserwatywnych przeciwników jako ułomnych. Trzy dni po wyborach parlamentarnych w warszawskiej siedzibie Fundacji Batorego odbyła się dyskusja „Wybory i co dalej?" Fundacja, znana ze swoich ultraliberalnych poglądów w duchu jej założyciela George'a Sorosa, zorganizowała panel z udziałem m.in. dr. hab. Jarosława Flisa i prof. Krystyny Skarżyńskiej. Socjolog pokazywał poziom mobilizacji elektoratu w minionych wyborach oraz rozkład wyborców w różnej wielkości ośrodkach, ale wreszcie komentował stosunek liberałów do konserwatystów. „Demokracja liberalna nie polega na tym, że zawsze zwycięża opcja liberalna" – tłumaczył zgromadzonym zwolennikom antypisu. Flis przypomniał tym samym raport Centrum Badań nad Uprzedzeniami UW ze stycznia br., z którego wynika, że zwolennicy opozycji nienawidzą sympatyków PiS bardziej niż na odwrót. Naukowiec przekonywał słuchaczy, że prawicowcy częściej oglądają media liberalne i więcej wiedzą o drugiej stronie ideowego sporu, są więc – paradoksalnie – bardziej otwarci niż otwarci liberałowie.

Racjonalne i chłodne spojrzenie profesora Flisa zderzyło się z kompletnie odmienną diagnozą prof. Skarżyńskiej, liberalnej psycholog społecznej, która opisała polską prawicę wyłącznie stereotypami. Opierając się na założeniu, że PiS miało do dyspozycji mroczne siły Kościoła katolickiego i TVP, przekonywała, że elektorat Zjednoczonej Prawicy ulega propagandzie w myśl zasady „i portfel, i różaniec", w przeciwieństwie do społeczeństwa obywatelskiego (tego lepszego), które propagandzie się opiera. Skarżyńska powołała się na starą tezę amerykańskiego psychologa Boba Altemeyera „Rightwing authoritarian personality", która od 1981 r. funkcjonuje w środowiskach lewicowo-liberalnych. Koncepcja zakłada, że wśród pewnego typu ludzi istnieje po prostu skłonność do popierania autorytetów kosztem wolności, plemienna lojalność wobec grupy, wiara w nadprzyrodzoną świętość, a nawet – u wielu zwolenników tego poglądu – po prostu niższy iloraz inteligencji.

POLSKA KASTOWA – PO WSZE CZASY

Tylko co w takim razie oświeceni demokraci mają zrobić z tą częścią społeczeństwa, która liberalizmem się nie zachwyca, a społeczeństwa otwartego nie traktuje jako ideału życia społecznego: zamknąć w obozie, może pozbawić prawa głosu? Na to pytanie Skarżyńska odpowiedziała dalszymi diagnozami: prawica to konserwatyzm religijny, Polska dla Polaków, kobiety bez prawa głosu, ksenofobia wobec Zachodu. Aż dziw bierze, że utytułowany naukowiec z obszernym dorobkiem akademickim swoją wiedzę o własnej wspólnocie narodowej czerpie z TVN i „Gazety Wyborczej" – bo przecież kobiety bez prawa głosu czy Polska dla Polaków to hasła imputowane prawicy bez żadnego pokrycia.

Być może więc dochodzimy do maksymalnych możliwości obozu antypisu – może i zmienią Schetynę, wyłonią wodza, który poprowadzi ich na szańce Jarosława Kaczyńskiego, mają nawet szansę w politycznej bitwie o prezydenturę – ale poczucie wyższości nad resztą społeczeństwa zdaje się ich już nieuleczalną przypadłością.

eprasa.pl 3ca8d795e7

Drogo okupione zwycięstwo

Światowa prasa nie bez emocji przyjęła wynik wyborów parlamentarnych w Polsce. Szczególne zaskoczenie dla zagranicznych komentatorów stanowi to, że międzynarodowa nagonka na Prawo i Sprawiedliwość nie wpłynęła na popularność partii wśród wyborców. Niemieckie media zwycięstwo PiS określają jako „ostateczny cios dla demokracji" i twierdzą, że partia Jarosława Kaczyńskiego zwyczajnie „kupiła sobie" głosy Polaków



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Tak m.in. uważa komentator monachijskiego dziennika „Sueddeutsche Zeitung" („SZ") Florian Hassel. Publicysta podkreśla, że hojne obietnice wyborcze dały PiS zwycięstwo, co jego zdaniem „nie jest dobrą wiadomością dla demokracji w kraju". „Wyborcy są przekupni. [...]. To, że narodowo-populistyczna partia rządząca odniosła największe zwycięstwo przy urnach od końca komunizmu 30 lat temu, ma wiele powodów: słabość podzielonej opozycji, bezprecedensowa propaganda telewizji państwowej, która od początku panowania PiS za pomocą manipulacji, ominięć oraz kłamstw kształtuje opinię publiczną, zwłaszcza na prowincji. Decydującym elementem było jednak: kupowanie głosów" – twierdzi Hassel. Według niego partia Jarosława Kaczyńskiego z sukcesem postawiła na wyborców, którzy mają dość niespełnionych obietnic i chcą „żyć lepiej tu i teraz", bez względu na to „kto później będzie musiał zapłacić za to rachunek". Jednocześnie Hassel prognozuje, że Kaczyński „zrealizuje swoje drogie obietnice", w końcu „chce pozostać u władzy także w 2023 r.". Zdaniem komentatora „SZ" ostatnią nadzieją kręgów liberalnych w Polsce oraz niewielu pozostałych wolnych mediów jest odsunięcie od władzy prezydenta Andrzeja Dudy w maju 2020 r. Komentator „SZ" rozpacza przy tym, że Polacy, którzy poparli PiS przy urnach, „zrobili to, mimo iż mają świadomość, że partia ta niszczy demokrację oraz państwo prawa".

Ulrich Krökel z tygodnika „Die Zeit" zastanawia się tymczasem, czy Kaczyński, w ciągu następnych czterech lat przebudowując państwo, wybierze drogę ewolucyjną czy rewolucyjną. Bo to, że prezes PiS chce zrobić z Polski państwo katolickie, narodowe i nieliberalne, nie ulega jego zdaniem wątpliwości. „A niedziela stała się momentem triumfu dla PiS oraz osobiście dla Jarosława Kaczyńskiego" – przekonuje Krökel i dodaje, że pozostaje pytanie, co prezes PiS chce zrobić z tym zwycięstwem. „Jeśli Kaczyński wybierze drogę rewolucyjną, znów dojdzie do eskalacji sporu z UE. Jednocześnie może dojść do drugiej fali demokratycznie wątpliwych reform systemowych w całym kraju. Wskazówki można znaleźć w programie wyborczym PiS. Między innymi wzywa się tam do zniesienia immunitetu sędziów, prokuratorów i parlamentarzystów. Ewolucyjna ścieżka byłaby taka, że PiS zabezpieczyłoby swoją władzę poprzez drobne zmiany instytucjonalne i opierało się ponadto na »reformach« już w toku. Którą drogę Kaczyński wybierze, trudno dziś przewidzieć" – czytamy na łamach „Die Zeit".

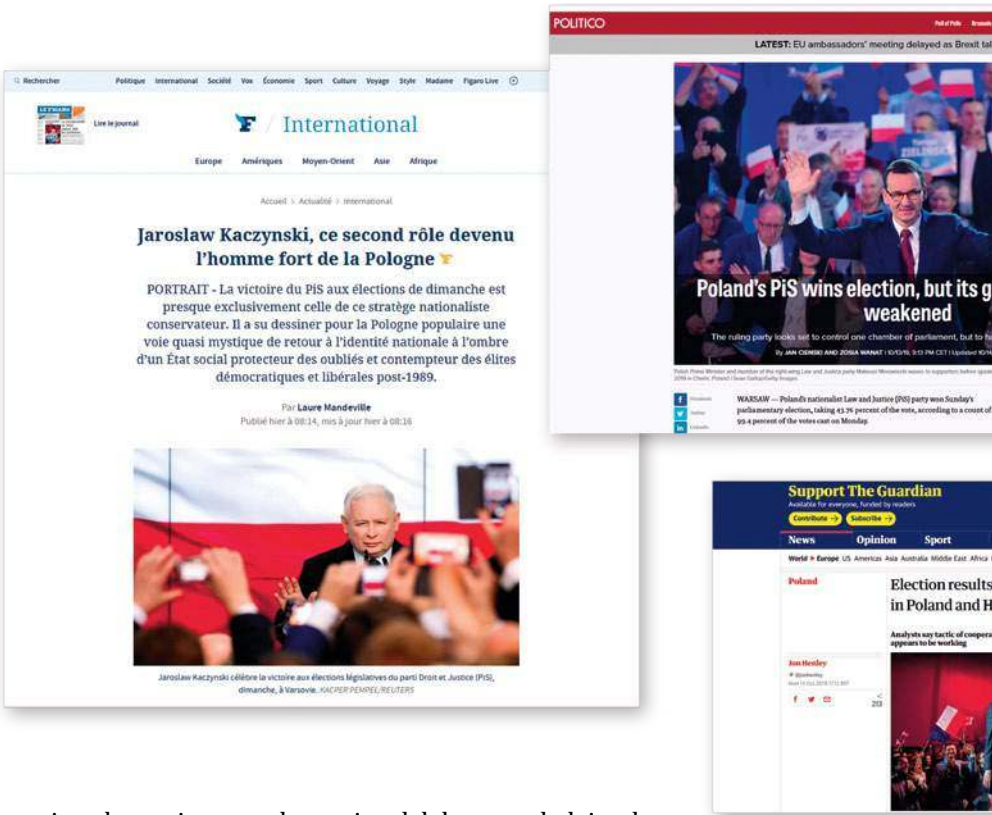
ODWRÓT OD NEOLIBERALIZMU

Niemiecki „Tagesspiegel", komentując zwycięstwo PiS w wyborach, uderza w zgoła inny ton i apeluje o zmianę podejścia Berlina i Brukseli wobec Polski. „Wyczerpała się strategia polegająca na taktycznym wyczekiwaniu, że ugrupowanie rządowe osłabnie" – pisze lewicowo-liberalny dziennik. „Relacje między Polską a Niemcami w ostatnich czterech latach nie były łatwe. Teraz mogą się skomplikować jeszcze bardziej, chyba że rządy obu krajów potraktują polskie wybory jako cezurę, sporządzą trzeźwy bilans i na jego podstawie zbudują nowy sposób obchodzenia się ze sobą nawzajem" – pisze publicysta „Tagesspiegla" Christoph von Marschall. „Dalsze dystansowanie się wobec Warszawy nic nie da" – konstatuje. „Gorzej, wzajemne robienie sobie na złość wyrządzi poważne szkody, ponieważ ograniczy zdolność UE do działania w fatalnej sytuacji międzynarodowej, w której Unia musi się stać bardziej skuteczna. Należy więc mieć nadzieję, że wszystkie strony będą teraz dążyć do zbliżenia i równowagi" – czytamy na łamach berlińskiego dziennika.

Niemiecki tygodnik „Der Spiegel", komentując w poniedziałek wyniki wyborów w Polsce, podkreśla, że ich wynik był przewidywalny. Tak bardzo, że „zwycięskie PiS prawie się nie cieszyło" – uważa magazyn. Pewnym zaskoczeniem była zdaniem „Spiegla" jedynie wysoka frekwencja wyborcza – 61 proc. „Wyborcy ugrupowania to nie elektorat protestu. Głosują oni na program, który został zręcznie przyrządzony

eprasa.pl 3ca8d795e7

przez Jarosława Kaczyńskiego i jego strategów" – uważa tygodnik. Tłumaczy, że z jednej strony program partii zawiera „typowe nacjonalistyczne" obietnice bezpieczeństwa: obrony przed migrantami, homoseksualistami, Brukselą, elitą i jej sprzymierzeńcami. Z drugiej – zobowiązuje się do zapewnienia bezpieczeństwa socjalnego: świadczenia na dzieci, dopłaty dla rolników, 13. emerytura, wyższa płaca minimalna. „Tym samym partia ostentacyjnie odwraca się od neoliberalnego ducha czasu, który towarzyszył niemal wszystkim europejskim krajom w okresie transformacji" – orzeka „Spiegel". Według magazynu nie chodzi w tym jednak wcale o walkę z prawdziwą biedą. „Po przełomie większość Polaków stała się bogatsza. Wielu jednak mniej niż beneficjenci z wielkich miast. PiS zrywa z chłodem neoliberalizmu, który mniej uposażonym mówił, że sami są sobie winni" – komentuje tygodnik. Według „Spiegla" liberalna Koalicja Obywatelska nie potrafiła niczego przeciwstawić maszynie wyborczej PiS: żadnego jasnego programu, żadnego charyzmatycznego lidera, żadnych chwytliwych haseł. „Jarosław Kaczyński powinien właściwie bardziej się martwić o konkurencję po prawej stronie" – puentuje „Spiegel", wskazując na Konfederację.



NISKI I NIENAWISTNY

Europejski portal „Politico" skupia się natomiast na kosztach zwycięstwa PiS. A jest ono zdaniem portalu „drogo okupione". Obietnicami wyborczymi oraz szerokim frontem antypisowskim, który się utworzył na opozycji i oprócz Platformy Obywatelskiej obejmuje także lewicę, Kukiz'15 i Konfederację. „Pomimo wygrania drugiej kadencji ton w siedzibie partii PiS w centrum Warszawy był daleki od euforii. Lider partii rządzącej Jarosław „Kaczyński narzekał »na ten wielki front przeciwko nam« i ubolewał, że wciąż jest wielu wyborców, którzy nie popierają PiS". Według „Politico" bolesnym ciosem dla partii rządzącej jest także utrata izby wyższej. „Senat jest mniej potężny niż izba niższa, Sejm, ale może spowolnić uchwalanie prawa i mianowanie kluczowych urzędników – po raz pierwszy od czterech lat skomplikuje to kontrolę PiS nad władzą ustawodawczą" – przekonuje portal.

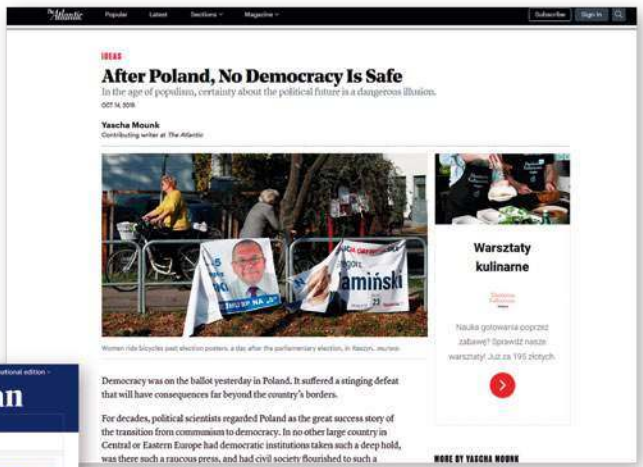
Inny europejski portal „EU Observer" natomiast ostrzega, że wyborcze zwycięstwo PiS znów wypędzi ludzi na ulicę „w obronie demokratycznych wartości". Jak twierdzi, partia rządząca nie ustanie w swoich atakach na mniejszości, czyli osoby LGBT, kobiety i cudzoziemców, oraz cytuje badania, według których Polska to jeden z najbardziej seksistowskich krajów w Europie. „Nie ma wątpliwości, że wynik wyborów w Polsce będzie miał duży wpływ na przyszłość kraju, wykraczając daleko poza kolejną kadencję i przynosząc skutki polityczne prawdopodobnie poza jego granicami" – czytamy na stronach „EU Observer".

Najbardziej kuriozalna analiza wyniku wyborczego w Polsce znalazła się natomiast na łamach francuskiego dziennika „Le Figaro". Publicystka Laure Mandeville wykorzystała okazję, by nakreślić portret Jarosława Kaczyńskiego, który „z drugiego szeregu antykomunistycznej opozycji w PRL wysunął się na lidera państwa". (...) „Potrafił naszkicować dla Polski quasi-mistyczną drogę powrotu do tożsamości narodowej w cieniu państwa opiekuńczego, chroniącego zapomnianych i traktującego z pogardą elity demokratyczne i liberalne, powstałe po 1989 r." – podkreśla publicystka. Według Mandeville Polska od 60 lat żyje w cieniu braci Kaczyńskich, z których jeden zginął w Smoleńsku w 2010 r. Drugi bliźniak, „krągły i niski", wreszcie „znalazł w polityce ujście bólu i formę zemsty za tragedię, z której nigdy się nie otrząsnął".

Jak czytamy dalej na łamach „Le Figaro", żywotność Jarosława Kaczyńskiego w polityce okazała się znacznie dłuższa niż Lecha Wałęsy, „legendarnej ikony i giganta walki z komunizmem, któremu Kaczyński zawsze zazdrościł, a teraz go oskarża o bycie agentem Moskwy". Według Mandeville Kaczyński zazdrościł bohaterskich czynów także Kuroniowi, Geremkowi i Michnikowi. Przy okrągłym stole siedział w drugim rzędzie. „Czy właśnie w tym miejscu pojawiła się jego nienawiść do pokojowego wyjścia z komunizmu?" – zastanawia się publicystka i przeciwstawia Jarosława Lechowi, który miał być ciepłym człowiekiem, podczas gdy Jarosław to kawaler żyjący z matką i wietrzący wszędzie spiski. Jak przekonuje publicystka, nielubiany i nieufny prezes PiS znalazł w końcu wspólny język

eprasa.pl 3ca8d795e7







z zapomnianymi przez elity Polakami, co stało się fundamentem jego politycznego projektu. Polski zdradzonej przez Zachód, elity i historię. Projektu populistycznego. „Jedno z pytań, które trapią opozycję, brzmi: jak daleko posunie się ten polityk, osłabiając sądownictwo, media i inne ośrodki przeciwwładzy, aby ujrzeć triumf »woli ludu«? Drugim jest to, jak daleko posunie się w pisaniu historii na nowo, tak aby odebrać swoim przeciwnikom legitymację" – czytamy na łamach francuskiego dziennika.

ZAGROŻONA DEMOKRACJA

Amerykański miesięcznik „The Atlantic" idzie jeszcze dalej niż francuska publicystka i ostrzega, że po wyborczym zwycięstwie PiS demokracja już nigdzie nie jest bezpieczna. „Demokracja stanęła do wyboru w niedzielę w Polsce i poniosła druzgocącą klęskę, która będzie miała konsekwencje poza granicami kraju" – przekonuje publicysta Yascha Mounk. Według niego przez dekady wydawało się, że demokracja w Polsce jest skonsolidowana, jak we Włoszech czy w Kanadzie. To się zmieniło, gdy PiS doszło do władzy w 2015 r. A teraz zdobyło drugą kadencję. „Jak pokazują przykłady wielu innych rządów populistycznych, od pobliskich Węgier po daleką Wenezuelę, populistyczni przywódcy często przejmują pełną kontrolę, zastraszając krytyków i eliminując rywalizujące centra władzy, w czasie swojej drugiej kadencji. W tych wyborach szanse opozycji były już nieco ograniczone przez głęboko wrogie środowisko medialne. Ponieważ rząd ma teraz wystarczającą moc, aby wprowadzić dalsze reformy antydemokratyczne, prawdopodobne jest, że opozycji będzie jeszcze trudniej działać. A nie tylko Polacy poniosą tego skutki. Tylko cała Unia Europejska" – czytamy na łamach „The Atlantic".

Amerykański dziennik „Wall Street Journal" („WSJ") ocenia, że wynik wyborczy PiS to „znaczące wzmocnienie dla sił nacjonalistycznych w Europie" – mimo że sojusznicze ugrupowanie PiS, rządzący na Węgrzech Fidesz, w niedzielę przegrał z opozycją w wyborach samorządowych w Budapeszcie. Gazeta przypomina, że zarówno Warszawa, jak i Budapeszt „prowadzą walkę z Unią Europejską w związku z zarzutami, że oba kraje stają się coraz bardziej autokratyczne". „Jeśli wynik (wyborów w Polsce) się utrzyma, prawdopodobnie skomplikuje starania UE, by wywierać presję na Polskę i skłonić ją do wycofania się z reform uważanych za niedemokratyczne" – ocenia „WSJ".

NADZIEJA DLA OPOZYCJI

Relacjonując wyniki niedzielnych wyborów parlamentarnych w Polsce, brytyjska prasa podkreśla skalę zwycięstwa PiS, choć zarazem nie unika powtarzania stereotypów na temat tej partii. „Wynik podsumowuje burzliwe cztery lata w polskiej polityce. Prawo i Sprawiedliwość podporządkowało sędziów politykom i zredukowało media państwowe do klaki, wywołując w kraju i w Brukseli obawy, że Polska, niegdyś modelowe dziecko rozszerzenia Unii Europejskiej w 2004 r., dryfuje coraz bardziej w kierunku nieliberalnej formy demokracji" – pisze „Financial Times". „Jednak partia pozyskała także wielu Polaków dzięki hojnym programom pomocy społecznej, które poprawiły jakość życia biedniejszych obywateli, czujących, że zostali pozostawieni w tyle podczas szybkiego, ale czasami chaotycznego, 30-letniego przejścia od upadającej komunistycznej gospodarki planowej do szybko rozwijającej się demokracji wolnorynkowej" – dodaje gazeta. Jak wskazuje, PiS w kampanii koncentrowało się na „rozpalających kwestiach kulturowych, które spolaryzowały polskie społeczeństwo".

Dziennik „The Guardian" jest o wiele mniej pesymistyczny. Gazeta dopatruje się nawet w wyniku wyborów parlamentarnych w Polsce i samorządowych na Węgrzech pewnych nadziei dla „liberalnej" opozycji. „Mniejsze niż oczekiwano zwycięstwo rządzącej Polską partii PiS i poważna porażka rządzącego Węgrami Fideszu pokazują, że nieliberalne partie nacjonalistyczne z Europy Wschodniej nie są do końca niezwyciężone" – czytamy na łamach „Guardiana", który nazywa to „małym krokiem we właściwym kierunku". „Niedzielne wyniki sugerują, że kiedy partie opozycyjne współpracują i tworzą pozytywną narrację, mogą przekonująco zmierzyć się z politykami, którzy kiedyś wydawali się nieosiągalni" – przekonuje gazeta. Według niej strategiczna współpraca opozycji jest niezbędna, gdy „rząd kontroluje media". (...) „Zarówno rażąca propaganda telewizyjna, jak i kampania przeciwko LGBT zniechęciły ludzi. PiS nie będzie mogło rządzić w taki sam sposób jak dotychczas" – podkreśla „Guardian".

eprasa.pl 3ca8d795e7

Więcej skalpela, mniej młotka

Pierwsze okrążenie rządów PiS było zbyt często zarządzaniem kryzysowym. A gdy gasi się pożary – rzeczywiste i fikcyjne – to kierownictwo państwa zamiast programować rozwój i pilnować strukturalnych projektów, niekiedy reaguje niepotrzebnie nerwowo. To trzeba zmienić – mówi ***prof. Andrzej Zybertowicz***, socjolog, doradca prezydenta Andrzeja Dudy, w rozmowie z Marcinem Fijołkiem

Panie profesorze, jak ma wyglądać drugie okrążenie dobrej zmiany? Które śrubki trzeba podkręcić? Jarosław Kaczyński podczas wieczoru wyborczego namawiał do pewnej refleksji i wyciągnięcia wniosków.

Andrzej Zybertowicz: Tych śrubek jest bardzo dużo. Trafnie w jednym z wywiadów Jarosław Flis powiedział, że dotąd reformy PiS polegały w dużej mierze na wymianie ludzi, a nie przebudowie instytucji. Te zadania, gdzie był względnie niski poziom złożoności organizacyjnej – jak 500+ – przeprowadzono sprawnie. A tam, gdzie trzeba rozwiązań systemowych, jak choćby przy programie Mieszkanie+, rzeczywistość do sukcesu daleko.



Wniosek?

PiS nadal ma zbyt niskie zdolności do koordynacji złożonych przekształceń strukturalnych.

I co z tą diagnozą można zrobić?

Polityka zawsze polega na tym, że są poziomy, gdzie się ręcznie steruje kadrami, i takie, gdzie działają pewne procedury. Systemowa zmiana polega na tworzeniu nowych mechanizmów rekrutacji, rozwoju i oceny kadr. Chyba przyszedł czas, by, przynajmniej na niektórych polach, inaczej ustawić poziom polityczności doboru ludzi. Można się jednak obawiać, że osiągnięty poziom zwycięstwa wyborczego PiS daje co prawda pełną legitymizację rządzenia, ale nie przynosi takiego efektu grawitacyjnego, który spowodowałby, że ludzie wątpiący, apolityczni, będą chcieli wchodzić w nowe projekty, że uwierzą w pełni, iż rządzenie w Polsce można trwale sprofesjonalizować.

Ale to będzie już piąty, szósty, siódmy, ósmy – jeśli nie dojdzie do turbulencji – rok rządów PiS. To nie jest władza tymczasowa.

Tak. I dlatego trzeba się zastanowić, które obszary styku państwa i partii mogą zostać zreformowane, byśmy byli w stanie przeprowadzać systemowe zmiany. Podam przykład z mojego podwórka badawczego – przyjmijmy, że potencjał rozwojowy Polski będzie rozstrzygał się na poziomie nowych technologii, a w ich ramach dzięki sztucznej inteligencji, a do jej rozwoju trzeba przyciągać kadry zdolne do nowatorskich rozwiązań. Otóż żaden nominat partyjny nie dokona przełomowych rozwiązań ani na polu sztucznej inteligencji, ani w procesach wdrożeniowych z tym związanych. Podobnie żaden polityk sam nie zbuduje autonomicznie działającego procesu dopasowywania budownictwa mieszkalnego – także w kontekstach

eprasa.pl 3ca8d795e7



Fot. Andrzej Wiktor

regionalnych – do zmieniających się potrzeb społecznych. Trzeba przekształcić mechanizmy doboru kadr.

Gorzka refleksja. Ale dlaczego, pana zdaniem, ten obszar kulał w ciągu pierwszych czterech lat?

W pierwszej kadencji nie wystarczyło do tego zasobów. Przede wszystkim dlatego, że pewna część wspomnianych profesjonalistów traktowała tę władzę jak przejściową. Ale i poprzez to, że opozycja sama siebie wsadziła w betonowe buty totalności (a w chwili zaćmienia umysłu wypowiedziała to na głos).

Opozycja winna temu, że PiS nie otworzyło się szerzej na kadry? Trochę mi się to nie składa.

To nie tak. Po prostu przy takiej „totalnościowej" polityce opozycji pierwsze, reformatorskie okrążenie rządów PiS było zbyt często zarządzaniem kryzysowym. A gdy gasi się pożary – i te rzeczywiste, i te fikcyjne (wywołane przez medialne nawałnice) – to kierownictwo państwa zamiast programować rozwój i pilnować projektów strukturalnych, niekiedy reaguje niepotrzebnie nerwowo. W warunkach zarządzania kryzysowego trudno strategicznie planować i otwierać się na środowiska zewnętrzne, niekoniecznie przecież z natury nieprzyjazne wobec dobrej zmiany.

Wybuchają kolejne sprawy, afery, spory. Polityka, bieżączka.

Gdy mówiłem o zarządzaniu kryzysowym, to właśnie bieżączka wygrywa z myśleniem strukturalnym. Z tym trzeba się uporać. Kolejny sukces wyborczy pozwala PiS dziś zrobić to, czego nie uczyniło w pierwszym okresie – uruchomić reformy systemowe, które oznaczałyby profesjonalizację ruchów kadrowych w wybranych sektorach. Eksperci niemyślący o karierach podążających ścieżkami politycznymi muszą się przestać obawiać wchodzić w projekty infrastrukturalne typu Centralny Port Komunikacyjny.

Z personaliami jest jeszcze inny problem. W roku bodaj 2011 Jarosław Kaczyński, dzieląc się na zamkniętym spotkaniu, w którym uczestniczyłem, wnioskami po pierwszych rządach PiS przekonywał, że kluczowe do sprawnego rządzenia są funkcje wiceministrów. To oni często muszą napisać dobrą ustawę, mieć w małym palcu wiedzę o danym sektorze...

Zgadzam się z tym. Dlatego powiem wprost: w pierwszym okresie drugiej kadencji rządów PiS podniósłbym wynagrodzenia dla ministrów i wiceministrów. Musi się skończyć sytuacja, w której dyrektorzy departamentów zarabiają więcej od swych przełożonych – często ciężko pracują, ale zazwyczaj nie są narażeni na ataki medialne. Trzeba przedstawić społeczeństwu jasne wyliczenie, ile będzie kosztować budżet podniesienie zarobków dla grupy tych kilkuset osób. Na pana fotelu siedział tu niedawno pewien wiceminister, który przekonywał, że – jego zdaniem – lansowana przez tabloidy krytyka w tym zakresie to echo polityki naszych konkurentów z UE, którym zależy, by w Polsce w procesie doboru kadr politycznych wciąż obecna była negatywna selekcja.

eprasa.pl 3ca8d795e7

Ciekawy trop, ale tak czy inaczej to operacja polityczna, która pewnie nie byłaby przyjęta przesadnie entuzjastycznie.

I dlatego trzeba to zrobić względnie szybko i maksymalnie przejrzyście. Całe przedsięwzięcie musi być bardzo dobrze społeczeństwu zakomunikowane.

Czyli dochodzimy do problemu z komunikacją. W telewizji wPolsce.pl o poprawie tego obszaru działań mówił minister Michał Dworczyk. Pan też mówił o MaBeNie, Maszynie Bezpieczeństwa Narracyjnego, choć w kontekście zewnętrznym, a nie wewnętrznym.

Ideę MaBeNy rzuciłem chyba w złym momencie, bo chwilę później wybuchł kryzys izraelsko-polski i zobaczyliśmy, jak duże mamy braki w sferze narracji międzynarodowej. Na kilku polach tę lekcję udało się jednak odrobić, raczej przez działania odcinkowe niż projekty o całościowym charakterze.

Wróćmy do tych zmian systemowych. Może one wyglądają dobrze tylko na papierze i na salach wykładowych, a polityka jest po prostu brutalna i tego się nie da.

Nie. Przynajmniej niekiedy się da. Taki zamysł systemowy dostrzegam w reformie nauki Gowina. Zastrzegam, że nie wiem, czy to dobra reforma; nie śledziłem jej bliżej, a przy tym działa ona za krótko, by ocenić efekty. Ale właściwy jest zamysł wyjściowy: próba przekierowania – właśnie systemowego – energii środowiska badawczego, gdzie przecież jest wiele ciekawych umysłów i pomysłów.

Pytanie, czy wszędzie tak się da. Dla porównania – w sądownictwie opór jest wielki, a chęć do jakiejkolwiek współpracy mniejsza niż na uczelniach.

Wnioski, jakie wyciągnąłbym z reformy sądownictwa, są nieco inne: potrzeba nam więcej finezji, skalpela, a nie młotka. Dla przykładu: ustawa zawetowana przez prezydenta Andrzeja Dudę była zbyt jednowymiarowa. Obóz dobrej zmiany stać na podejście bardziej finezyjne. Przygoda z hejtującymi sędziami pokazuje, że odziedziczone po III RP zasady rekrutacji do zawodu sędziowskiego są ułomne. Trochę jak przy okazji strajku ZNP – nauczyciele mieli sporo argumentów, ale ich spontaniczne formy strajkowej komunikacji internetowej pokazały, że jest tam wiele osób o niskich standardach intelektualnych. Ale formujących kolejne pokolenia Polaków.



Trzeba przekształcić mechanizmy doboru kadr. W pierwszej kadencji nie wystarczyło do tego zasobów. Na dłuższą metę bez profesjonalistów Rzeczpospolita nie sprosta nowym wyzwaniom cywilizacyjnym

I znów wracamy do pytania: czy obóz dobrej zmiany będzie działał w takich kwestiach w gorączce, czy skupi się na reformie, zmianach, konkretach?

Takim konkretem są programy społeczne. I faktycznie, działają. Ale jest też podnoszony argument, że Polacy za sprawą choćby 500+ łatają dziury systemowe. A państwo by-passuje usługi publiczne za pomocą takich dodatków.

500+ było potrzebne, by miliony rodzin zyskały, być może pierwszy raz w życiu, podmiotowość konsumencką. W barach i restauracjach pojawiają się osoby i rodziny ze środowisk, których dotychczas nie sposób było tam spotkać. A to krok do budowania podmiotowości obywatelskiej. Ale na dłuższą metę usługi publiczne muszą rozwiązywać problemy instytucjonalnie, a nie czysto dystrybucyjnie.

Co z legislacją? Senat już bez kontroli PiS, więc skończą się pociągi z ustawami, które przechodziły w kilka–kilkanaście godzin, ale problem choćby ośmiu, dziewięciu nowel do projektów pozostaje.

Tę nadzwyczajną prędkość rozumiałem w przypadku porozumienia premierów: Morawiecki–Netanjahu, gdzie na szali były nasze interesy związane z bezpieczeństwem. Ale proces legislacyjny jest kolejną kwestią domagającą się poprawy – nie wszystkie uwagi zgłaszane przez posłów opozycji były destrukcyjne; niektóre były porządkujące, może nie wszystko trzeba odrzucać a priori.

Żałuje pan róż, gdy płoną lasy. Nie ma co brać jeńców.

Znam tę taktykę, ale to zły pomysł na nowe otwarcie. Wszyscy musimy przyjąć do wiadomości werdykt i nauczyć się z nim żyć.

A jaki mamy ten werdykt? Te rekordowe ponad 8 mln głosów dla PiS to dużo? Czy dominuje jednak niedosyt, bo apetyty były większe?

Pierwsza reakcja Jarosława Kaczyńskiego była jasna: to mało. Jest legitymacja do rządzenia, ale nie ma hegemonii. Pewnie gdyby uniknięto niektórych zbędnych wypowiedzi antagonizujących, gdyby pewne typy argumentacji propisowskiej nie były tak siermiężne... Na dłuższą metę – nie cykli wyborczych, ale cykli pokoleniowych – bez profesjonalistów, także tych z dużych miast, Rzeczpospolita nie sprosta nowym wyzwaniom cywilizacyjnym. Jest nad czym myśleć u progu tej drugiej kadencji.

Fot. Andrzej Wiktor

71/1019/F

eprasa.pl 3ca8d795e7

NBP Narodowy Bank Polski

Moneta kolekcjonerska NBP

Wyklęci przez komunistów żołnierze niezłomni Łukasz Ciepliński ps. „Pług”



Data emisji: 16 października 2019 r.

Narodowy Bank Polski ma wyłączne prawo emitowania znaków pieniężnych Rzeczypospolitej Polskiej, w tym monet i banknotów kolekcjonerskich.

Emisja wartości kolekcjonerskich stanowi okazję do upamiętniania ważnych historycznych rocznic i postaci, jest to wyraz szacunku należnego bohaterom walki o wolną Polskę.

Narodowy Bank Polski laureatem BohaterONów 2019 im. Powstańców Warszawskich

Dziękujemy za uznanie działań NBP w krzewieniu wiedzy historycznej i propagowaniu postaw patriotycznych.

Złoty BohaterON Publiczności
przyznany przez Internautów

Srebrny BohaterON
przyznany przez Kapitułę w kategorii Instytucja



www.nbp.pl/monety

eprasa.pl 3ca8d795e7



Jak naprawdę buduje J.W.

eprasa.pl 3ca8d795e7





MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Patologie w polskich sądach to temat rzeka. Ale ta sprawa jest precedensowa. Dotyczy plagiatu wyroku wydanego w oderwaniu od faktów i zdrowego rozsądku. Czy po to, by można było orzec na korzyść wpływowego biznesmena? Mowa o Józefie Wojciechowskim, szefie J.W. Construction. To postać barwna, lecz również przez wielu opisywana jako bezwzględna. Zwłaszcza tych, którzy uważają, że próbuje doprowadzić ich do bankructwa

Miał być z nich taki duet, o którym się mówi: „Takich trzech jak tych dwóch, to nie ma ani jednego". Gienek dorobił się w branży motoryzacyjnej, był jednym z pierwszych w Polsce, u których można było w autoryzowanym salonie kupić volkswagena. Józek to potentat budowlany. W Warszawie i okolicach trudno nie natrafić na osiedla, które wybudowała jego firma J.W. Construction (JWC). Nie zaglądali sobie jednak w przeszłość, interesowało ich tu i teraz. Byli w zasadzie skazani na sukces, mieli zrobić wielki biznes.

Dopóki biznes szedł – a szedł – byli królami życia. Józef Wojciechowski nawet w sądzie, podczas sprawy, w której domaga się od Eugeniusza Jasikowskiego grubych milionów, dobrze wspominał początki tej znajomości. „(...) tych spotkań było kilka. Byłem z p. Jasikowskim (...) i dziewczynami z Krakowa poimprezować, przyznam, że dziewczyny były przyjazne i dobrze wyglądały. Moje kontakty z Jasikowskim nabrały rumieńców personalnych. (...) stał mi się osobą bliską. Zaprosiłem go (...) na statek, gdzie był moim gościem przez tydzień. Nie popełniłbym błędu biznesowego w takim stanie, gdyby Jasikowski był dla mnie osobą obcą. Zaprzyjaźnił się ze mną, był u mnie na imprezach".

Z ich przyjaźni nie zostało dziś nawet wspomnienie, są za to oskarżenia o oszustwo, a finał tej historii pisze się w sądach. Ale może od początku.

DZIAŁKA DO DZIAŁKI

Gienek, właściciel firmy Develo, nie miał wówczas doświadczenia w branży budowlanej, ale miał działkę we Wrocławiu (nazwijmy ją „działką główną"), blisko miejsca, gdzie dzisiaj stoi Sky Tower, jeden z najwyższych i najbardziej okazałych budynków w Polsce. Szukał więc partnera biznesowego. Józek, uznany deweloper, wydawał się idealny do tej spółki. To miała być gigantyczna inwestycja, 24–26 tys. mkw. powierzchni. Ta jedna działka była za mała. Warunkiem budowy było odkupienie należącej do Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej im. Ludwika Solskiego nieruchomości (niech to będzie w naszej historii „działka druga") przylegającej do wspomnianego wyżej terenu.

Stan jest więc taki, że jest „działka główna", ale potrzeba jeszcze zmiany planu zagospodarowania przestrzennego, o którą do miasta występuje Develo. Sprawa się toczy, nie ma przeciwwskazań, by zezwolić na budowę, ale Wrocław oblicza tzw. rentę planistyczną (opłatę za przekształcenie planu) na maksymalnym poziomie 30 proc. wartości ziemi. By uniknąć tej opłaty, Develo sprzedaje działkę J.W. Construction, czyli ostatecznemu inwestorowi.

Józef Wojciechowski stawia wtedy Eugeniuszowi Jasikowskiemu warunek: – Jeśli plan nie zostanie przekształcony, to odkupisz zwrotnie ode mnie tę działkę. – OK, odkupię – zapewnia Jasikowski. – Czy możesz mi to poręczyć własnym majątkiem? – drąży Wojciechowski. – Pewnie, że mogę – zgadza się Gienek, jest przecież pewien, że biznes dojdzie do skutku. Działka główna staje się własnością JWC, na konto Develo trafia zapłata, 12 mln zł brutto. Panowie dzielą się obowiązkami. Jasikowski ma za te pieniądze kupić działkę od PWST i dopilnować urzędowych pozwoleń, Wojciechowski zatrudni firmę, która zrobi projekt inwestycji i ją zrealizuje. Milionowe zyski mającą na horyzoncie. Na tym etapie nie widać ani jednej rafy.

Fot. Donat Bryksczynski/ZW/REPORTER

eprasa.pl 3ca8d795e7

PIERWSZE SZTORMY

Sprawa zaczyna się przedłużać. Po trzech latach współpracy Jasikowski poczuł, że coś jest nie tak, że Wojciechowski stracił serce do tego projektu. Załatwił firmę z Wrocławia, która zrobiła projekt. Wręczył go Józkowi, ten chwilę popatrzył i stwierdził, że jedzie na wakacje. Jasikowski opowiada: – Zadzwonił do mnie z jachtu z Karaibów, bezpardonowo oznajmiając, że ma dość i rezygnuje z zakupu. Zaoponowałem: „Moment, moment. Ja ponoszę wydatki związane z przygotowaniem działki i nagle mam wszystko rzucić w imię twojego kaprysu?". Zaproponowałem, żebyśmy się spokojnie spotkali za dwa tygodnie po jego powrocie z rejsu. Po kilku dniach Wojciechowski nagle zerwał umowę i wystąpił z żądaniem odkupu działki. Przestał odbierać telefon. Konta mojej spółki zostały zajęte. Na szczęście szybko się okazało, że tytuł komorniczy zdobyty przez Wojciechowskiego jest bezprawny.

Develo w tym samym czasie wnosi do sądu swoją sprawę, wzywając J.W. Construction do wywiązania się z umowy.

– Siedzę wieczorem w domu z żoną, dzwoni Wojciechowski – opowiada Jasikowski. – Pomyślałem, że się zreflektował, bo w międzyczasie wysyłaliśmy emisariuszy, żeby tę sprawę zgrabnie zamknąć. A on na wstępie próbuje mnie obrazić wyzwiskami nienadającymi się do druku. Mówi, że już po mnie i że w sądzie przegram z nim wszystko. Był rozjuszony. Zdążyłem tylko powiedzieć, że chyba trochę wypił i ta rozmowa nie ma sensu. Rozłączyłem się.

Było jasne, że to wojna. Biznesmen przyznaje, że telefon zrobił na nim wrażenie. Potraktował go śmiertelnie poważnie. W uszach do dzisiaj dźwięczy mu groźba, że Józef „zniszczy jego i jego wszystkie biznesy".

Z Wojciechowskim spotykamy się przed budynkiem Prokuratury Okręgowej w Warszawie. Wysiada z czarnego bentleya. Początkowo jest nawet miło. – Czy możemy się umówić na spotkanie? – Oczywiście, ale to proszę z moją asystentką. O czym mielibyśmy rozmawiać? Gdy pada nazwisko Eugeniusza Jasikowskiego, prezes JWC zaczyna się robić nerwowy. – Wpływał pan na wyroki sądów? – pytamy. – Pan chyba żartuje! – odpowiada biznesmen. – A straszył pan kogoś, że nikt nie jest z panem w stanie wygrać w sądzie? – Dlaczego pan mi wciska takie rzeczy? Bzdury kompletne! – Wojciechowski dochodzi jednak do wniosku, że się z nami nie spotka, bo „jesteśmy tendencyjni i nierzetelnie opisywaliśmy tę sprawę". Na nic tłumaczenie, że zajmujemy się nią po raz pierwszy. Koniec rozmowy. – Wszystkie dokumenty są w sądach, są wyroki, możecie przeczytać – rzuca na odchodne.

KWESTIE TECHNICZNE

Wyroki, o których wspomniał nam Wojciechowski, rzeczywiście są warte poznania, głównie ze względu na niespotykaną wręcz ich spójność, którą należy wprost nazwać plagiatem. I to dosyć ordynarnym, sporą część orzeczenia przepisano wraz z błędami interpunkcyjnymi i literówką.

Mimo że pierwszy sprawę do sądu przeciwko Józefowi Wojciechowskiemu wniósł Eugeniusz Jasikowski, to swój finał w postaci wyroku znalazło najpierw powództwo Wojciechowskiego przeciwko Jasikowskiemu. Wyrok, którego autorem jest sędzia Błażej Domagała, zapadł w grudniu 2015 r. w Sądzie Okręgowym Warszawa-Praga. Właściciel J.W. Construction dostał – to pierwsze kuriozum – więcej, niż żądał w pozwie: sąd pozostawił mu sporną działkę i dodatkowo nakazał byłemu partnerowi biznesowemu, czyli Develo, zwrócenie wpłaconych przez JWC pieniędzy. Mimo że większość rozpraw jest rejestrowana, to akurat ta się... nie nagrała. Nie wiadomo dlaczego, sąd tłumaczył, że to kwestie techniczne, które „zdarzają się sporadycznie".

Sprawa trafia więc do apelacji, w której korzystny dla JWC wyrok zostaje utrzymany. Dla porządku odnotujmy, że rozprawa się... nie nagrała. Kwestie techniczne.

Uzasadnienie tego wyroku powinno być sporządzone w ciągu 14 dni. Przewodnicząca składu sędzia Beata Waś, która jednocześnie jest prezesem całego Sądu Apelacyjnego, dokument wydała po pięciu miesiącach, gdy jeden z sędziów poszedł na urlop. Przepisy stanowią, że wówczas można podpisać uzasadnienie za niego.

Wróćmy teraz do drugiej sprawy, którą Jasikowski wytoczył Wojciechowskiemu. Domagał się w pozwie sfinalizowania transakcji. Sędzia Jerzy Kiper z Sądu Okręgowego w Warszawie stanął po stronie JWC, pozew oddalił. Nikogo już chyba nie powinno zdziwić, że również ta rozprawa „ze względów technicznych" się... nie nagrała. A uzasadnienie powstało w dużej części metodą „kopiuj-wklej". Sędzia Kiper posłużył się całymi akapitami uzasadnienia sędziego Domagały, popełnił nawet takie same błędy interpunkcyjne i literówkę. Mimo że te dwie sprawy musiały się toczyć niezależnie od siebie i były rozpatrywane w innych sądach.

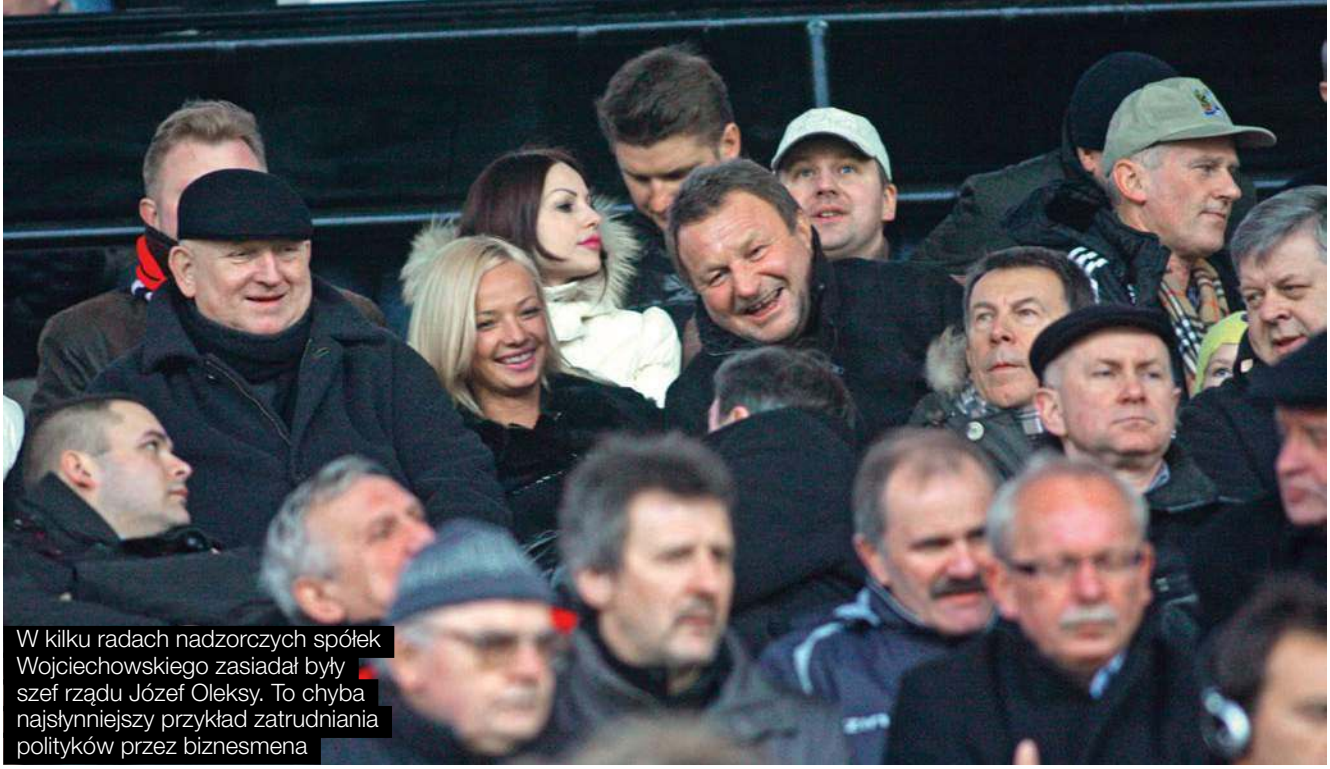
– Nie chcę generalizować, bo ciągle wierzę w uczciwość i niezawisłość sądów, ale czuję się okradziony w majestacie prawa. Gdybym wiedział, że w mojej sprawie zapadną tak kuriozalne wyroki, to robiłbym wszystko, żeby nie iść do sądu, żeby się z nim jakoś ułożyć. Przecież na mocy tych wyroków JWC i przejęło działkę, i zarobiło miliony! – mówi nam Jasikowski.

DZIWNE WYROKI

Sprawę tego plagiatu bada Prokuratura Okręgowa w Warszawie. Inicjatorami postępowania byli senator Lidia Staroń i poseł Porozumienia Jacek Żalek. – Wszystko wskazuje na to, że znaleźli się sędziowie świadomie uczestniczący w przestępstwie wyłudzania pieniędzy od przedsiębiorców, którzy wchodzili w interesy z Wojciechowskim, a wychodzili z nich pozbawieni majątku – mówi nam oburzony parlamentarzysta.

Dotarliśmy do treści zeznań sędziów. 21 maja 2019 r. przesłuchiwany był sędzia Sądu Okręgowego Warszawa-Praga Błażej Domagała, autor wyroku, który został potem splagiatowany. „(...) tak, to ja sporządzałem ten wyrok wraz z uzasadnieniem. Serwery Sądu Okręgowego w Warszawie oraz Sądu Okręgowego Warszawa-Praga w Warszawie to dwa odrębne serwery i nie mamy dostępu do serwerów drugiego sądu. (...) Mogli oczywiście przekazać je dalej pełnomocnicy stron. (...) Dane sędziego Jerzego Kipera nic mi nie mówią, nie widziałem tego człowieka".

eprasa.pl 3ca8d795e7



W kilku radach nadzorczych spółek Wojciechowskiego zasiadał były szef rządu Józef Oleksy. To chyba najsłynniejszy przykład zatrudniania polityków przez biznesmena

Fot. Piotr Werewka/REPORTER

16 lipca 2019 r. Jerzy Kiper, autor plagiatu, przyznał przed śledczymi, że wiedział o innym postępowaniu dotyczącym J.W. Construction. Co więcej, przyznał także, że miał dostęp do wyroku z innego sądu, ale przy szczegółowych pytaniach o przepisane uzasadnienie zasłaniał się niepamięcią: „Żadna ze stron lub pełnomocników w trakcie mojego postępowania nie kontaktowała się ze mną poza rozprawami. Sporządzając uzasadnienie w mojej sprawie, chyba dysponowałem wersją elektroniczną uzasadnienia wyroku Sądu Okręgowego Warszawa-Praga w Warszawie. (...) Wydaje mi się, że zwracałem się o to już na etapie pisania uzasadnienia. (...) Nie pamiętam, na jakim nośniku otrzymałem wersję elektroniczną uzasadnienia sądu praskiego. Nie pamiętam, kto fizycznie przekazał mi ten nośnik".

25 października i 14 listopada br. odbędą się rozprawy apelacyjne. Jasikowski jest pełen obaw, bo pozornie oderwane od siebie opowieści o wpływach Wojciechowskiego w sądach zaczynają mu się układać w całość.

Oddajmy jeszcze raz głos posłowi Jackowi Żalkowi, który w piśmie z sierpnia 2019 r. do szefa Krajowej Administracji Skarbowej powyższe przypadki opisuje następująco: „Według relacji pracowników sądu prezes Beata Waś wykazuje ponadstandardowe zainteresowanie losami tego postępowania. Być może jest to efekt bezpośredniej presji wywieranej przez Józefa Wojciechowskiego, który kilka tygodni temu miał złożyć osobistą wizytę u pani prezes. Według relacji świadków spotkanie miało burzliwy przebieg: założyciel J.W. Construction miał krzyczeć na sędzię i domagać się jej osobistego zaangażowania".

Na pytania przesłane z redakcji „Sieci" prezes Beata Waś nie odpowiedziała.

PRZEJĘCIE NAD POTOKIEM

Jasikowski nie jest jedynym przedsiębiorcą, który po robieniu interesów z Wojciechowskim od lat bezskutecznie dochodzi swoich praw w sądach. Do dziś ciągnie się sprawa, którą opisujemy jako pierwsi.

Krynica. Zdrojowa perła Sądecczyzny. Na uboczu miasta w latach 90. państwowe Zakłady Azotowe w Tarnowie-Mościcach posiadały Przedsiębiorstwo Turystyczne Czarny Potok SA. Vis-à-vis Czarnego Potoku, przy tej samej malowniczo położonej drodze u stóp Jaworzyny Krynickiej w 1999 r. zaczyna powstawać Karczma Regionalna, spółka rodziny Michalików. Zawarli oni umowę z PT Czarny Potok, na mocy której spółka ta przekazała Michalikom w wieczyste użytkowanie grunt po drugiej stronie ulicy. Celem wspólnego przedsięwzięcia było wybudowanie oraz prowadzenie obiektu turystyczno-wypoczynkowego.

W tym czasie głowa rodziny, Andrzej Michalik, jest dyrektorem w Czarnym Potoku.

W 2003 r. Zakłady Azotowe sprzedają Czarny Potok łódzkiemu LG Petro Bank SA. Bez przetargu i przy kilku innych nieprawidłowościach. W grudniu 2004 r. spółkę od banku Nordea (następca LG Petro Banku) kupiło J.W. Construction Holding SA.

– Na początku (od 1988 r.) tata był szefem ośrodka Czarny Potok, po 2004 r. był więc pracownikiem Wojciechowskiego. Kontaktów mieli kilka. Nigdy nie były one zbyt miłe. Pan prezes często traktował ludzi z wyższością. Odnosiłem wrażenie, że siał popłoch wśród personelu i szefostwa – wspomina Jarosław Michalik.

Gdy w 2004 r. Wojciechowski przejął PT Czarny Potok, z automatu stał się też wspólnikiem (mniejszościowym – z 8 proc. udziałów) Karczmy Regionalnej. W 2008 r. Czarny Potok połączył się z JWC.

Czarny Potok to dziś znany w całym kraju okazały czterogwiazdkowy kompleks hotelowy ze spa. Wojciechowski zmodernizował go w 2012 r. – Gdy rozbudowywał hotel, zatrudnił firmę z Bułgarii. Przyjechało do nas kilkuset robotników z tego kraju. Bułgarska firma jednak szybko upadła, bo Wojciechowski jej nie płacił. Pamiętam, jak w Boże Ciało na budowie miał miejsce wypadek. Sprawą zajmowała się nawet prokuratura, ale w prasie na ten temat było cicho. Wojciechowski dba o to, żeby nie pisano o rzeczach, które stawiają go w złym świetle – opowiada Jarosław Michalik.

eprasa.pl 3ca8d795e7


Czarny Potok to dziś znany w całym kraju okazały czterogwiazdkowy kompleks hotelowy ze spa

Fot. Damian KLAMKA/East News

Śledztwo w sprawie sprzedaży Czarnego Potoku (dotyczy m.in. działania na szkodę skarbu państwa) prowadzi prokuratura w Nowym Sączu, a w wyniku interwencji senator Lidii Staroń nadzór nad postępowaniem objął Departament ds. Przestępczości Gospodarczej Prokuratury Krajowej.

Pełnomocnikiem firmy Wojciechowskiego przy sporach w sprawie Czarnego Potoku jest radca prawny Jarosław Wrona, który w latach 2006–2008 zasiadał w... radzie nadzorczej Zakładów Azotowych. Był więc w konflikcie interesów, pracując jednocześnie dla JWC. Ta postać jeszcze powróci.

KRÓL KRYNICY

Współpraca z szefem J.W. Construction to dla Michalików wieloletnie pasmo traumatycznych przeżyć. Andrzej Michalik (ojciec Jarosława) opowiada: – Gdy przyjeżdżał nocować w hotelu, trzeba było kupować w Krakowie specjalną pościel. Nie wystarczały mu warunki, jakie oferował najlepszy apartament. Albo kolejne: w środku sezonu zimowego, gdy mieliśmy pełne obłożenie hotelu, Wojciechowski przyjechał niezapowiedziany z grupą znajomych i zażyczył sobie czterech najlepszych apartamentów. Niestety musiałem przenieść ludzi do standardowych pokoi. Było mi potwornie wstyd, ale nie miałem wyjścia. Goście domyślali się, co się dzieje, bo cały budynek apartamentów obstawiała ochrona z ostrą bronią.

Przedsiębiorca opisuje, jak zakończył pracę w Czarnym Potoku: – Gdy kolejny raz, po mocno zakrapianej imprezie, coś mu się nie spodobało, około północy długo wyzywał mnie w rozmowie telefonicznej, aż w końcu rzucił: „Już tu nie pracujesz". Następnie zdarzenia potoczyły się szybko – przyjechały cztery osoby z J.W. Construction, na czele z panem Maciejem Gnoińskim (wówczas wiceszefem rady nadzorczej JWC), który próbował wręczyć mi wypowiedzenie. Finalnie dostarczono mi je pocztą, świadectwo pracy wystawiono z datą wsteczną, nie zapłacono zaległych kilkumiesięcznych urlopów.

> Na liście płac Wojciechowskiego znajdujemy też byłego senatora PO Marka Rockiego i warszawskich samorządowców, którzy podejmowali korzystne dla biznesmena decyzje inwestycyjne, np. w sprawie Królewskiego Portu Żerań

Przegrałem w tej sprawie w sądzie I instancji, a apelację oddalono, choć pojawiły się nowe dowody. Pracowałem w Czarnym Potoku przez 18 lat, osiągając bardzo dobre wyniki finansowe. Byłem wielokrotnie nagradzany przez wojewodę, kilku ministrów za zasługi w turystyce, a zostałem wyrzucony bez podania przyczyny.

W miejsce Andrzeja Michalika prezesem Czarnego Potoku został właśnie Maciej Gnoiński. Od tamtej pory rodzina nie ma bezpośredniego kontaktu z Wojciechowskim. – Widzimy tylko, że czasem przyleci śmigłowcem. Na lądowisku czeka samochód, kierowca, ochroniarze, którzy pilnują helikoptera. Czasami te wizyty kończą się wyrzuceniem menedżera, kucharzy, kelnerów lub też dyrektora – mówi pan Andrzej.

Po pozbyciu się Michalików z Czarnego Potoku ludzie Wojciechowskiego wzięli na celownik rodzinę w sprawie działki po drugiej stronie ulicy. – Próby zastraszania pojawiały się kilkakrotnie. Już w 2007 r. pan Jarosław Wrona zażądał wglądu we wszystkie dokumenty spółki, po odmowie, chciał wprowadzić komisarza do zarządu – mówi Katarzyna Syrkiewicz, córka Andrzeja Michalika, prezes spółki Karczma Regionalna. Jej ojciec dodaje: – Dwukrotnie pojawił się jeszcze jeden wysłannik Wojciechowskiego. Przedstawiał się jako generał. Mówiono, że to człowiek dawnych służb. Nieoficjalnie proponował, abyśmy oddali 2/3 działki oraz udostępnili w obiekcie 500 osobodni – noclegów za darmo w zamian za „spokój w sądach". Odmówiłem, bo wydawało się nam, że trwające procesy zakończą się naszymi wygranymi, zwłaszcza że mieliśmy korzystny wyrok Sądu Najwyższego. Dlaczego mieliśmy oddawać za darmo naszą własność? Usłyszałem, że z Wojciechowskim nigdy w sądach nie wygramy.

Kim był wojskowy? To Marek Samarcew, były członek rady nadzorczej J.W. Construction, wysoko postawiony pancerniak, który jeszcze w latach 90. szkolił się w Akademii Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych Federacji Rosyjskiej. To on miał pomagać Wojciechowskiemu przejmować grunty należące dawniej do wojska.

Ostatecznie prezes JWC postanowił podważyć prawo Michalików do wieczystego użytkowania gruntu. Sprawa trafiła do sądów, gdzie wielokrotnie doszło do szokujących rozstrzygnięć. Oczywiście na niekorzyść Michalików.

Doszło np. do sytuacji, w której Sąd Najwyższy wydał inny werdykt niż rok wcześniej w tej samej sprawie. W innym przypadku Sąd Apelacyjny w Krakowie oznajmił, że orzeczenie SN go nie wiąże i oddalił powództwo Michalików.

eprasa.pl 3ca8d795e7

Czy z tymi werdyktami ma związek to, że w należącym do Wojciechowskiego Czarnym Potoku bawili małopolscy sędziowie? Wśród „szkolących się" był m.in. Krzysztof S., b. prezes krakowskiego Sądu Apelacyjnego, dziś zasiadający na ławie oskarżonych z zarzutami udziału w zorganizowanej grupie przestępczej, przyjmowania korzyści majątkowych i prania brudnych pieniędzy.

Podsumujmy. Wojciechowski przejął nie tylko teren wieczyście użytkowany przez Michalików, ale i budynki, które rodzina wybudowała przez kilkanaście lat. Można więc powiedzieć, że zabrał im wszystko. Ma na to wyroki „niezawisłych" sądów. Dodatkowo dziś domaga się od Karczmy Regionalnej ponad 4 mln zł (plus odsetki, w sumie zapewne ok. 7–8 mln zł), m.in. za „bezumowne korzystanie z nieruchomości" przez ponad 19 lat. Pozew w tej sprawie Michalikowie otrzymali w ubiegłym tygodniu.

Wszystko to w konsekwencji wadliwego sprzedania spółki PT Czarny Potok w 2003 r. i równie wadliwego przejęcia jej przez J.W. Construction w 2004 r. Działo się to w czasach, gdy niepodzielne rządy w Polsce sprawował SLD. Formacja bliska sercu i portfelowi Wojciechowskiego.

POLITYCY W KIESZENI

Jasikowski opowiada: – Byłem kiedyś świadkiem takiej sytuacji: w telewizji występuje jeden z byłych, bardzo wpływowych polityków zatrudnianych przez Wojciechowskiego. Józef trzyma nogi na stole, po wywiadzie łapie za telefon i miesza tego człowieka z błotem. Przeklina, zarzuca mu opowiadanie głupot i oczywiście wypomina wypłacane wynagrodzenie. Wtedy zrozumiałem, że mam do czynienia z człowiekiem, który traktuje nawet najważniejsze osoby w państwie jak chłopców na posyłki.

W kilku radach nadzorczych spółek Wojciechowskiego zasiadał były szef rządu Józef Oleksy. To chyba najsłynniejszy przykład zatrudniania polityków przez Wojciechowskiego, m.in. dlatego że panowie pokazywali się razem na meczach Polonii. Na trybunach widywani byli też inni ważni eseldowcy, np. Wojciech Olejniczak. Pracownicy klubu z tego okresu Wojciechowskiego wspominają dwojako. Oczywiście, że traktował Polonię jako zabawkę, ale zainwestował w nią sporo. Z drugiej strony pamiętają szaleńca, który pijany wpadał na mecze i poniżał zawodników, a nawet czasem bileterów. Trenerzy przeżywali koszmar, gdy wzywał ich na dywanik, bo jak uczniowie musieli się tłumaczyć przed nim i jego kolegami, z którymi akurat pił drinka. – Wyznawał zasadę, że tylko pierwszy wygrywa, reszta to śmiecie. Znudziły go potyczki na poziomie drugiej ligi, kupił więc Groclin Grodzisk Wielkopolski i doprowadzając do kontrowersyjnej fuzji, umieścił Polonię w ekstraklasie – mówi nam jedna z osób zaangażowanych w klub w tym czasie.

> Wtedy zrozumiałem, że mam do czynienia z człowiekiem, który traktuje nawet najważniejsze osoby w państwie jak chłopców na posyłki – opowiada Jasikowski

Ale ważniejszym decydentem, którego kupił sobie szef JWC – już nie na potrzeby biznesu sportowego – była Barbara Blida. Pełniła funkcję prezesa J.W. Construction sp. z o.o., W.W. Project sp. z o.o., Deweloper sp. z o.o. (wszystkie w koncernie Wojciechowskiego), a przede wszystkim J.W. Construction Holding SA (później zasiadała też w jej radzie nadzorczej), a także w zarządzie fundacji J.W. Construction „Nadzieja i przyszłość". Rocznie z pracy dla Wojciechowskiego – według oświadczeń majątkowych – miała ok. 0,5 mln zł. Jak widać, biznesmen nie zapomniał o pani minister, dzięki której zdobył kontrakt na budowę domków dla poszkodowanych w powodzi w 1997 r.

Właśnie w czasach prezesowania byłej szefowej Urzędu Mieszkalnictwa i Rozwoju Miast zaczęły się dla J.W. Construction złote czasy. Jej następca w UMiRM Marek Bryx też pracował dla Wojciechowskiego. Potrafił nawet łączyć członkostwo w radzie nadzorczej JWC z kierowaniem UMiRM. Prezesem J.W. Construction Holding był także Jerzy Zdrzałka, dawny wiceminister budownictwa, a ostatnio kandydat KO w wyborach samorządowych.

Na liście płac Wojciechowskiego znajdujemy też Marka Rockiego (b. senator PO, b. członek rady nadzorczej J.W. Construction) i warszawskich samorządowców, którzy podejmowali korzystne dla biznesmena decyzje inwestycyjne, np. w sprawie Królewskiego Portu Żerań.

ZA PAN BRAT Z BANKIERAMI

Wsparcie polityków to jedno, ale przecież oni nie dostarczą biznesmenowi żywej gotówki. Do tego potrzebne są banki, które mogą skredytować inwestycje. Na kontakty w tym środowisku Wojciechowski nigdy nie mógł narzekać.

Po wejściu JWC na giełdę w radzie nadzorczej spółki znaleźli się Andrzej Podsiadło i Jacek Obłękowski. Ten pierwszy wcześniej był m.in. prezesem PKO BP, gdy bank przyznał kredyty na blisko 135 mln zł spółkom Wojciechowskiego. Drugi najpierw zasiadał w zarządzie Fortis Banku (skąd Wojciechowski otrzymał 35 mln zł kredytu na inwestycję w Warszawie), a później w PKO BP (za jego kadencji JWC otrzymało blisko 100 mln zł kredytu, m.in. na inwestycję w Krynicy).

Kolejne ponad 235 mln zł Wojciechowski otrzymał od Banku Millennium w latach 2001–2006. W tym czasie w radzie nadzorczej banku zasiadał Marek Rocki (polityk do rady JWC trafił w 2007 r.).

W 2002 r. bank BGK zgodził się skredytować kolejną inwestycję Wojciechowskiego kwotą 64 mln zł. W radzie nadzorczej banku zasiadał wtedy Ryszard Matkowski, który rok później znalazł się... w radzie JWC.

Dodajmy do tego jeszcze BOŚ – następny przychylny naszemu

eprasa.pl 3ca8d795e7

bohaterowi bank (przyznane kredyty na ok. 200 mln zł) kontrolowany przez skarb państwa, a konkretnie przez Ministerstwo Środowiska. Tam prezesem był Mariusz Klimczak, protegowany byłego sekretarza generalnego PO Stanisława Gawłowskiego.

GRANICA KICZU

W 2016 r. Józef Wojciechowski był jedynym rywalem Zbigniewa Bońka w walce o prezesurę PZPN. Mało kto traktował go poważnie, a dzień elekcji tylko to potwierdził. Emocje znów wzięły górę, biznesmen nie godząc się z procedurą wyboru, opuścił salę, nie mówiąc nawet, czy rezygnuje z kandydowania, czy nie. Może nie było mu to potrzebne, bo w jego otoczeniu zarówno biznesowym, jak i towarzyskim i tak, gdy mówi się „prezes", wszyscy wiedzą, że chodzi o niego.

Poza piłką nożną Wojciechowski inwestował jeszcze w siatkówkę, ale jego osobistą pasją do dziś pozostaje tenis. W tej dziedzinie też nie znosi przegrywać. W swojej rezydencji, do której lasem jedzie się... aleją Wojciechowskiego, ma dwa korty, w tym jeden kryty. Opowiada Eugeniusz Jasikowski: – Dzwoni kiedyś: „Wiesz, chcieliśmy cię zaprosić, bo będziemy mieli turniej, a wiem, że grasz w tenisa. Przyjedź przygotowany". Przyjechałem, a tu podchodzi do mnie człowiek z otoczenia Wojciechowskiego i pyta, czy wiem, jakie są zasady. Odpowiadam, że oczywiście znam zasady tenisa. A on: „Nie, nie. Tu nikt nie wygrywa z prezesem". Pytam: „Jak to? To żart?". Słyszę: „Niech pan trochę poudaje i przegra". Wyszedłem na kort, pograłem chwilę i zszedłem. Nie chciałem brać udziału w tym cyrku.

To dopełnienie obrazu człowieka, który nie znosi sprzeciwu i nie uznaje porażek. Musi się czuć zwycięzcą, bogactwa nie ukrywa, wręcz ostentacyjnie się nim chwali. Ubrania bardzo drogie, ale gustu w nich mało, kiczu za to morze. No i przy boku zawsze sporo młodsza dziewczyna, a to miss, a to aktorka – plotkarskie portale czasem pytają: „Tata czy mąż?". Jego żoną była Laura Michnowicz, młodsza o 40 lat była modelka, która na swoim koncie ma tytuł Miss Publiczności i Miss



Z Wojciechowskim spotkaliśmy się przed budynkiem Prokuratury Okręgowej w Warszawie

Fot. Archiwum

Media, zdobyty podczas wyborów Miss Lata w Koszalinie w 2005 r. No, ale to już temat nieaktualny. Pobieżne przejrzenie rubryk plotkarskich tylko z ostatnich dwóch lat przynosi kolejne dwa doniesienia o planowanych ślubach Wojciechowskiego: przy okazji ubiegłorocznej gali Polsatu jego ówczesna partnerka Beata Pruska (młodsza o 45 lat) mówiła o sformalizowaniu związku, a kilka miesięcy później przy boku milionera widzieliśmy już Patrycję Tuchlińską (młodsza o 50 lat), studentkę z Wrocławia, zwyciężczynię konkursu Miss Maxima Models, którego sponsorem był zakochany po uszy biznesmen.

Jarosław Michalik z Krynicy: – Mnie szczególnie zapadło w pamięć jedno spotkanie z Wojciechowskim. Musiałem odwozić go na lotnisko do Krakowa jego czarnym lincolnem navigatorem. Nie był w stanie samodzielnie prowadzić. A towarzyszyła mu jakaś kolejna trzecia wicemiss. To była Wigilia.

TAJEMNICE J.W.

Jeszcze kilka lat temu mówiło się o nim jako jednym z najbogatszych Polaków. W 2017 r. na liście polskiej edycji „Forbesa" zajmował 29. miejsce z majątkiem 1,04 mld zł. Jednak w analogicznym zestawieniu „Wprost" miał dysponować „jedynie" 603 mln zł, co dawało mu 62. lokatę. W 2018 r. „Wprost" już go nie uwzględnił w setce (ostatni na liście miał 329 mln zł), „Forbes" zaś policzył, że Wojciechowski ma 852 mln zł, co dało mu 48. pozycję. W tegorocznych rankingach było jeszcze gorzej. Na liście „Forbesa" 76. miejsce (663 mln zł), we „Wprost" zaś znów nieobecność (czyli nie przekroczył 369 mln zł przypisanych setnemu najbogatszemu).

Skąd wzięła się ta fortuna? Zanim Wojciechowski stał się wziętym deweloperem, miał ponad 20 firm, pierwsze z branży gastronomicznej, bo takie ma wykształcenie (zaznaczmy: średnie, a nie wyższe, jak deklarował w giełdowych prospektach emisyjnych). W latach 70. prowadził kilka restauracji na terenie Gdyni, Gdańska, Mielna, a także Władysławowa. Najbardziej znana była gdańska Złota Kaczka – słynęła z najlepszej kaczki w Trójmieście. Handlował także wędliną i dorabiał jako bramkarz w kilku trójmiejskich klubach. Zajmował się też m.in. wyrobem drobiazgów z plastikowych odpadów. Nie szło. Wyjechał więc do Szwecji, a potem do USA, gdzie poszedł w budowlankę. Ale przede wszystkim zrozumiał tam, że podstawą jest marketing – sprzedasz wszystko, ale na reklamie to musi wyglądać perfekcyjnie.

Po powrocie do Polski budował raczej pod Warszawą, sam mawiał, że to „mieszkania popularne, a nie ekskluzywne". Jednym z prezesów przejętego przez JWC Towarzystwa Budowlano-Mieszkaniowego Batory w Ząbkach (główną wartością były grunty pod budowę osiedli) został Marek Skrzypczyński, przyjęty do SB w 1987 r., później pracował dla wywiadu PRL. W tzw. wolnej Polsce złożył podanie o przyjęcie do nowo powstałego UOP. Przez rok był na stypendium w Nowosybirsku. Dzięki nawiązanym tam kontaktom był najlepszym człowiekiem w JWC do nadzorowania i rozwijania prowadzonych przez grupę interesów w Rosji. Do dziś główną kadrową giełdowego przedsiębiorstwa pozostaje jego żona Urszula Skrzypczyńska.

W orbicie jego współpracowników pojawiało się zresztą więcej osób, których udział w biznesie może tłumaczyć dzisiejsze pozycję i wpływy Wojciechowskiego. Sięgnijmy do źródeł budowlanego imperium. J.W. Construction zaczęło się od zakupu w 1993 r. przez Józefa Wojciechowskiego firmy CB Construction od Wiktora Kubiaka, znanego polonijnego biznesmena powiązanego z Zarządem II Sztabu Generalnego Wojska Polskiego (wywiadem wojskowym PRL), a potem z Wojskowymi Służbami Informacyjnymi.

eprasa.pl 3ca8d795e7



Tylko jeden miał odwagę

Czy „Obywatel Jones" znajdzie się na indeksie w putinowskiej Rosji? Najnowszy film Agnieszki Holland to przejmujący obraz koszmaru wielkiego głodu na Ukrainie i opowieść o człowieku, który wbrew wszystkim głośno krzyczał o tej zbrodni Stalina

Fot. Kino Świat

eprasa.pl 3ca8d795e7



ŁUKASZ ADAMSKI

Zaczyna się ten film „Folwarkiem zwierzęcym" George'a Orwella. Na nim się też kończy. Najbardziej przenikliwa opowieść o istocie komunizmu jest klamrą „Obywatela Jonesa" Agnieszki Holland, która za film zdobyła Złote Lwy na ostatnim festiwalu w Gdyni.

Polskiemu widzowi przyzwyczajonemu do żarliwych antyrządowych wystąpień Agnieszki Holland może się wydać zaskakujące, że jest ona odbierana na Zachodzie jako zdeklarowana antykomunistka. A przecież sama pochodzi z rodziny komunistycznej i w polskich sporach politycznych po stronie antykomunistycznej prawicy nigdy nie staje. Ba, jest jedną z czołowych postaci lewicowo-liberalnego obozu. „Rodzice głęboko wierzyli w jedyną słuszną wizję świata, a potem doznali wielu rozczarowań, obserwowałam to jako dziecko. Z jednej strony trudno mi przez to potępiać ludzi, którzy służą złej sprawie, jeśli jest w nich głęboka wiara, że ta sprawa jest dobra i piękna. Ale z drugiej – patrząc na nich z dystansu, widzę, jakie są tego koszty, nie tylko osobiste, lecz także społeczne" – mówiła w jednym z wywiadów. Opowiadając o komunizmie zachodniemu widzowi, unika takich dywagacji. Jest więc odbierana nie tylko jako liberałka, lecz również ostra antykomunistka.

HOLLAND WPROST O KOMUNIZMIE

Holland potrafi zachodniemu widzowi opowiedzieć o istocie koszmaru czerwonej ideologii wprost i bez skrzywienia zachodnich lewicowych elit. Tak było w przepełnionym gwiazdami (Ed Harris, Christopher Lambert) „Zabić księdza" (1988) czy zrobionym dla czeskiego HBO „Gorejącym krzewie" (2013), który opowiadał o Janie Palachu. „Obywatel Jones" to najlepszy od kilkunastu lat film dwukrotnie nominowanej do Oscara polskiej reżyserki. Ten film dobitnie dowodzi, że Holland jest najbardziej przenikliwa i prowokacyjna, kiedy nie bawi się w doraźną publicystkę, jak choćby w „Pokocie". W rozmowie, jaką przeprowadziłem z Agnieszką Holland dla TVP Kultura, reżyserka opowiadała, jak nierówno jest w popkulturze jest traktowany komunizm i nazizm. O ile Holokaust został opisany w popularnej kulturze, o tyle zbrodnie komunizmu wciąż są tabu.

Wielki głód na Ukrainie, zwany po ukraińsku Hołodomorem, to jedna z najpotworniejszych zbrodni komunizmu. Sowieci skazali w ciągu roku (1932–1933) miliony ludzi na śmierć. Śmierć najpotworniejszą. Śmierć z głodu. Przymusowa kolektywizacja rolnictwa spowodowała bunt chłopów, który Stalin postanowił zgnieść zagłodzeniem narodu. Warren H. Carroll w „Narodzinach i upadku rewolucji komunistycznej" cytuje Wiktora Krawczenkę, który był na Ukrainie jako młody partyjny działacz, po tym jak porzucił wiarę w komunizm. Pisał on: „Najbardziej przerażającym widokiem były dzieci z kończynami szkieletów dyndającymi z baloniastych brzuchów. Głód wymazał z ich twarzy wszelkie oznaki młodości, zmieniając je w umęczone gargulce; jedynie w ich oczach przetrwały ślady dzieciństwa. Wszędzie znajdowaliśmy kobiety i mężczyzn leżących na ziemi z napęczniałymi twarzami i brzuchami, z pozbawionymi wyrazu oczyma". Świat robiący interesy z Sowietami milczał o zbrodni, tak jak milczał o Katyniu, gdy Stalin był potrzebny w wojnie z Hitlerem. O tym jest film Holland. O zakłamaniu w imię polityki. Skundleniu w imię własnej wygody i odwadze pójścia pod prąd w imię w prawdy.

> To nie tylko film o zbrodni stalinizmu, ale też lustracja pożytecznych idiotów Kremla na Zachodzie

POŻYTECZNI IDIOCI

„Tylko jeden człowiek" – zaczynały się kiedyś zwiastuny amerykańskich filmów akcji. Tylko jeden człowiek miał odwagę, by wbrew wszystkim głośno krzyczeć o sowieckich zbrodniach na Ukrainie. Robił to w czasie, gdy zachodnie elity były zafascynowane komunistycznym eksperymentem w Rosji. Gareth Jones (James Norton) był walijskim dziennikarzem, który relacjonował dojście do władzy Adolfa Hitlera. Nawet zrobił z nim wywiad. Tego samego próbował w Moskwie. Zamiast wywiadu ze Stalinem wymknął się „ochronie" z NKWD i poszedł po śladach śledztwa dziennikarskiego zamordowanego kolegi. Tak trafił na Ukrainę i zobaczył na własne oczy, jak zagładza się w imię rewolucji cały naród. To właśnie Jones, według twórców filmu, ostatecznie uzmysłowił Orwellowi (Joseph Mawle), czym był komunizm. Próbował tę prawdę przekazać całej brytyjskiej elicie na czele z premierem Lloydem George'em (Kenneth Cranham). Bezskutecznie. Ważniejsza była polityka, rynek zbytu w Moskwie, upojenie się elit zachodnich rewolucją komunistyczną, ale też działalność sowieckich agentów wpływu. Holland bezwzględnie rozprawia się z jednym z nich.

Walter Duranty (znakomita rola Petera Sarsgaarda) skupia w sobie całe przesłanie filmu Holland. Ten korespondent „New York Timesa" w Moskwie (1922–1936) i zdobywca Pulitzera jak nikt inny przyczynił się do przymknięcia oczu przez Zachód na zbrodnie Sowietów. Żaden zapatrzony w czerwoną ideologię pożyteczny idiota z lewicowych kręgów intelektualnych na Zachodzie nie uczynił tyle dla komunizmu, ile ten łajdak. Nie chodzi tylko o jego zakłamywanie informacji o wielkim głodzie i niszczenie na łamach „NYT" Garetha Jonesa, gdy ten próbował informować o zbrodniach Stalina po powrocie ze Związku Radzieckiego. Duranty systematycznie budował wizerunek Rosji jako

eprasa.pl 3ca8d795e7



Peter Sarsgaard wciela się w ikonę zdrady zachodnich elit, gwiazdy dziennikarstwa Waltera Duranty'ego

Fot. Kino Świat

przykładu udanej rewolucji lewicowej. Gułag porównywał do wspólnot kolonistów amerykańskich w Wirginii, gdzie osadzeni dostają pieniądze za pracę i jedzenie. Jeżeli pisał o głodzie na Ukrainie, to używał takich propagandowych haseł, jak „deficyt żywności", „choroby wynikające z niedożywienia", „ograniczenia w dostępie do żywności". Duranty był pupilkiem Stalina oraz wpływowym człowiekiem w Waszyngtonie. Przejął od komunistów ich metody działania, co widać w scenach, gdy łamie kręgosłup moralny młodej dziennikarce (Vanessa Kirby). Duranty nie był jedynym propagandystą Kremla na Zachodzie. Angielski dramaturg Bernard Shaw czy były premier Francji Édouard Herriot też odwiedzili Ukrainę w czasie głodu. Widzieli jednak wioski, które pokazała im władza komunistyczna. Po powrocie do swoich krajów pisali, jak zamożna jest Ukraina. Jednak oni nie dostali Pulitzera za „wnikliwe, bezstronne, mądre oraz transparentne" relacje z ZSRR. Dostał je człowiek, który miał potem wielki wpływ na percepcje Stalina przez elity amerykańskie. Do dziś nie odebrano mu Pulitzera za haniebne kłamstwa o braku wielkiego głodu, mimo starań o to ukraińskiej diaspory w USA. „Obywatel Jones" to pierwszy film, który tak sugestywnie pokazuje działanie tzw. pożytecznych idiotów. Choć w przypadku Duranty'ego można mówić chyba o agenturze wpływu.

POTEM BYŁO KŁAMSTWO KATYŃSKIE

W jednej scenie widzimy, jak Duranty był oklaskiwany na bankiecie dla 1,5 tys. gości, gdzie fetowano nawiązanie relacji między USA i Związkiem Sowieckim. Obok szefa sowieckiej dyplomacji Maksima Litwinowa (Krzysztof Pieczyński) gwiazdą wieczoru był właśnie ten pożyteczny idiota Stalina. To właśnie on oraz inni agenci Kremla zarazili Franklina Delano Roosevelta sympatią do sowieckiej Rosji. To najsmutniejsza scena „Obywatela Jonesa". Holland zamyka w niej cały dramat, który doprowadził do tego, że Polska tak łatwo została sprzedana Stalinowi kilka lat później. Jest to scena dla mnie o wiele bardziej przerażająca niż obraz samego głodu. A przecież Holland nie odwraca kamery od napuchniętych od głodu ciał dzieci czy kanibalizmu.

„Obywatel Jones" jest bezbłędnie zrealizowanym filmem. Momentami jest to obraz akademicki, do bólu poprawny technicznie. Jest w nim jednak kilka wizjonerskich ujęć, których dawno u Holland nie widziałem. Kapitalna jest scena rozgrywająca się na dekadenckiej i libertyńskiej imprezie u Duranty'ego. Jazz (Holland wiele wyniosła z serialu „Treme"), orgie seksualne i heroina w żyłach. Dziennikarze zagranicznych mediów, którym nie pozwala się ruszać poza Moskwę, zostali kupieni narkotykami i seksem. Ponadczasowe! Symboliczna jest scena pokazująca czerwone niebo nad Moskwą. Czerwone od krwi jej ofiar. Narkotyczne halucynacje sytej elitki warto przypomnieć sobie, kiedy się ogląda halucynacje Jonesa wywołane głodem. Mocna symbolika.

Cała sekwencja na Ukrainie jest już nakręcona w wyblakłych barwach. Jones ucieka z ekskluzywnego pociągu dla korespondentów zagranicznych oraz sowieckich notabli i przesiada się do wagonu z „ludzkim bydłem" w środku. Operator Tomasz Naumiuk (brawa za piękne zdjęcia!) zmienia wtedy barwy. Jesteśmy od teraz w krainie trupów. Zimnej trumnie. W świecie odhumanizowanym. To świat, gdzie rodzeństwo zjada zmarłego braciszka. To świat, gdzie upodlenie osiąga rozmiar późniejszego Holokaustu. Jones nie może uwierzyć w to, co widzi. Bo przecież dzieci, które umierają z głodu, śpiewają na cześć Stalina piosenki. Oto kwintesencja czerwonego upodlenia

Fot. Denis Makarenko/Shutterstock.com

eprasa.pl 3ca8d795e7



To mogą być wasze dzieci

13 lat temu gimnazjalistka Ania wiesza się w domu na skakance. To pierwsza głośna ofiara internetowej presji. Cyberprzemocy, wobec której młodzi ludzie nadal pozostają sami. Statystyki porażają: co dziesiąty polski nastolatek próbował się zabić



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Jeśli przeciętna klasa liczy 30 osób, to „co dziesiąty" oznacza troje uczniów. Aż tylu! Wielu dorosłym wydaje się to niepojęte, niewiarygodne. Tak jak sama cyberprzemoc. Nie do końca zdiagnozowana, funkcjonująca właściwie poza realnym światem. Pewnie niejeden się zastanawia: cóż to takiego? W jaki sposób może zagrozić?

Katarzyna Ucherska, której popularność przyniósł serial „Dziewczyny ze Lwowa" i która wciąż wygląda jak nastolatka (choć Akademię Teatralną ukończyła trzy lata temu i ma już całkiem sporo teatralnych i ekranowych doświadczeń na koncie), nie ukrywa: w tej scenie nie było jej łatwo. Mimowolnie włączył się mechanizm obronny, impuls, żeby napastującego ją chłopaka

eprasa.pl 3ca8d795e7



Fot. Tomasz Urbanek

odepchnąć, żeby odejść. Będąc aktorką, nie mogła jednak z tej sytuacji po prostu wyjść. Mimo narastającego poczucia osaczenia, zaszczucia, paraliżu całego ciała... Zwłaszcza kiedy dotarło do niej, że to upokarzanie dzieje się na oczach tak wielu ludzi.

Ania, o której głośno zrobiło się w 2006 r., podobnego obciążenia nie udźwignęła. Jej samobójstwo rozpoczęło dyskusję o cyberprzemocy i okrucieństwach dokonywanych za pomocą bardzo niewinnych środków, do których wszyscy mamy dostęp. Na co dzień.

TO ZWYKŁE ZACZEPKI

Temat podjęli twórcy spektaklu „Wszechmocni w sieci" zrealizowanego w warszawskim Teatrze Kamienica, którzy wcześniej poruszyli widzów przedstawieniem „Dopalacze. Siedem stopni donikąd". Najnowszy projekt w drapieżny, chwilami mocno niewygodny i prowokujący sposób odsłania mechanizmy cyberprzemocy i hejtu. Pokazuje, diagnozuje, przede wszystkim jednak konfrontuje z tym zjawiskiem najbardziej narażonych na skutki nastoletnich odbiorców.

„To tylko zwykłe zaczepki. To tylko końskie zaloty. Nagrywajcie, szerujcie [czyli udostępniajcie – przyp. red.], komentujcie. To są klasowe wygłupy. To tylko klasowa zabawa. Nagrywajcie, szerujcie, komentujcie. Tak się zaczepia dziewczyny. No przecież wszyscy tak robią..." – skanduje ze sceny chłopak grany przez Marcina Stępniaka, nawiązując, choć nie wprost, do zakończonego tragedią symulowanego gwałtu dokonanego i sfilmowanego na oczach biernej klasy.

– Polska jest jednym z niechlubnych liderów, jeśli chodzi o statystyki prób samobójczych i samobójstw wśród nastolatków (tuż za Niemcami) – rysuje mocny obraz Wawrzyniec Kostrzewski, reżyser i autor „Wszechmocnych w sieci". – Wśród dorosłych panuje w tej kwestii pełna nieświadomość. Dorastający człowiek, który ma już swój świat, swoich znajomych, wraca do domu, zamyka się w pokoju i bez żadnego uprzedzenia robi sobie krzywdę. Na pytanie „dlaczego" jest już wtedy za późno.

CYBERWSZYSTKO

Dorośli często nie rozumieją albo bagatelizują wagę, jaką młodzi ludzie przywiązują do swojego funkcjonowania w sieci, w grupie. To w cyberprzestrzeni młodzież się dzisiaj z innymi identyfikuje, w cyberprzestrzeni nawiązywane są relacje, cyberprzestrzeń staje się światem numer jeden. Wszystkim. Do tego świata młodzi wkraczają niczym niechronieni.

Tymczasem twarde statystyki (które na dodatek bywają niedoszacowane, ponieważ większość ofiar cyberprzemocy nie mówi o tym nikomu, dopóki nie stanie się realna krzywda), pokazują, że 80 proc. młodych ludzi funkcjonuje non stop w świecie wirtualnym. Kilkadziesiąt procent z nich jest on line 24 godziny na dobę. I to nie za sprawą stacjonarnego komputera. To, że ktoś funkcjonuje w wirtualnym świecie, nie znaczy, że siedzi non stop z twarzą przed ekranem komputera. Tego też rodzice często sobie nie uświadamiają. Nie rozumieją też, jak potężne emocje wiążą się w tym wieku z odrzuceniem, z brakiem akceptacji w grupie; z lękiem, ze strachem, ze wstydem, z upokorzeniem.

– Nie zdają sobie z tego sprawy, ponieważ mają inne pokoleniowe doświadczenia – podkreśla Kostrzewski. – Tego, co otacza ich dzieci, nie było, kiedy dorastali. Dziś, jakkolwiek by to zabrzmiało, na wielu polach przemoc fizyczna staje się dodatkiem do przemocy dużo głębszej, wirtualnej. To się oczywiście bierze z wszechobecnego hejtu, mowy pogardy i nienawiści, przenoszących się na młodzież, która równie okrutnie potrafi się zachować w internecie. Jeżeli dodamy do tego prosty biologiczny fakt, że mózg nastolatka rozwija się emocjonalnie do 20. roku życia, to mamy tykające bomby.

eprasa.pl 3ca8d795e7

NIKT NIE KRZYKNIE: PRZESTAŃ!

„...Nagrywajcie, szerujcie, komentujcie – wykrzykuje chłopak na scenie. – Róbcie zdjęcia. Róbcie zdjęcia. Róbcie zdjęcia. To jest prawdziwa sesja. To jest prawdziwe show...".

Kiedy oprawca straszy bohaterkę spektaklu, że wrzuci do sieci filmik, w którym się nad nią znęca, poniża ją, dziewczyna myśli przede wszystkim o tym, że cała szkoła będzie się z niej śmiała. – A przecież, podkreśla Katarzyna Ucherska, spełniając swoją groźbę, chłopak przedstawiałby dowody przeciwko sobie. Tyle że dziewczynie brakuje tej świadomości, a więc i siły, by nie dać się zastraszyć, by się przeciwstawić. Sama nie wypracowała jeszcze narzędzi obrony i, niestety, nie ma koło siebie żadnego wsparcia, nie ma do kogo się zwrócić o pomoc.

W takich sytuacjach zawodzą też często rodzice. – Oczywiście chcą dla swoich dzieci jak najlepiej, ale często mają zupełnie inne filtry. Mogą nie zrozumieć, nie zauważyć pewnych symptomów albo źle je zinterpretować i zamiast pomóc, jeszcze dołożyć do pieca – podsumowuje aktorka.

„...Róbcie zdjęcia. Róbcie zdjęcia – nie ustaje chłopak. – To lepsze niż milczenie. Lepsze niż patrzenie w ścianę. Róbcie zdjęcia. Róbcie zdjęcia. Przecież nikt nie krzyknie: Przestań!".

Według Wawrzyńca Kostrzewskiego dorośli nie do końca uświadamiają sobie, a być może też nie chcą tego zauważać, jak lawinowo rośnie wśród nastolatków obojętność na przemoc. Głośna sprawa sprzed kilku tygodni: dwie dziewczyny biją się przed szkołą. Nikt nie próbuje ich rozdzielić czy w inny sposób przerwać ten brutalny spektakl. Rówieśnicy zajęci są nagrywaniem. Wieloma telefonami.

– Akty agresji stają się banalne, trywialne, codzienne – uderza Kostrzewski. – Stają się powodem do żartów, śmiechów, do robienia sobie „beki", „polewania", „pociskania", jak to dziś mówią młodzi ludzie. Czasami ciężko jest wejść w ten ich język i zrozumieć, o co im chodzi już na poziomie słów. Powstaje coraz większe pęknięcie między młodymi ludźmi a pokoleniem ich rodziców i rośnie zbiorowa znieczulica. Bo wspomniany przypadek nie jest jedynym. Wszystko się teraz nagrywa, rejestruje się, wrzuca do sieci.

Marcin Stępniak wtóruje: – Takie są czasy. Jest Facebook, jest Instagram, ludzie piszą, komentują, to jest część naszego życia. Jesteśmy tym osaczeni. Czy mamy lat 15, 30 czy 50. Tyle że z wiekiem przychodzi doświadczenie i dystans, które pomagają nam zdecydować, co w danej chwili można zrobić, a czego absolutnie nie.

Ale nawet mając doświadczenie 28-latka i zawodowe zaplecze, wejście w scenę napastowania nie jest proste. Aktor mówi o narastających emocjach: dojmujących, osaczających, raniących, a w dłuższej perspektywie niszczących, niezależne od wieku.

OPRAWCA CZY OFIARA

– W takich czasach żyjemy, że ten spektakl powinien skłaniać młodych ludzi do myślenia, do tego, by przed działaniem się zatrzymać, wziąć pięć wdechów, ochłonąć, nie iść na żywioł emocji, bo potem można tego żałować do końca życia – komentuje Stępniak.

Mówi o swoim bohaterze: – Marcin został odrzucony przez An-ai na forum całej klasy. To stało się dla niego piętnem. I narastało. A młodzi ludzie tak kumulują w sobie emocje, że musi to mieć gdzieś upust i dlatego, gdy starsi, z doświadczeniem stawiają sobie granice, mówią „Stop! dalej nie można!", młodzi, niesieni falą nienawiści, wstydu, brną w sytuacje, których potem – mam taką nadzieję – w większości żałują, ale których czasem nie można już cofnąć.

– Chłopcy, którzy doprowadzili do samobójstwa 14-letniej koleżanki, jakkolwiek by to zabrzmiało, stali się też ofiarami tego zdarzenia – zauważa Kostrzewski. – Doprowadzili do tragedii, która rozbiła się na wiele rodzin, wiele domów, wiele lat... Cyberprzestrzeń nie pozwala o niej zapomnieć.



Fot. Tomasz Urbanek

CO SIĘ LICZY W ŻYCIU

Bilety na „Wszechmocnych w sieci" zostały wyprzedane do końca stycznia. Teatr Kamienica organizuje dodatkowe spektakle. Zapowiada też trasę po Polsce. Jak z wcześniejszymi projektami. Ważnymi, jak się okazuje, nie tylko dla młodych ludzi, chociaż to młodzi najgoręcej po tych spektaklach dyskutują.

Reżyser wspomina spotkanie w Rybniku. Po trwających godzinę intensywnych „Dopalaczach. Siedmiu stopniach donikąd" dziewczyna w ostatnim rzędzie prowokacyjnie oznajmiła, że ci, którzy zażywają dopalacze, robią to na własne życzenie, bo są głupi, słabi i to jest naturalna selekcja. Dostała owacje. Minęło półtorej godziny i znów wstała. Przyznała, że zmieniła zdanie. Do tej pory nie sądziła, że powody, dla których młodzi ludzie sięgają po takie substancje, bywają tak złożone. – Ta jedna sytuacja pokazała nam, że było warto robić ten spektakl – mówi reżyser.

W czasie dyskusji po „Wszechmocnych w sieci" być może uda się skonfrontować m.in. z tezą Cybergirl (Olga Sarzyńska), uosobienia internetu, jego pokus, niebezpieczeństw oraz ironii. Postaci poza dobrem i złem, zmuszającej do samodzielnych wyborów, prowokującej zawołaniem: „Co się liczy w życiu? Fun! Co się liczy w życiu? Fun! Co się liczy w życiu? Fun! Fun! Fun. Yolo!" [akronim od angielskiego zwrotu You Only Live Once – przyp. red.]. Ale jeśli „Żyje się tylko raz", to czy koniecznie głównie w cybersieci?

eprasa.pl 3ca8d795e7

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

„Inny świat" – manifestacja człowieczeństwa

Tym razem o przedstawieniu Teatru Telewizji, które dopiero mogą państwo obejrzeć, o ile tylko przeczytają ten tekst. Już w poniedziałek, 21 października. Mam poczucie, że po „Weselu" Wyspiańskiego-Kostrzewskiego to najważniejsza pozycja w tym roku. Roku Gustawa Herlinga-Grudzińskiego.

Pokaz przedpremierowy poprzedził wstępem prof. Włodzimierz Bolecki. Przypomniał, że Herling-Grudziński „Inny świat" napisał po dwóch latach spędzonych w sowieckim łagrze. Że wydana w roku 1951 książka stała się ważnym argumentem w debacie świata zachodniego o sowieckich zbrodniach. I że przełożenie tych wspomnień z piekła na język teatru wcale nie było oczywiste. To historie opowiedziane przez jedną osobę, bez dialogów, wszystko trzeba był pisać od podstaw.

Dla mojego pokolenia Herling jako demaskator sowieckiego systemu, ale i jako opowiadacz prawd ludzkich, był niezwykle ważny. Ale dlatego na pierwszą poważną inscenizację tego utworu reagowałem sceptycznie. Aranżowanie bezmiaru tragedii w teatralnej konwencji wydało mi się tę tragedię umniejszać. Tak odbierałem pierwsze sceny. Wśród umownych dekoracji Jana Polivki aktorzy (a właściwie tancerze) odprawiają pantomimy mające oddać naturę łagiernego mrowiska. Nie da się tego oddać!

Ale szybko mnie ten chłód opuścił. Kiedy Rafał Zawierucha, grający jednego z więźniów, opowiadał Phillipe'owi Tłokińskiemu, w roli samego autora, o tym, jak powtarza cyklicznie ucieczki z obozu, poczułem dreszcz. A od sceny upiornego przedstawienia odgrywanego przez łagierników dla łagierników wiedziałem, że będzie mi się to śniło.

Świetny reżyser Igor Gorzkowski pojął naturę tej opowieści. Makrokosmos łagru zostaje rozbity na masę mikrokosmosów. Jednakowo ważnych, nawet jeśli prawda o poszczególnych ludziach jest tyleż przejmująca, ile czasem obrzydliwa czy wstydliwa. Gorzkowski nie udaje, że odda smak i zapach powolnej śmierci, nawet jeśli pośród umownych dekoracji pojawiają się opuchłe nogi czy kawałki jedzenia. Opowiada to inaczej, często przez metaforę, nie wprost. Tylko że od tego „nie wprost" oczy robią się mokre.

Powinienem to przeczuć już przy scenie pierwszej. Ten sam bohater grany przez Zawieruchę odwiedza narratora Tłokińskiego już po wojnie, we Włoszech. I składa na jego barki swój dylemat moralny. Nierozwiązywalny, nawet jeśli wiemy, jak w teorii należało postąpić. Pamiętajmy, że takie dylematy istnieją. Nie oceniajmy przeszłości pustymi deklamacjami.

To również historia o logice systemu. I o fatalistycznej naturze różnych sowieckich narodów, która w jakiejś mierze do tego wszystkiego dopuściła. Ale przecież i o ułomnościach każdej ofiary, także dzielnego Polaka. Bo nikt nie może być pewny siebie. Tłokiński zagrał rolę życia – na początku prawie bezstronny obserwator, ale przecież przerażony, też się łamiący, zagubiony. Długo zapamiętamy jego oczy.



Epizody, jakie uruchamia swoją relacją, porażają prawdą. To, poza Zawieruchą, m.in. Janusz R. Nowicki, jako oszalały ksiądz, Marek Barbasiewicz – kruchy profesor wśród brutalnych urków, Karol Pocheć – samookaleczający się więzień, Henryk Talar – przerażający, choć w pewnych momentach i ujmujący komunista, który komunistą być nie przestał jako łagiernik. O największy dreszcz przyprawił mnie jednak Andrzej Mastalerz, w roli Dimki, popa. Nie da się przejść obojętnie wobec jego odkodowywanej mozolnie manifestacji człowieczeństwa. Takie jest to przedstawienie. Chce się po nim milczeć.

Piotr Zaremba



Tam, gdzie się kończy horyzont

Co robić – trzeba nam będzie trochę przesunąć „Słownik mitów i tradycji kultury" Kopalińskiego, by zrobić miejsce dla tytułu podobnej rangi

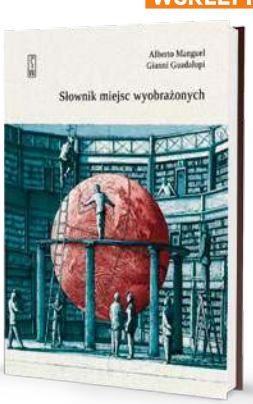
Wojciech Stanisławski

Istnieje sporo leksykonów kartkowanych z niesłabnącą przyjemnością, ale ile jest takich, w których radości dostarcza już lektura przedmowy oraz noty redakcji do wydania polskiego? Wziąwszy do ręki (która opadła pod jego ciężarem) „Słownik miejsc wyobrażonych", wiem co najmniej o jednym.

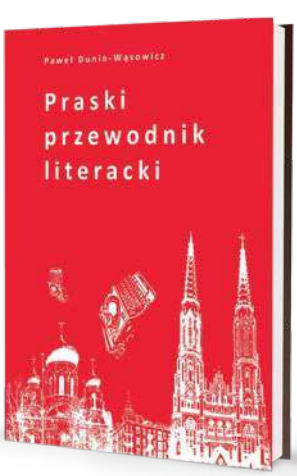
Nie jest to pierwsza próba systematycznego opisania, w sposób możliwie rzeczowy i zwięzły, obfitości miejsc, postaci i obyczajów, które stworzyła ludzka (ściślej pisarska) wyobraźnia. Ta nieskończoność zwykle jednak onieśmiela, a próby jej opanowania często wydają się równie daremne jak konstruowanie budynków z mgły, dyscyplinowanie fal morskich bądź przyuczanie ślimaków do układania się w państwowotwórcze wzory. Dzięki narzuceniu sobie rygorystycznych kryteriów leksykograficznych i filologicznych Alberto Manguel i Gianni Guadalupi podołali temu zadaniu – na tyle, na ile jest to w ludzkiej mocy – tworząc książkę, którą można i trzeba postawić tuż obok „Słownika mitów i tradycji kultury" Kopalińskiego; kilka leksykonów postaci literackich będzie musiało, niestety, przesunąć się w tym celu do drugiego szeregu.

Zanim jeszcze z rozkoszą zagubimy się w labiryncie, skacząc z wyspy na wyspę (bo też, co zajmujące, setki autorów przez stulecia zgodnie uważały wody morskie za najbezpieczniejszą granicę między światem rzeczywistym a wyobrażonym; w „Słowniku..." natkniemy się na prawdziwy archipelag, zajmujący co najmniej czwartą część tomu, wzniesiony wspólnym trudem Homera, Borgesa i Verne'a), przeno-

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL



Alberto Manguel, Gianni Guadalupi, „Słownik miejsc wyobrażonych", tłum. Piotr Bikont, Jan Gondowicz, Michał Kłobukowski, Jolanta Kozak, Maciej Płaza, Maciej Świerkocki; PIW, Warszawa 2019



Paweł Dunin-Wąsowicz, „Praski przewodnik literacki", Fundacja Hereditas, Warszawa 2018

eprasa.pl 3ca8d795e7

sząc się od drzewa rodzącego ostrygi po gniazdo hipogryfów, warto chwilę uwagi poświęcić właśnie kryterium doboru opisywanych księstw, jaskiń i miast. Dlaczego bowiem kraina Ithilien, a nie rzeka Irawadi, unieśmiertelniona w poemacie Kiplinga? Dlaczego Xanadu Coleridge'a, lecz nie Yoknapatawpha Faulknera? I gdzie podziały się wszystkie planety, do których dotarł niezmordowany Ijon Tichy?

Manguel i Guadalupi udzielają w tej kwestii nader rzeczowej odpowiedzi. Z galaktyki światów wyobrażonych wykluczyli oni, rygorystycznym gestem, wszelkie piekła, futurystyki i kosmosy: wszystkie miejsca wyobrażone muszą się mieścić na Ziemi, na barańczakowskiej pomarańczy globu. Co więcej, nie mogą być przebraniem, tekturową maską wymyślonej nazwy nieporadnie naciągniętą na całkiem realną krainę: autorzy zjadliwych satyr politycznych i dla ostrożności pseudonimizowanych reportaży nie mają więc czego szukać w „Słowniku...", chyba że zdobędą się na podobny szwung, co Jonathan Swift. Realnym miastom i zagajnikom nic nie pomoże zaludnienie ich wyimaginowanymi postaciami: nie znajdziemy w tej książce ani buddenbrookowskiej Lubeki, ani Zbaraża z imć Podbipiętą na wałach, ani nawet (to jedyna może chwila, kiedy czytelnik ściągnie brwi w grymasie niezadowolenia) Stumilowego Lasu. Nasi leksykografowie bywają bowiem arbitralni i w ostatecznym rachunku, w trybie „bo tak im się podoba", wciągają za szczeciniasty kark na karty swojej książki inne zezwierzęcone okolice, od pliniuszowej wyspy Liksus po carrollową Wyspę Żmirłacza; i cóż poradzisz?

Skoro jednak opanujemy odruch buntu, wytłumaczywszy sobie, że Stumilowy Las jest wieczny, nic już nie powstrzyma nas przed gorączkową, zachłanną, chaotyczną gonitwą od indeksu omawianych autorów i tytułów po tysiącstronicowy opis wyobrażonych światów – i z powrotem. Kto jest, kogo zabrakło? Tolkien, Verne i Rabelais zajęli, jeśli się nie mylę, miejsca medalowe. W czołówce znaleźli się też, w pełni zasłużenie: Poe, Burroughs, Borges i Ursula le Guin. Mile zaskoczą Tove Jansson i Wolfgang Amadeusz Mozart (jako współtwórca idei Heliopolis z „Czarodziejskiego fletu"), zastanowi skromna reprezentacja Szekspira i Stevensona, ucieszą Henri Michaux i Italo Calvino.

Potem zaś każdy ruszy szukać swoich faworytów, indywidualnych i narodowych. Jeśli idzie o tych pierwszych, zamierzam się upomnieć (do czego zachęcają sami autorzy), by w kolejnym wydaniu znalazło się miejsce dla Josepha Rotha (gdzie właściwie leży, gdzieś między gubernią wiacką a Mołdawią, terroryzowana przez Tarabasa Koropta? Jak trafić do Sipolja, z którego wywodził się ród von Trotta? Przecież to miejsca najzupełniej wyobrażone!). Jeśli idzie o reprezentacje narodowe, dominują narody „starej" Europy: no, ale tak już widać musi być, że na dzieła wyobraźni ukraińskiej, żydowskiej i wietnamskiej przyjdzie poczekać.

A polskiej? Nie jest źle, nie przypadkiem tak długo czekaliśmy na polskie wydanie. O polonica zadbali Andrzej Brzozowski i Jan Gondowicz, uzupełniając „Słownik..." zarówno o Krainę Deszczowców niezapomnianego Stanisława Pagaczewskiego, jak i pomniejsze światy ze stron Gombrowicza. Nie żałuję, że zabrakło wśród tych wątków okrutnie nudnych peregrynacji Mikołaja Doświadczyńskiego – szkoda za to środkowoeuropejskich krain, które powoływali do istnienia Andrzej Kuśniewicz i Piotr Wojciechowski.

Nigdy, a przynajmniej od wielu lat jeden tytuł nie zgromadził tak pięknej plejady tłumaczy. Oddając wszystkim cześć należną w stopce, wymieńmy tu raz jeszcze Jana Gondowicza, czynnego przy „Słowniku..." w troistej roli translatora, „polonizatora" oraz osoby odpowiedzialnej za opracowanie redakcyjne. Niektóre zapisy jego pióra (w tym małe homagium dla Debory Vogel) nie budzą wątpliwości również za sprawą inicjałów, jakimi są podpisane; jego wpływu na ton całego słownika, w którym żartobliwa powaga łączy się z melancholią, można się tylko domyślać.

A jeśli komuś nie dosyć leksykonów literackich – czas przywołać czekający od dłuższego czasu na wzmiankę przewodnik, w którym poprzez odbicia w tekstach literackich różnej wielkości pokazane zostało miasto całkiem realne – kwartał po kwartale, dzielnica po dzielnicy, począwszy od lokalnych osobliwości, jak neogotycka katedra czy wybieg dzikich zwierząt, aż po blokowiska, które, wydawałoby się, mogą stanowić tło tylko dla kryminałów bardzo noir oraz horrorów, a tu, proszę, awangardowy poeta!

Taki format znany jest od lat, w Polsce jednak ciężko się przyjmował – dopóki nie przygarnął go (jak wielu autorów i inicjatyw w ubiegłych latach) Paweł Dunin-Wąsowicz, zawołany wydawca i bibliofil. Droga od miejsc wyobrażonych do realnych była w jego przypadku długa, prowadząca od niezapomnianego Odczapowa, przez „Fantastyczny Kraków" (2013) i „Polską Bibliotekę Widmową" (2016). Odkąd jednak jął się na serio przewodników, dla których punktem wyjścia są studia bibliograficzne i varsavianistyczne, a surowcem – literatura, można wędrować z jego przewodnikami w ręku: od dwóch lat po Żoliborzu, od pół roku – po Pradze.

Kogo tam nie ma! Wśród haseł: Lunapark i miśki (oczywiście!), Dworzec Wileński i Brzeska, Cmentarz Bródnowski i Annopol – ale też Chamowo, Praga II i Skaryszewska. Kto je opisał? Nie, nie tylko kojarzeni zwykle z Pragą Wiech, Stasiuk i Osiecka. Dunin-Wąsowicz znalazł wszystkich: z wielkich Korczaka i Żeromskiego, Błoka i Singera, ale przede wszystkim dziesiątki autorów całkiem lub niemal zapomnianych: od Władysława Grajnerta („Zbrodniarz", 1896 – pierwszy współczesny opis nędzy praskiej, sucho kaszlącej w parku Aleksandryjskim) po Mirosława Sokołowskiego i jego „Gady" z 1989 – pierwszą polską „powieść ćpuńską". A między nimi powieści milicyjne i kombatanckie Jerzego Grzymkowskiego, kryminały Edigeya, Adam Bahdaj i Marek Nowakowski, Masłowska, Pilipiuk i Varga. I ich bohaterowie – niknący w podwórzach, pijący na Bródnie, kochający się na Gocławiu.

W quasi-literackich bedekerach Olgierda Budrewicza i kilku innych autorów piszących o Pradze przywoływano kilkunastu. Dunin-Wąsowicz zgromadził ich blisko 500. I to jest miara tej pracy.

eprasa.pl 3ca8d795e7

Adamski





Powrót do „Breaking Bad”

VOD

Powstaje właśnie prequel „Rodziny Soprano”. W „The Many Saints of Newark” młodego Tony’ego Soprano zagra syn śp. Jamesa Gandolfiniego, Michael. David Lynch dał nam w zeszłym roku zdumiewającą kontynuację „Twin Peaks”. Nieprzypadkowo wymieniam te dwa seriale, bo „Breaking Bad” Vince’a Gilligana jest serialem mogącym stać obok tych dwóch klasyków telewizji. Sześć lat po zakończeniu tego arcydziełka i tuż po bardzo udanym spin-offie „Better Call Saul” Gilligan postanowił w jednym filmie opowiedzieć o losach Jessie Pinkmana (Aaron Paul), czyli jednego z dwóch głównych bohaterów „Breaking Bad”.

„El Camino” rozgrywa się od razu po finale piątego sezonu (2013). Walter White (Bryan Cranston) nie żyje. Jessie ucieka samochodem El Camino z miejsca rzezi. Jest ścigany przez policję i agentów federalnych. Aby uciec z USA, musi jeszcze raz wejść do świata, którego mrok wciągnął go w ostatnim sezonie serii. Typowe odcinanie kuponów? Nie do końca. Jasne, że jest to film skierowany do wielkiej rzeszy fanów kultowego już dziś serialu i ma po prostu być komercyjnym sukcesem. Jednak Gilligan traktuje swoje największe filmowe dziecko z czcią i szacunkiem i nie pozwoli na zepsucie jego reputacji.

Jest więc „El Camino” wizualnie intrygujące jak serial i ma swój niepowtarzalny klimat podpalony słońcem Albuquerque w Nowym Meksyku. Aaron Paul wyciska wszystko, co może, z roli Jessiego, czyli chłopaka, który przeszedł drogę od smarkacza pomagającego choremu na raka nauczycielowi chemii produkować metamfetaminę, przez gangstera z narkotykowego imperium, aż po torturowanego i przetrzymywanego w dziurze w ziemi zdezelowanego fizycznie i psychicznie zakładnika. Jessie odbywa podróż do przeszłości, nie tylko szukając ukrytych pieniędzy, które pomogą mu uciec na Alaskę, lecz także walcząc z demonami siedzącymi w jego głowie. Dowiadujemy się więc, co mu się działo, gdy był w niewoli. Wracamy też do postaci (jest nawet demonicznie charyzmatyczny Jonathan Banks jako Mike!), które towarzyszyły nam przez pięć sezonów serialu, łącznie z Walterem White’em, będącym klamrą całej opowieści. Poruszające jest pojawienie się w ostatniej roli zmarłego kilka dni temu na raka mózgu wspaniałego aktora Roberta Forstera w roli Eda z dziwacznego sklepu z odkurzaczami.

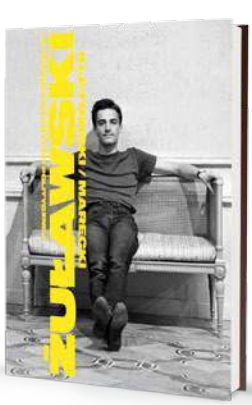
„El Camino” to też film o absolutnie kultowym Chevrolecie produkowanym od 1959 do 1987 r. Amerykańskie samochody są nieodłączną częścią amerykańskiego kina. Szczególnie sensacyjnego. „Znikający punkt”, „60 sekund”, „Włoska robota”, „Brudna Mary, świrus Larry”, „Pojedynek na szosie” – tym klasykom z lat 70. i 60. swój hołd oddał w „Death Proof” (2007) Quentin Tarantino. Gilligan też po trochu to robi, odpalając co chwilę ryk El Camino, który był notabene pokrewny z Chevy Malibu, którym w „Pulp Fiction” jeździł Vincent Vega. Ten film najlepiej sprawdza się właśnie pod tym kątem. To sentymentalny powrót do świata „Breaking Bad”, ale też kawał dobrej popkulturowej żonglerki.

„EL CAMINO” DOSTĘPNY NA NETFLIXIE

Książka

Kosmos

Nazwisko śp. Andrzeja Żuławskiego w tym roku rozgrzało polski świat kina za sprawą kontrowersji związanych z ekranizacją przez jego syna Xawerego ostatniego scenariusza ojca pt. „Mowa ptaków”. Na rynku pojawiły się dwie książki o najbardziej niepokornym polskim reżyserze takich dzieł jak „Diabeł”, „Szamanka”, „Na srebrnym globie” czy „Opętanie”. Wybierzcie „Żuławski” Piotra Kletowskiego i Piotra Mareckiego. Drugie wydanie najlepszego wywiadu rzeki, jaki czytałem z reżyserem filmowym, zostało w końcu wydane, tak jak na to zasługiwał ten mroczny geniusz polskiego kina. Nie jest to żadna plotkarska paplanina albo anegdotyczna pogadanka o kinie w PRL. Kletowski i Marecki bez stawiania rozmówcy pomnika wyciągają z Żuławskiego jego piekielną erudycję. Rozmówcy rozprawiają o historii kina, edukacji i pracy reżysera we Francji, komunistycznej cenzurze, Hollywood i kobietach w życiu maestro, który zmarł przed premierą opartego na, nomen omen, Gombrowiczu „Kosmosu”. Jest to książka o kosmosie Żuławskiego. Wchłaniającym i wypluwającym widza z pomocą tajemniczej siły. Byłem zaskoczony, jak dobrze się to czyta po dekadzie od rozmowy. Pozycja obowiązkowa.



„ŻUŁAWSKI. WYWIAD RZEKA” PIOTR KLETOWSKI, PIOTR MARECKI, WYDAWNICTWO KRYTYKI POLITYCZNEJ

Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl 3ca8d795e7

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

poleca



Zmowa milczenia

Pierwszy raz uderzył taki chłód w wycmokanego przez krytyków filmowych Irańczyka Asghara Farhadiego. Zdobywca Oscara i Złotej Palmy (scenariusz) za „Klienta" tym razem przeniósł się do Europy i zaangażował dwójkę aktorów uwielbianych przez masowego widza. Modny reżyser z Persji i intrygujące małżeństwo gwiazdorów Penélope Cruz i Javier Bardem w dramacie obyczajowym osadzonym na sielankowej hiszpańskiej prowincji? Co może takiej drużynie nie wyjść? Jednak film nie podbił festiwali, a krytycy zarzucili mu przekombinowanie i banalność. Ja tak nie uważam, choć bez wątpienia jest to najmniej przenikliwy film „irańskiego Kieślowskiego", jak niektórzy nazywają Farhadiego.

Urokliwe hiszpańskie miasteczko. Mała społeczność mająca swoje sekrety. Paco (Bardem) jest cenionym winiarzem. Ma poukładane życie i pozycję w „małej ojczyźnie". Wtedy pojawia się Laura (Cruz), która przylatuje na rodzinny ślub z Buenos Aires. Paco i Laura mieli kiedyś romans. Dziś są tylko przyjaciółmi, choć z wciąż otwartymi ranami z przeszłości. Podczas wesela uprowadzona zostaje córka Laury. Porywacze żądają okupu.

Klasyczny thriller jest tylko przyczynkiem do kolejnego przewrotnego moralitetu Farhadiego. Poszukiwania nastolatki szybko prowadzą do zerwania rodzinnych masek. Fasada kochającej się i zjednoczonej familii kruszy się w piorunującym tempie. Na jaw wychodzą ukrywane grzechy, zdrady. Objawia się upudrowana dobrymi manierami nienawiść. Wszyscy wiedzą o jednej tajemnicy, która przez lata rozkłada rodzinę. A może jednak ją kleiła?

„Wszyscy wiedzą" zawiera wszystkie tematy eksploatowane przez Farhadiego w poprzednich filmach. „Rozstanie" było symboliczną opowieścią o pękniętym społeczeństwie. „Klient" mówił o ukrytym grzechu. Oba były historiami rozpadu rodziny. Tak jest i tutaj. Dla znawców kina Irańczyka ten film jest więc wtórny i do tego zbanalizowany. Jednak widzowie, dla których irańskie kino jest zbyt egzotyczne, mają w końcu szansę zapoznać się z myślą tego wyjątkowo utalentowanego reżysera.

Widać, że Farhadi nie do końca rozumie europejską tradycję. Rozmowa przy stole o walce klasowej pokazuje, że irański reżyser nie czuje w naturalny sposób niuansów europejskiej historii. Natomiast ciekawie wygląda wątek odkupienia i ofiary, których nie można oderwać od chrześcijańskiej koncepcji ofiary. To, że Farhadi jest artystą z kraju teokratycznego i jego irańskie filmy siłą rzeczy muszą być zanurzone w islamie, nadaje finałowi alegorycznego „Wszyscy wiedzą" głębszy wymiar.

Nawet jeżeli nie przemówią do was rozważania Farhadiego intelektualisty, to bez wątpienia warto ten film obejrzeć dla duetu Cruz–Bardem. Są inni niż u Woody'ego Allena w „Vicky Cristina Barcelona". Oboje tworzą poruszające role zdesperowanych ludzi, postawionych przed koniecznością stanięcia przed lustrem i skonfrontowania się z własną przeszłością.

„WSZYSCY WIEDZĄ",
REŻ. ASGHAR FARHADI, DYSTR. GUTEK FILM



Kopciuszek abnegat

Przepis na udaną komedię romantyczną? Nazywa się „Niedobrani". Ten specyficzny gatunek filmowy bardzo często tkwi w mieliznach żenady. Nie spodziewałem się niczego wielkiego po tym filmie. A tu proszę! Zupełne zaskoczenie. Jest to odwrócenie opowieści o Kopciuszku, którym jest tutaj upadły i niechlujny dziennikarz (Seth Rogen w tej roli) oraz pięknej królowej, mającej zostać pierwszą prezydentką USA (Charlize Theron). Ta zupełnie niedobrana para zakochuje się w sobie wbrew wszystkim okolicznościom i znakom na niebie. On miał przecież tylko pisać jej przemowy. Ona zaś się zastanawia, czy uczucie do takiego abnegata nie zaszkodzi jej piarowo. Nie jest to więc tylko podlana niegrzecznym humorem Rogena lekka komedyjka, ale też całkiem błyskotliwa satyra na wielką politykę w Waszyngtonie. Jest tutaj sporo ideologii (wojna płci, rządy korporacji), ale tak zabawnie ujętej, że nie razi żadnym odchyłem. Lekka, zwiewna i urocza zabawa!



„NIEDOBRANI",
REŻ. JONATHAN LEVINE, DYSTR. MONOLITH

Skala ocen: dno · koszmar · rozczarowanie · można obejrzeć, ale niekoniecznie

eprasa.pl 3ca8d795e7

Kino Samotnych Psów

I oto któregoś listopadowego ranka, zaglądając do internetu, ze zdumieniem odkrył w spisie kin nowy, nadzwyczajny przybytek wysokiej kultury. Czyżby jego marzenie miało się ziścić?



Fot. Shutterstock



KRZYSZTOF LOGAN TOMASZEWSKI

Wiesz – powiedział pewnego listopadowego wieczoru do swego psa i głęboko westchnął, bo poczuł się parszywie. – Jakby to było dobrze, mój przyjacielu, gdyby można było pójść czasami do prawdziwego kina. Ale tylko z tobą, mój Solomonie. Gdyby było takie kino na powietrzu, jak dawniej na Powiślu – Jutrzenka, byłoby cudownie! Ubralibyśmy się ciepło, bo to już jesień, włożyłbym swoje czarne palto, pod spód sweter albo dwa, owinąłbym szyję moim długim pomarańczowym w czarne pasy szalikiem, a ty, kochany, wskoczyłbyś na swoje ulubione miejsce z tyłu autka, za siatkę, i pomknęlibyśmy na seans. Moglibyśmy oglądać ulubione filmy. Kupiłbym dwa bilety. Oczywiście dwa ulgowe bilety, gdyż obaj jesteśmy emerytami. Może mógłbym wreszcie kogoś poznać – westchnął rozmarzony. – Może mógłbym się jeszcze raz zakochać. Poczuć to niesamowite uczucie absolutnej wolności, gdy całe ciało wraz z głową, wszystkimi przepływami myśli, zaczyna należeć do drugiej osoby innej płci.

Pies nastawił uszy. To była jego odpowiedź. Leżał obok niego. Ze swoim długim pyskiem, wilgotnym nosem, opartym na przedniej łapie. Czekał. Gdy człowiek skończył swą tyradę, przekrzywił pysk, uniósł go lekko w górę, znów przekrzywił i nadsłuchiwał. Solomon zawsze czekał. Na jedno słowo, które odbierał, jakby posiadał radar – jak rozkaz! Zapewne wielu rzeczy nie rozumiał. Nie znał tego całego skomplikowanego i na ogół pogmatwanego świata człowieka. Solomon miał wyostrzony słuch, niezwykłą pamięć oraz osławiony psi węch. Pies, z którym był od ośmiu lat, rozumiał każde jego zdanie, reagował na natężenie głosu, na dźwięki, na melodię języka człowieka. To pozwalało mu czuć i orientować się w każdej sytuacji. Ktoś, kto nie miał nigdy psa, tego nie pojmie. Obaj – mężczyzna i pies – tworzyli związek oparty na zaufaniu, przyjaźni, bezinteresownej miłości. Gdy ludzie żyją z sobą kilka lat, powstaje między nimi więź. A co dopiero, gdy tymi istotami są człowiek i pies. Tej relacji nikt nie pobije. To rodzaj współbrzmienia, współodczuwania. Jest w tym coś ze wzniosłej muzyki. Jest jak sonata. Albo nokturn. Od momentu, gdy zasypiali pod tą samą kołdrą, przytuleni do siebie jak para wiernych, wiecznych kochanków. Aż po świt, kiedy się z wolna budził, ze świadomością, iż Solomon spał z nim przez całą noc. Bark w bark. Ramię przy ramieniu. Nos w nos. A następnie, kiedy przynosił mu pantofel. Dając znak, że musi wyjść na przebieżkę do ogrodu.

Mężczyzna nie miał już swojej kobiety. Był sam na sam ze swą samotnością. – Kobieta – myślał. Kim ona właściwie jest? Kim bywa? W snach, marzeniach, na jawie? Do czego jest w istocie potrzebna mężczyźnie? Skomplikowane? Bynajmniej. Tak, tylko że słowo „bynajmniej" niczego nie wnosi.

– Oh! – westchnął któregoś ranka. – Gdyby takie kino – kino dla psów powstało, byłoby cudnie, jak pięknie, gdyby można było chodzić na stare

eprasa.pl 3ca8d795e7

dobre filmy sprzed lat! Może bym kogoś poznał? Dziewczynę. Panią. Uroczą wdówkę. Kimkolwiek by była – studentką, staruszką, wdową lub rozwódką, panną, czy jak to obecnie mówią – singielką – od tej chwili wypełniałaby cały świat. Obojętne, czy nosiłaby beret, chodziła w palcie, czy wydzierganym na szydełku, za dużym o numer swetrze. W szpilkach czy w podniszczonych sandałach. Mogłaby nosić cokolwiek, wiesz, mój piesku.

(...) Naraz przyłapał się na tym, że już o tym mówił do Solomona. Zaledwie dwa dni wcześniej. Czyżby zwariował?

– Czym w istocie jest miłość? – myślał. – Albo seks? Te akrobacje, figury, posapywania. A po wszystkim przysięgi, że będzie ją kochać na śmierć i życie. Serią fizjologicznych odruchów, a może jedynie naszą banalną projekcją tego, co mamy gdzieś zaprogramowane? W mózgu, w krwiobiegu, w penisie. Z pewnością seks jest rodzajem narkotyku. A może miłość jest jeszcze jedną balladą, która opowiada o tym, jak mężczyzna i kobieta próbując się spełnić – skazują się na siebie. Miłość... Ktoś, kto ją wymyślił, był trochę cynikiem, poetą, samotnikiem, egoistą, w istocie – dziką bestią. Każdym po trochu. – A kim ja jestem? – Kim jestem ja? – powtórzył zamyślony, jakby trwał w spirytystycznym transie.

I oto któregoś listopadowego ranka, zaglądając do internetu, ze zdumieniem odkrył w spisie kin nowy, nadzwyczajny przybytek wysokiej kultury. Czyżby jego marzenie miało się ziścić? Ot tak, za klaśnięciem dwóch dłoni? – Czy to możliwe – pomyślał, wpatrując się w zadrukowany papier. Ze zdumieniem przecierał oczy. A jednak... była to oczywista prawda! Oto na czwartej stronie gazety jakaś miła dusza donosiła: „Powstało nowe kino! Nie będzie to drugi Iluzjon. Będziecie, drodzy państwo, mogli przychodzić ze swymi pupilami – z psami, kotami, z królikiem, nawet z... kanarkiem w klatce. Będzie to kino przyjazne dla zwierząt. Wyświetlimy takie arcydzieła jak: »Zmysły«, »Noc w Wenecji« i »Lampart« Luchino Viscontiego, »Noc«, »Przygoda« i »Zaćmienie« Michelangelo Antonioniego, »Bulwar zachodzącego słońca«, »Stracony weekend«, »Pół żartem, pół serio« i »Garsoniera« Billy'ego Wildera, »Okno na podwórze« i »Ptaki« Alfreda Hitchcocka, »Skłóceni z życiem« i »Asfaltowa dżungla« Johnny'ego Houstona. Na początek wyświetlimy dzieło Michaela Curtisa z 1942 r. »Casablanka«".

Popatrzył na psa. Solomon siedział na zadzie. Na dźwięk słów swego pana przekrzywił po swojemu głowę w lewo i słuchał zahipnotyzowany.

Przed kinem dreptało już kilkanaście osób. Każda ze swoim psem. Były wśród nich cocker spaniele, jeden wilk, doberman i kilka mieszańców. Psy wyciągały szyje, napinały linki i szelki, obwąchiwały nosami swe podbrzusza, czasem nie wytrzymywały napięcia i powarkując, gryzły się, lecz większość była przyjazna. Starannie maskowana agresja ustępowała psiej ciekawości. Prawie każdy pies węszył za suką. Wiadomo! Najważniejsze były hormony. Byle znaleźć się bliżej białej, puszystej i seksownej królowej – pudlicy, która stała ze starszą damą ubraną w złociste norki. Starannie jej się przyjrzał. Dama stała na początku kolejki. W dłoniach trzymała zwinięty pled, na głowie miała czarny filcowy kapelusz, mocno umalowane usta zwróciły jego szczególną uwagę. Tuż za nią tłoczyło się kilku zniecierpliwionych staruszków. Ich granica wieku oscylowała pomiędzy 65 a 80 lat.

– Kim mogła być owa niewiasta? – myślał rozbawiony. – Glorią Swanson z „Bulwaru zachodzącego słońca"? A może Kim Novak z „Zawrotu głowy"? Niezapomnianą Jeanne Moreau z „Moderato Cantabile"? Ach! Te usta Jeanne Moreau. Cóż to była za aktorka! W „Windzie na szafot", „Kochankach", „Jules et Jim", w „Dzienniku panny służącej". I to jej słynne powiedzenie, że „moja szklanka będzie zawsze do połowy pełna, nigdy do połowy pusta". Nie, starsza dama nie była żadną z nich, bynajmniej. Jest zapewne owdowiałą, samotną do granic wytrzymałości kobietą, z twarzą, z której bezpowrotnie znikła uroda, na swym ostatnim wirażu. (...)

Przed kinem w szklanej gablocie umieszczono oryginalny plakat filmu wyprodukowanego przed 76 laty. Przedstawiał twarz mężczyzny w kapeluszu. Z jego warg zwisał papieros. Nad wejściem do Kina Samotnych Psów żarzył się niebieski neon: „Casablanka" – Ingrid Bergman & Humphrey Bogart. A pod spodem mniejszymi literami na czerwono: „Jeden z najpiękniejszych romansów! Najbardziej niebezpieczny człowiek w najbardziej niebezpiecznym mieście!".

Zauważył, że Solomon wyciągnął szyję, starając się ze wszystkich sił dotrzeć do białej pudlicy. Jednym ściągnięciem smyczy przywołał go do porządku.

– Sol! – szepnął. – Uspokój się! Nie widzisz, że ta suka jest ze starszą damą, która na oko ma co najmniej 85 lat. Pamiętaj, my szukamy 45-latki.

Podliczył widzów. Było ich około 40, ale co chwila przybywali nowi. Ludzie używali niezawodnego: „Tss!" albo „Cii!", gdy na ekranie pojawiły się nazwiska twórców i aktorów, a następnie pierwsze kadry. W następnych rzędach usadowiły się jeszcze trzy pary z psami: yorkiem, seterem i jamnikiem. Wszystkie pociechy siedziały na fotelach obok swoich właścicieli: grzeczne, ze spuszczonymi ogonami i postawionymi uszami, każdy wpatrzony w ekran.

– Popatrz, Sol – szepnął do psa. – Tu są maniacy kina, nie sądzisz? Solomon nic nie odrzekł. On też siedział jakby uczłowieczony, z lekko uniesionym pyskiem, z wzrokiem utkwionym w przesuwające się obrazy.

Fragment tekstu pochodzącego z najnowszej książki Krzysztofa Logana Tomaszewskiego „Kino Samotnych Psów", której drugie wydanie właśnie się ukazało



eprasa.pl 3ca8d795e7

Mościć się w pamięci



Przemysław Skrzydelski

Anna Karasińska znów w swoim mikroteatrze niczego nie udowadnia, nie narzuca. Scena staje się laboratorium spotkania. Sporo jest z tego frajdy.

Wyobrażam sobie, że widz, który pierwszy raz trafia na spektakl Karasińskiej, musi być nie lada zaskoczony, a nawet przekonany, że ma do czynienia z czymś nie do końca rzetelnym, bo teatr ten jest w swym założeniu niedomknięty, spontaniczny, każdego wieczora otwarty na zmianę. Jednak nie wystarczy powiedzieć, że to kwestia improwizacji, że aktorzy zwyczajnie są gotowi na taką metodę. Jest w tym coś więcej. Chęć pokazania, że aktorstwo to chyba nie wszystko, na dodatek jego reguły czasem ograniczają sens spotkania z odbiorcą. I to z tego powodu widz ostatecznie daje się w świat Karasińskiej wciągnąć.

W 50-minutowym „Dobrze ci tego nie opowiem" widać to wyraźnie. Temat tej miniatury jest niezwykle trudny, ale też wykonawcy tego nie ukrywają. Do tego stopnia, że moglibyśmy zostać przez nich zaproszeni na scenę, by po swojemu opowiedzieć historię zmagania się z pamięcią wojny przekazywanej nam z pokolenia na pokolenie w rodzinnym łańcuszku wspomnień. I tak jak oni bylibyśmy zakłopotani. Czy w ogóle jesteśmy w stanie traumę tamtych lat w sobie przepracować i czy nie jest też tak, że ona tkwi w nas tylko dlatego, że jesteśmy do niej wciąż obligowani, realnie nic z niej nie rozumiejąc? W tej sytuacji poetycki skrót zdaje się tak samo niezręczny, co próba mówienia wprost. Wspomniałem o wykonawcach, bo w najnowszej pracy Karasińskiej na równych prawach uczestniczą doświadczony aktor Dobromir Dymecki oraz trzy wyłonione w drodze warsztatów Komuny Warszawa performerki, Sara Goworowska, Karolina Harris i Bożena Wydrowska. Tym bardziej zatem czujemy, że ten mały teatr chce zbudować wspólnotę dla niemałych spraw. Nieczęsta szczerość, efekt zaś zostanie w głowach na dłużej.



„Dobrze ci tego nie opowiem"
tekst i reżyseria: Anna Karasińska, Komuna Warszawa
premiera: 8 września 2019 r. na scenie Studio teatrgalerii

Nuty nadziei



Adam Ciesielski

Wydarzeniem jazzowym na większą niż polska skalę jest album „Three Crowns" kwartetu Macieja Obary, wydany przez oficynę ECM.

W gronie indywidualności muzyki jazzowej i klasycznej, promowanych przez charyzmatycznego twórcę tej wytwórni Manfreda Eichera, szczególne miejsce zajmował Tomasz Stańko. Oprócz legendarnych płyt naszego trębacza w katalogu ECM są nagrania jego współpracowników: najpierw tria Marcina Wasilewskiego, ostatnio także Macieja Obary.

38-letni Obara, saksofonista i kompozytor, poprzez Stańkę w 2007 r. spotkał wirtuoza fortepianu Dominika Wanię. W 2012 r. do zespołu zaprosił cenionych Norwegów: perkusistę Garda Nilssena i kontrabasistę Olego Mortena Vågana. Już ich pierwszy album „Unloved" wzbudził uznanie. Obecna zaś, druga firmowana przez Eichera, płyta kwartetu Obary zasługuje wręcz na entuzjazm.

Oprócz synkopowanych ujęć dwóch kompozycji Henryka M. Góreckiego krążek zawiera sześć utworów lidera. Już tytułowy motyw nawiązujący do pienińskich Trzech Koron jest popisem barwnej, pulsującej rytmem improwizacji. „Blue Skies for Andy" to z kolei wzruszający hołd Obary dla jego zmarłego ojca. Wyjątkowy ładunek emocji niesie finałowy „Mr S.". Elegijna, ale i pełna zaskoczeń ballada przywołuje klimaty Stańki. Jego słynny koktajl furii z liryką stanowi estetyczne odniesienie dla polsko-norweskiej formacji, mającej jednak ambicję wykreowania własnej ekspresji.

Obara jest już w europejskiej trasie promocyjnej. Polska koncertowa premiera „Trzech Koron" – 26 listopada w katowickiej NOSPR. Dzień później ten sam repertuar zabrzmi w warszawskim Koneserze podczas festiwalu (25–27 XI) 50-lecia ECM.



Maciej Obara Quartet
„Three Crowns"
ECM Records/Universal Music

eprasa.pl 3ca8d795e7

Październikowe rocznice

W październiku 1939 r. na mapie konspiracyjnej Polski zaczęły powstawać – jak grzyby po deszczu – kolejne struktury podziemne, tworzącego się oddolnie Polskiego Państwa Podziemnego. Wśród nich do konspiracji przeszło środowisko ONR-ABC, zakładając wojskową organizację Związek Jaszczurczy na czele z Władysławem Jaxą-Marcinkowskim i rozpoczynając wydawanie, początkowo pod redakcją Mieczysława Harusewicza, pisma „Szaniec", od którego tytułu środowisko przeszło do historii pod nazwą Grupa „Szańca". To początek wielkiej historii części obozu narodowego, o czym przypomina w swoim tekście Jerzy Dąbrowski w rozmowie z córką „Mazura". Tadeusz Siemiątkowski należał do niezwykłego pokolenia wychowanego w wolnej Polsce. Kolejnym takim pokoleniem są młodzi Polacy urodzeni po upadku komunizmu. Oby chcieli podążać ich śladem.

W październiku pamiętamy także o Słudze Bożym Kardynale Stefanie Wyszyńskim, który zapewne już niedługo (w maju 2020 r.) zostanie wyniesiony na ołtarze jako błogosławiony Kościoła katolickiego w Polsce. Jego wstawiennictwo na pewno pomoże nam, wiernym i duchowieństwu, udźwignąć ciężary współczesnego świata. W październiku 1953 r. więziony prymas trafił do Stoczka, w kolejnym październiku 1954 r. do Prudnika, a tego samego miesiąca w 1955 r. do Komańczy, by ostatecznie także w październiku 1956 r. triumfalnie powrócić do Warszawy. Owoce Wielkiej Nowenny, którą Prymas Tysiąclecia rozpoczął w 1957 r., niech nadal będą w nas i obok nas widoczne!

19 października 1984 r. trzech morderców z przestępczej organizacji znanej pod nazwą Służba Bezpieczeństwa porwało i uprzednio torturując swoją ofiarę, zabiło ks. Jerzego Popiełuszkę. Żyjących wówczas w codzienności i szarości PRL Polakom wydawało się, że czas męczenników skończył się wraz z zakończeniem II wojny światowej. Śmierć ks. Jerzego otworzyła wielu umysły i serca na rzeczywistość kolejnych dekad Polski Ludowej, naznaczonych śmiercią żołnierzy niezłomnych, robotników Wybrzeża czy księży. Naród odzyskiwał pamięć, a przede wszystkim stawał powoli w prawdzie, czyli rozpoznawał charakter państwa pozostającego pod rządami komunistów. Ilu z Polaków, odurzonych antypolską edukacją i propagandą peerelowskich dekad, zostało w październiku–listopadzie 1984 r. uratowanych i odzyskanych dla polskości dzięki tej ofierze życia? Pewnie nigdy się tego nie dowiemy.

Jan Żaryn



Autopromocja

wSIECI HISTORII Nowe wydanie w kioskach!



www.wSieciHistorii.pl

DOŁĄCZ DO NAS NA FACEBOOKU. WWW.FACEBOOK.COM/wSIECIHISTORII

eprasa.pl/3ca8d795e7

TAJEMNICE KL WARSCHAU

W WARSZAWSKIEJ DZIELNICY WOLA, PRZY SKRZYŻOWANIU ULIC ANIELEWICZA Z OKOPOWĄ, NAPRZECIWKO KIRKUTU, ŻYDOWSKIEGO CMENTARZA, W 2018 r. POSTAWIONO NOWY POMNIK – TRZY BETONOWE BRYŁY Z TYM SAMYM NnapisEM PO POLSKU, HEBRAJSKU I ANGIELSKU, ZWIEŃCZONYM SYMBOLEM POLSKI WALCZĄCEJ, GWIAZDĄ DAWIDA ORAZ HARCERSKĄ LILIJKĄ



BOGUSŁAW KOPKA

Pomnik upamiętnia zdobycie przez żołnierzy harcerskiego Batalionu „Zośka” Zgrupowania „Radosław” Armii Krajowej, niemieckiego obozu koncentracyjnego Gęsiówka i uwolnienie 348 więźniów Żydów, obywateli różnych krajów Europy, z których wielu walczyło i poległo w powstaniu warszawskim. Zwycięskim atakiem na Gęsiówkę dowodził płk Ryszard Białous „Jerzy”.

Jednak powstał

To wszystko, co pozostało po KL Warschau – niemieckim obozie koncentracyjnym w stolicy Polski. Obóz zajmował rozległy obszar w centrum miasta, który potocznie określano mianem Gęsiówki. Nazwa pochodziła od najstarszej części obozu znajdującego się w dawnych koszarach wojskowych położonych przy ul. Gęsiej w Warszawie, przemianowanej po wojnie na ul. Mordechaja Anielewicza, jednego z przywódców powstania żydowskiego w getcie warszawskim w 1943 r. Getto utworzyli Niemcy w 1940 r., skupiając w nieludzkich warunkach 400 tys. Żydów z Warszawy i jej okolic. Leżąca w sercu getta Gęsiówka została zaadaptowana na więzienie. Była również ostatnią siedzibą warszawskiego Judenratu, Rady Żydowskiej, poprzez którą Niemcy zarządzali gettem.

Ludobójstwo Żydów w Europie pod okupacją III Rzeszy rozpoczęli Niemcy w 1942 r. na ziemiach polskich. Z warszawskiego getta wywieziono do obozu zagłady w Treblince większość mieszkańców. Dopiero w styczniu 1943 r. zaczęły się pierwsze niepokoje wśród pozostałej przy życiu ludności żydowskiej. Reichsführer SS Heinrich Himmler zauważył, że przydałby się tutaj Konzentrationslager – obóz koncentracyjny. Przygotowania do jego założenia przerwało rozpaczliwe żydowskie powstanie. Ostatnie zdanie raportu generała SS Jürgena Stroopa, dokumentującego dzieło zagłady getta, mówi o potrzebie założenia w Warszawie takiego obozu. 11 czerwca, po stłumieniu powstania, Himmler wydał rozkaz o założeniu obozu na terenie byłego już getta, po którym pozostało w sercu Warszawy morze ruin.

W lipcu do Gęsiówki przybyło 300 niemieckich kapo – nadzorców, więźniów-kryminalistów z obozu w Buchenwaldzie. 15 sierpnia przyjechał pierwszy transport Żydów, z obozu Auschwitz-Birkenau. Mężczyźni po „selekcji" zostali przeznaczeni do pracy. Mieli odgruzowywać budynki na terenie getta. Nie było narzędzi. Wszystko musieli robić gołymi rękami. Nie było lekarzy, nie było łaźni. Więźniami tymi opiekował się – na ile mógł – polski lekarz, więzień polityczny z położonego obok więzienia na Pawiaku, dr Felicjan Loth.

KL Warschau, bo taką nazwę otrzymał ten obóz koncentracyjny, znajdował się w centrum wielkiego miasta, stolicy kraju, lecz był odizolowany od świata zewnętrznego wysokim murem. Niemcy sprowadzili tu głównie więźniów żydowskich z zagranicy – Grecji i Węgier. Obóz zaprojektowali ci sami niemieccy inżynierowie, którzy wznieśli obóz oświęcimski. Głównym inżynierem był Hans Kammler, ten sam, który zbudował w Oświęcimiu komory gazowe i krematoria. Natomiast nie potwierdziła się teza nieżyjącej już sędzi Marii Trzcińskiej o istnieniu komór gazowych przy Dworcu Zachodnim. W 2017 r. wykluczyła taką możliwość ekspertyza wybitnego varsavianisty Zygmunta Walkowskiego. Na podstawie analizowanych przez niego materiałów – zdjęć lotniczych Luftwaffe wykonanych podczas II wojny światowej, a znajdujących się w Stanach Zjednoczonych – stwierdził jednoznacznie, że obóz koncentracyjny w okupowanej stolicy Polski był położony wyłącznie na terenie Gęsiówki. Jego ustalenia zgodne były z wnioskami końcowymi zawartymi w książce wydanej dziesięć lat wcześniej przez Instytut Pamięci Narodowej „Konzentrationslager Warschau. Historia i następstwa".



Siedziba Rady Żydowskiej, budynek stał przy ulicy Zamenhofa 19, na rogu z ulicą Gęsią, 1943 r.

FOT. ANDRZEJ WIKTOR

Zbrodnie nie giną

Odkrycie przez Niemców w 1943 r. w Katyniu pod Smoleńskiem tysięcy zwłok polskich oficerów, których Sowieci metodycznie wymordowali trzy lata wcześniej, pokazało, że ślady zbrodni trzeba zacierać. W działających nadal niemieckich obozach zaczęto więc wykopywać zwłoki pomordowanych i palić je. Tego rodzaju powtórne „pochówki" stanowiły specjalność niemieckiego Sonderkommando 1005, którego celem było usuwanie dowodów ludobójstwa na wschodzie. Akcją kierował pułkownik SS Paul Blobel, który odpowiadał za wymordowanie we wrześniu 1941 r. w Babim Jarze pod Kijowem 34 tys. Żydów.

W tym samym czasie, w ciągu kilku miesięcy na przełomie 1943 i 1944 r., Niemcy zamordowali w Warszawie w masowych egzekucjach ulicznych ok. 10 tys. Polaków, chcąc sterroryzować mieszkańców stolicy. Należało jednak na wszelki wypadek ukryć dowody zbrodni. Ponadto okupanci panicznie bali się wybuchu epidemii, którą mógł spowodować rozkład zwłok. Ciała rozstrzelanych ludzi zbierano więc z ulic i przewożono na teren Gęsiówki. Zajmowali się tym więźniowie obozu. Wykorzystano w tym celu złożone z żydowskich więźniów „komanda śmierci". Na samej Gęsiówce zabijano także Polaków z pobliskiego więzienia na Pawiaku. W protokołach przesłuchań świadków, zeznających po wojnie przed polskimi prokuratorami, znajdują się również świadectwa, które mówią o działaniu w KL Warschau przybyłego z Łodzi samochodu-komory gazowej, przypominającego samochody działające w niemieckim obozie zagłady w Chełmnie nad Nerem (Kulmhof am Nehr), we wcielonej do Rzeszy Wielkopolsce. To właśnie w Chełmnie Blobel po raz pierwszy przeprowadził masowe spalanie ludzkich zwłok na specjalnych rusztowaniach.

W KL Warschau zwożone z całego miasta ciała polskich ofiar mielono na miazgę, po czym palono je we wzniesionym na terenie obozu krematorium. Znajdowało się ono w miejscu, w którym stoi dzisiaj blok mieszkalny przy ul. Karmelickiej 17a, w śródmiejskiej dzielnicy Muranów. Po procesie spalania pozostawały jednak tony ludzkich prochów i niedopalonych zwłok. Część z nich zsypywano do studzienek na pierwszym dziedzińcu obozowym – spoczęły tam na zawsze. Dokumentujące pierwsze ekshumacje i inhumacje na terenie po byłym kacecie fotografie wykonane w maju 1945 r. można zobaczyć w albumie „Warszawa 1945" Leonarda Sempolińskiego oraz w aneksie do publikacji IPN o KL Warschau z 2007 r.

Powojenne losy

Po wojnie Polska znalazła się pod nową, sowiecką okupacją. Na terenie »

eprasa.pl 3ca8d795e7



Grupa więźniów z obozu Gęsiówka wyzwolonych przez powstańców z Batalionu „Zośka". Warszawa, 5 sierpnia 1944 r.

FOT. MPW

» KL Warschau w czasach stalinowskich urządzono komunistyczny obóz pracy. Więźniowie byli zatrudnieni m.in. przy produkcji i wyrobie materiałów budowlanych wykorzystywanych przy odbudowie stolicy, w tym płyt pokrywających pl. Defilad przed Pałacem Kultury i Nauki im. Józefa Stalina. Po 1956 r. budynki stały już puste, w części wypalone. Kiedy po raz pierwszy w historii, w 1959 r., odwiedził Polskę wiceprezydent USA, którym był wówczas Richard Nixon, złożył kwiaty pod pomnikiem Bohaterów Getta stojącym na placu o tej samej nazwie, niedaleko miejsca, gdzie dymił w czasie wojny komin niemieckiego krematorium. Następnie, ku zaskoczeniu wszystkich, odwrócił się i podszedł w stronę budynku na Gęsiówce, przeszedł przez mur i złożył tam wieniec. Dokumentują to zdjęcia z czasopisma „Life". Pamięć o niemieckich zbrodniach była jeszcze żywa. Prawdopodobnie był to ostatni zagraniczny polityk, który upamiętnił istnienie w tym miejscu KL Warschau.

Na miejscu obozu miał powstać park służący rekreacji „narodu panów" po wymordowaniu milionów „podludzi" – Żydów i Polaków. Był to mało oryginalny pomysł Himmlera. W Moskwie już wcześniej Stalin wysadził w powietrze sobór Chrystusa Zbawiciela, żeby postawić na jego miejsce Pałac Rad. Nigdy go nie zbudowano, po wojnie zaś w gigantycznym wykopie pod fundamenty urządzono odkryty basen dla mieszkańców stolicy. Niedaleko, po drugiej stronie rzeki Moskwy, przerobiono na cmentarzu Dońskim cerkiew św. Serafina na krematorium, w którym palono zwłoki tysięcy ofiar komunistycznej władzy. Prochy zsypywano do wielkich dołów, w których urządzono śmietniki. Z kolei polscy komuniści postawili w tym samym celu publiczny szalet na cmentarzu Bródnowskim w Warszawie w celu ukrycia ciał pomordowanych polskich patriotów.

W czerwcu 1963 r. Frank Scherb, uczestnik międzynarodowego sympozjum Komitetu ds. Badań Przestrzeni Kosmicznej, które wtedy odbywało się w stolicy Polski, w wolnym czasie wybrał się na Muranów. Zafascynowały go typowe dla ówczesnej Warszawy kontrasty pomiędzy ruinami miasta a miastem podnoszącym się z gruzów i rodzącym się na nowo. Podczas swoich wędrówek wykonał kilka kolorowych fotografii monumentalnego gmachu koszar wojskowych i terenu wokół niego. Widać na nich, jak bloki wyrastają wokół ostatnich ruin getta. Jedno ze zdjęć przedstawia elewację koszar od strony ul. Zamenhofa. Widać tam tzw. tablicę Tchorka upamiętniającą ofiary getta i Gęsiówki.

Budowa na cmentarzu

Na warszawskiej Gęsiówce, mimo sprzeciwu znanych polskich architektów, w połowie lat 60. rozebrano wszystkie budynki obozowe, w tym najstarszą ich część – budynek koszar wojskowych. Następnie posiano trawę i założono park miejski, w którym załatwiały się psy i latem opalali mieszkańcy. Obszerny zieleniec nazwali mieszkańcy Muranowa „psiskiem". Gruz z rozbiórki koszar użyty został później do wypełnienia istniejącej do dzisiaj górki (w latach 80. XX w. była jeszcze wyższa) widocznej obecnie przy Muzeum Polin od strony ul. Karmelickiej. W 2013 r. zakończono tu budowę Muzeum Historii Żydów Polskich Polin. Dokładnie w tym samym miejscu, w którym na obozowym dziedzińcu KL Warschau Niemcy zsypywali do kanalizacji prochy tysięcy pomordowanych przez nich warszawiaków. Ironią losu pozostaje, że makabryczny i trywialny pomysł Himmlera wcielili w życie po wojnie Polacy, Żydzi zaś przy pomocy polskich władz wybudowali w tym miejscu muzeum poświęcone pamięci swych przodków – na prochach polskich i żydowskich ofiar, które użyźniły ziemię pod jego fundamenty. Były plany, aby przed rozpoczęciem prac budowlanych teren ten przebadać szczegółowo. Prace miały być prowadzone pod okiem prokuratorów Instytutu Pamięci Narodowej. Niestety, zadziałał wtedy podobny mechanizm jak w Jedwabnem. Pojawił się zarzut: po co to robić? W końcu ograniczono się do pobieżnych badań wykonanych przez studentów archeologii Uniwersytetu Warszawskiego i wolontariuszy.

Dla niektórych historia KL Warschau to temat tabu, bo trzeba byłoby się przyznać, że w Warszawie było miejsce szczególne – niemiecki obóz koncentracyjny, w którym mordowano tak samo Żydów, jak i Polaków. Muzeum Polin nie opowiada o jego historii, bo ma opowiadać o pozytywnej przyszłości. W tradycji żydowskiej nie buduje się na cmentarzysku. Ofiary po raz kolejny zamordowano na ołtarzu politycznej poprawności. Bez identyfikacji miejsca nie da się następnym pokoleniom przekazać historii.

Warszawa ma swoje wojenne mauzoleum położone na centralnym placu miasta, Grób Nieznanego Żołnierza, na którym płonie wieczny płomień. Dziesięć tysięcy warszawiaków nie ma takiego grobu. Polacy, którzy stracili członków swych rodzin w masowych egzekucjach na ulicach miasta na przełomie 1943 i 1944 r., mogą jednak coś zrobić – zapalić symboliczne światło pod Muzeum Polin, na dawnej Gęsiówce. To tu Niemcy dokonali ostatecznego zbezczeszczenia ciał ich bliskich i przodków. Nie jest to ziemia przeklęta przez Boga, tylko zapomniana przez ludzi, choć leży w sercu miasta. I tylko w tym sercu tkwi cierń, który pali jak żywy ogień. ■



eprasa.pl 3ca8d795e7

EGZEKUTOR Z NSZ



PANIĄ KRYSTYNĘ PLUT SPOTKAŁEM NA FESTIWALU „NIEPOKORNI NIEZŁOMNI WYKLĘCI" W GDYNI, GDZIE BEZBŁĘDNĄ POLSZCZYZNĄ OPOWIEDZIAŁA MI WOJENNĄ HISTORIĘ SWOJEGO OJCA TADEUSZA SIEMIĄTKOWSKIEGO, PS. MAZUR, NIEŻYJĄCEGO JUŻ OFICERA NSZ I ZNANEGO DZIAŁACZA POLONIJNEGO



JERZY DĄBROWSKI

Do Polski przyjechała z córką, Jennifer Coyer ze Stanów Zjednoczonych. Dla każdego Amerykanina jego pochodzenie jest powodem do dumy. W wypadku pani Krystyny i jej córki to duma szczególna. Pan Siemiątkowski to bohater, którego wojenne losy nadają się na niejeden scenariusz sensacyjnego filmu.

Ojciec pani Krystyny od najmłodszych lat zafascynowany był ideą Obozu Wielkiej Polski. Jej przedstawiciele pragnęli oddziaływać na społeczeństwo w duchu idei narodowej, gdzie interes narodu wyniesiony był ponad wszystkie inne korzyści. Nawet własna rodzina musiała być na drugim miejscu. Światopogląd programu narodowo-radykalnego ścisłe związany był z religią katolicką, gdzie „Bóg jest najwyższym celem człowieka".

W wywiadzie opublikowanym na łamach polonijnej „Gazety" ukazującej się w Kanadzie pan Siemiątkowski tak mówił o swoim zafascynowaniu ideą Obozu Narodowego: „Mieliśmy własny pogląd na wydarzenia w historii Polski, odmienny od oficjalnie podawanego w podręcznikach szkolnych. Dziwiło nas niedołęstwo Sejmu Wielkiego u schyłku Rzeczpospolitej, deptanie w kółko wojska polskiego w powstaniu listopadowym czy też fakt bezmyślnego powstania styczniowego w najbardziej nieodpowiedniej chwili itp.".

Obóz Wielkiej Polski

Obóz Wielkiej Polski w ciągu kilku lat stał się największym politycznym ruchem w kraju, zagrażającym ówczesnym władzom sanacyjnym, które już od 1927 r. zaczęły jego stopniową pacyfikację. W latach 30. ub.w. zaczęły się procesy i prześladowania członków OWP. Kulminacją nagonki władz sanacyjnych było rozwiązanie Obozu Wielkiej Polski. 28 marca 1933 r. na mocy zarządzenia ministra spraw wewnętrznych zabroniono działalności tej organizacji z powodu „kolizji z Kodeksem karnym i nakazami władz państwowych przez stałe inspirowanie ekscesów i zaburzeń, podsycanie nienawiści partyjnej i rasowej, urządzanie demonstracji i zgromadzeń z wyraźnym zamiarem podburzania ludności przeciwko władzom państwowym".

Rozwiązanie OWP nie zniechęciło młodych ludzi, takich jak Tadeusz Siemiątkowski. Podczas studiów na Politechnice Warszawskiej ojciec pani Krystyny wstąpił do Organizacji Polskiej. Była to tajna struktura, która wypełniła lukę po OWP.

W latach 30. Organizacja Polska powołała jawną strukturę pod nazwą ONR, która była szczególnie popularna wśród studentów.

Gdy wybuchła wojna, Tadeusz Siemiątkowski był jednym z pierwszych, którzy już w październiku 1939 r. postanowili stworzyć organizacje wojskową: Związek Jaszczurczy zwany popularnie „Zet-jot". Siemiątkowski przyjął pseudonim Mazur.

Początki były trudne. Nie było broni. Wszyscy byli zdezorientowani. W ciągu pierwszych miesięcy wojny utworzono kilkaset organizacji wojskowych, których scalaniem zajęła się Służba Zwycięstwu Polski. Młodzi narodowcy mieli »

Fot. Jerzy Dąbrowski/ONS

eprasa.pl 3ca8d795e7



Fot. Jerzy Dąbrowski/ONS

Tadeusz i Teodozja Siemiątkowscy w dniu ślubu i 50 lat później

» ogromny żal do Dowództwa Polskich Sił Zbrojnych i marszałka Rydza Śmigłego za doprowadzenie do klęski wrześniowej i niechętnie zapatrywali się na podporządkowanie swojej organizacji piłsudczykom.

Na początku okupacji polskie organizacje podziemne działały głównie na terenie Generalnej Guberni, bo na zachodnich terenach włączonych do Rzeszy panował bezwzględny terror, a na wschodzie NKWD uporało się bardzo szybko z polskim podziemiem dzięki donosom mniejszości narodowych. Zaczęły się też wywózki najbardziej patriotycznie nastawionych Polaków.

Likwidować wrogów

Tadeusz Siemiątkowski przechodził granicę na Bugu w 1941 r. Kontaktował się z niedobitkami organizacji podziemnych we Lwowie, których członkowie byli zdziesiątkowani aresztowaniami i wywózkami na Syberię. Polacy w Związku Sowieckim nie byli w stanie stworzyć organizacji skutecznie przeciwstawiającej się sowieckiemu terrorowi.

W tym samym roku ojciec pani Krystyny stworzył w „Zetjocie" pierwszą komórkę likwidacyjną. Po latach mówił córce, że skłoniła go do tego wizyta u rodziny kolegi wydanego gestapo przez donosiciela. Poszedł do nich zanieść paczkę z jedzeniem. Kiedy zobaczył dzieci kolegi, rozpłakał się. „Jaką ja potem miałem mieć litość w stosunku do tych, co wpakowali mojego przyjaciela? Kropiło się i już".

Pierwszą „mokrą robotę" na agencie gestapo pan Tadeusz wykonał, pożyczając pistolet od komunisty. Ojciec zawsze powtarzał, że trzeba wykorzystać jednego wroga przeciw drugiemu.

W sumie grupa unieszkodliwiła kilkudziesięciu agentów gestapo.

Po pierwszej udanej akcji broń kupowano na czarnym rynku. Płacono za nią bajońskie sumy. Broni potrzeba było coraz więcej. Sądy podziemne wydawały wiele wyroków na agentów gestapo i szmalcowników. Uzbrojenie dostarczano też na wieś do organizacji partyzanckich.

Szkolono się w walkach wręcz. W Warszawie były czynne sale gimnastyczne, gdzie można było ćwiczyć tężyznę fizyczną. Pan Siemiątkowski i jego żołnierze byli częstymi gośćmi takich „siłowni". Kiedyś przed wojną zatrzymał się w Warszawie znany niemiecki mistrz dżudżitsu. Tadeusz zaprzyjaźnił się z nim i przez dwa miesiące niemiecki as sportu uczył go wschodnich stylów walki, które później z powodzeniem on i jego żołnierze wykorzystywali do walki z wrogiem.

Akcje sabotażowe

Pod osłoną nocy i mgły grupa Siemiątkowskiego włamywała się też do pociągów jadących na front wschodni. W porozumieniu z kolejarzami, którzy zatrzymywali składy pod semaforami, uczestnicy akcji Narodowych Sił Zbrojnych skakali na zaplombowane wagony i po ich otwarciu wyciągali z nich broń i mundury. Niestety, większość ładunku pociągów stanowiły bomby i pociski artyleryjskie, które dla partyzantów były bezużyteczne.

Tadeusz Siemiątkowski był przeciwny niszczeniu niemieckich pociągów jadących na wojnę z Rosją Sowiecką. Mówił: „Jak jest artyleria, to należy ją pogłaskać, niech jedzie, krzyżyk na drogę i niech ukatrupi tych Sowietów".

Dzięki znajomościom z krawcem szyjącym mundury dla gestapo i SS ludzie Siemiątkowskiego mogli w biały dzień „gwizdnąć" Niemcom samochód na ruchliwej ulicy. Odbierali też niemieckie przesyłki na zlecenie podrobione przez biuro fałszerstw NSZ.

Ostatnią akcję dowodzoną przez Tadeusza Siemiątkowskiego tuż przed wybuchem powstania warszawskiego, która odbyła się we wsi Nadma, opisał Jerzy Nachtman w „Szańcu Chrobrego": „Przed akcją przecięliśmy połączenie telefoniczne. Podszedłem do wartownika i wyciągnąłem odbezpieczony pistolet. Zawołałem do Niemca »Hände hoch!«. Niemiec nie stawiał oporu, podniósł ręce do góry, poszedł przodem, a my za nim, do pomieszczenia gdzie pozostali żołnierze jedli kolację. Oni też posłusznie podnieśli ręce do góry. »Krakowiak« po niemiecku kazał im się położyć, a potem kolejno rozbierać z mundurów. Uwolnieni więźniowie zaśpiewali »Jeszcze Polska nie zginęła«, a Niemcy stali w gaciach na baczność, słuchając naszego hymnu. »Krakowiak« powiedział Niemcom o nieuchronnym końcu wojny i zbliżającej się klęsce okupanta. Wyzwolonych Polaków wypuszczaliśmy pojedynczo z budynku szkoły. Zabraliśmy Niemcom telefon i ostrzegliśmy, ze jeśli wyjdą do rana na zewnątrz, zostaną zastrzeleni".

Powstanie warszawskie

Bojownicy Narodowych Sił Zbrojnych byli całkowicie zaskoczeni wybuchem walk w Warszawie. Przyłączyli się jednak gremialnie do powstania pomimo sceptycznego stanowiska NSZ do planów jego wywołania.

O godzinie „W" żołnierze z oddziału „Mazura", przebrani w mundury SS gnali na punkt zborny niemieckimi samochodami. Na pl. Teatralnym wdali się w strzelaninę z Niemcami. Aby uciec, skręcili w jedną z ulic, na której stała już barykada ustawiona przez żołnierzy AK. Któryś z powstańców skoczył z pistoletem na pierwszą ciężarówkę. Gdyby nie refleks kierowcy, który krzyknął do napastnika: „Co robisz, wariacie?", mogłoby dojść do nieszczęścia.

eprasa.pl 3ca8d795e7

W pierwszych dniach powstania oddział Siemiątkowskiego zajął na miejsce postoju kompanii Dom Kolejowy położony pomiędzy ulicami Chłodną i Żelazną.

Dzięki staraniom por. „Mazura" scalono drobne oddziały NSZ w jednostkę bojową składającą się głównie z warszawiaków. Była to najliczniejsza grupa żołnierzy, której batalion nazwano „Warszawianką". Weszła ona w skład Zgrupowania Chrobry II.

Przez 63 dni ponad cztery tysiące żołnierzy NSZ wraz z akowcami stawiało zbrojny opór okupantowi.

Codziennie padali zabici – ci, którzy przeżyli, mogli mówić o prawdziwym szczęściu. Walki z Niemcami koncentrowały się głównie w okolicach Alei Jerozolimskich.

2 sierpnia rozkaz opanowania Alei Jerozolimskich dostał rtm. Witold Pilecki, który rok wcześniej uciekł z obozu w Auschwitz. Do 13 sierpnia wraz z kilkoma ludźmi utrzymywali oni redutę, do momentu kiedy zaczęło brakować amunicji i butelek z benzyną. Pilecki nie należał do NSZ, ale walczył wspólnie z żołnierzami „Warszawianki", którzy znali go i cenili za odwagę i poświęcenie. Jak pisze profesor Wiesław J. Wysocki w „komentarzu" do „Raportu Pileckiego", objął on dowodzenie 2 kompanii I batalionu NSZ-etowskiego zgrupowania Chrobry II.

Powstańcy codziennie spotykali się z nowymi dylematami, które trzeba było rozwiązać bez chwili namysłu. Któregoś dnia przed nacierającymi na nich czołgami Niemcy ustawili dużą grupę cywilów. Powstało pytanie: strzelać czy nie?

Walczyli również ze specjalnie ściągniętymi do Warszawy oddziałami „RON-owców" kata Kamińskiego i kryminalistami Otto Dirlewangera wykorzystywanymi przed wybuchem powstania do eliminowania partyzantki na Ukrainie i Białorusi.

W Warszawie liczono na konkretną pomoc z Zachodu, która nigdy nie przyszła. Po ponad dwóch miesiącach heroicznej walki żołnierze „Warszawianki" szli do niewoli ze swoim trójkątnym proporcem. Po jednej stronie na biało-czerwonym tle był napis Warszawianka, a po drugiej – czaszka i skrzyżowane piszczele, symbol jednostki szturmowej.

W dniu kapitulacji, przed wyjazdem do obozu, kolega Siemiątkowskiego, plut. Zbigniew Sulczewski tak relacjonował swój ostatni pobyt w domu: „W mieszkaniu poza meblami i portretem naszej matki nie było nic. Niemcy wywieźli już wszystko. W łazience nie było nawet szczoteczek do zębów". Tadeusz Siemiątkowski z grupą więźniów trafił na Dolny Śląsk, a stamtąd do oflagu Murnau.

Nadal w walce

Tam 29 kwietnia 1945 r. wraz z ponad 5 tys. polskich oficerów został oswobodzony dzięki jednemu z oddziałów amerykańskiej 12 Dywizji Pancernej podporządkowanej 3 Armii gen. George'a Pattona. Dzięki szybkiej akcji amerykańskich żołnierzy polscy oficerowie zostali uratowani przed planowanym rozstrzelaniem ich przez dywizję pancerną SS pod wodzą generała mjr. Ernesta Otto Ficka.

Z oflagu Siemiątkowski dotarł do Brygady Świętokrzyskiej, stacjonującej w Bambergu, skąd jako emisariusz NSZ przedostał się „drogą Konrada" do Polski.

W lutym 1949 r. zagrożony aresztowaniem uciekł wraz z najbliższymi przyjaciółmi z „Warszawianki" kutrem na Bornholm. Dwa lata spędził w Szwecji, gdzie pracował w fabryce. Stamtąd wyemigrował do Kanady.

Po październikowej „odwilży" w 1956 r. przyjazd rodziny Siemiątkowskich do Kanady był możliwy w ramach łączenia rodzin. Rodzice byli w stanie przetrwać siedem długich lat rozstania dzięki wzajemnej miłości i zrozumieniu.

Pani Krystyna pamięta moment, kiedy „Batory", którym płynęli z mamą i bratem, dobił do nabrzeża portu w Montrealu. Mama pokazała jej pana z dużą piękną lalką. „To jest twój ojciec" – powiedziała. W Polsce pani Krystyna musiała mówić, że ojciec nie żyje. Dla niej był to obcy człowiek. Jednak bardzo szybko stał się autorytetem i przyjacielem, z którym znalazła wspólny język.

Oprócz normalnych zajęć w szkole kanadyjskiej uczęszczała w soboty do polskiej szkoły i harcerstwa. „Ojciec bardzo pilnował, żebyśmy uczyli się. Pamiętam nasze wspólne niedziele. Msze święte w katolickiej misji Świętego Wojciecha i długie rozmowy ojca z kolegami z okupacji o polskiej polityce. Ojciec żywo interesował się wszystkim, co działo się w Polsce. Bardzo przeżywał patriotyczne zrywy, jak Październik 1956 w Poznaniu, Grudzień 1970 w Gdańsku i wreszcie wybuch Solidarności w latach 1980–1981.

Kiedy mógł już jeździć do Polski, nawiązał kontakty z działaczami opozycji. Był też w kontakcie z naukowcami, którzy interesowali się Ruchem Narodowym, takimi jak: Leszek Żebrowski i prof. Jan Żaryn. To właśnie tytuł książki prof. Żaryna »Taniec na linie nad przepaścią« jest fragmentem listu mojego ojca do przyjaciela i towarzysza broni Stefana Poray-Marcinkowskiego, w którym ukazywał trudności, jakich doświadczyli narodowcy, walcząc z dwoma odwiecznymi wrogami i rodzimymi sprzedawczykami. W 50. rocznicę powstania warszawskiego pojechaliśmy z całą naszą rodziną do Polski. Ojciec chciał, żebyśmy wszyscy zobaczyli naszą Ojczyznę i uczestniczyli w uroczystości wmurowania tablicy upamiętniającej walki jego oddziału w Warszawie. W miarę jak dorastałam coraz bardziej interesowałam się wojennymi przeżyciami mojego ojca. Na początku znałam tylko historię jego ucieczki z Polski. Nie chciał opowiadać, co robił w czasie wojny. Dopiero po jakimś czasie otworzył się. Wyroki, które wykonywał, były czymś okropnym, ale robił to w imieniu swojego kraju w czasie wojny".



Fot. Jerzy Dąbrowski/ONS

Krystyna Siemiątkowska Plut, Jennifer Coyer

Polska wolna

„Mazur" wyjeżdżał do Kanady w poczuciu klęski i przeświadczenia, że Polska i cała „Europa Wschodnia" na długie lata wpadły w kolejną niewolę. Wierzył jednak, że ustrój komunistyczny w Polsce nie będzie trwać wiecznie.

Był bardzo szczęśliwy, że doczekał się wolnej Polski. Umarł w 1998 r. Został pochowany tak jak sobie życzył – w rodzinnym grobie na Powązkach. Chciał wrócić na wieki do ukochanej ojczyzny. „Razem z moją córką, która ukończyła literaturę angielską na Uniwersytecie Cornell, piszemy książkę o moim ojcu i wojnie w Polsce. Myślę, że dzięki temu, że wyrosłam w polskiej rodzinie, przebywałam w polskim środowisku i jednocześnie znam mentalność amerykańską, będę mogła podołać temu zadaniu".

eprasa.pl 3ca8d795e7

PODZIEMNA ORGANIZACJA O KRYPTONIMACH: STUDNIA, KOPALNIA, ZACHÓD

MYŚL O UTWORZENIU OGÓLNOPOLSKIEJ STRUKTURY POWSTAŁA W 1940 r., A WZOREM DLA NIEJ BYŁY PRZEDWOJENNE: POLSKI ZWIĄZEK ZACHODNI, ŚWIATOWY ZWIĄZEK POLAKÓW Z ZAGRANICY ORAZ INSTYTUT BADAŃ SPRAW NARODOWOŚCIOWYCH



PIOTR EDWARD GOŁĘBSKI



Ks. płk Tadeusz Jachimowski „Budwicz”

Abp Adam S. Sapieha

W marcu 1942 r. z pomysłu wyrosła organizacja Zachód, w której skupiono kierunki działania ww. organizacji. Uprawnienia do jej utworzenia przywiózł z Londynu nadzwyczajny emisariusz ps. Karol, który je przekazał Stefanowi Szwedowskiemu, byłemu dyrektorowi Związku Obrony Kresów Zachodnich.

Tajne obrady mające na celu powstanie nowego, podziemnego ugrupowania były prowadzone z Leopoldem Rutkowskim „Trojanowskim”, dyrektorem Departamentu Spraw Wewnętrznych Delegatury Rządu na Kraj, a kolejne z udziałem pierwszego Delegata Rządu na Kraj – Cyryla Ratajskiego. Powołano Polski Związek Zachodni w Konspiracji o kryptonimach: Studnia, Kopalnia, Zachód. Zdecydowano o niezależności organizacyjnej Zachodu od Delegatury Rządu, natomiast Komenda Główna Armii Krajowej rozpoczęła współpracę z Zachodem, którego działacze najczęściej byli jednocześnie żołnierzami AK. Stefan Szwedowski, kierujący Zachodem, nawiązał ścisłą współpracę z gen. Tadeuszem Pełczyńskim „Grzegorzem”, szefem sztabu Komendy Głównej AK i płk. Antonim Sanojcą ps. Kortum, szefem oddziału organizacyjnego Komendy Głównej AK.

Celem działania organizacji było niesienie pomocy Polakom wywiezionym do Niemiec, gdzie wykonywali przymusową pracę dla Rzeszy.

Duszpasterska konspiracja

Z czasem powstał problem pomocy duchowej dla rodaków zagubionych i szykanowanych oraz maksymalnie wykorzystywanych podczas niewolniczej pracy. Sprawę tę podjęli katoliccy działacze, wśród których prymat wiedli ludzie związani z ss. franciszkankami z Zakładu dla Niewidomych w Laskach. Powstała tam komórka organizacyjna kryptonim Kaplica, którą kierował Antoni Marylski „Ostoja”, a łączniczką była Zofia Morawska „Zula”. W sierpniu 1942 r. nawiązali oni kontakt z ks. metropolitą abp. Adamem S. Sapiehą, aby uzyskać pomoc w mobilizowaniu duchownych do konspiracyjnej pracy duszpasterskiej wśród polskich ośrodków pracy przymusowej. Ks. metropolita natychmiast poparł tę ideę, albowiem jego rozmowy – o oficjalnej pomocy duszpasterskiej dla polskich robotników – z generalnym gubernatorem Hansem Frankiem nie przyniosły rezultatu, pomimo poparcia sprawy przez kardynała wrocławskiego Adolfa Bertrama.

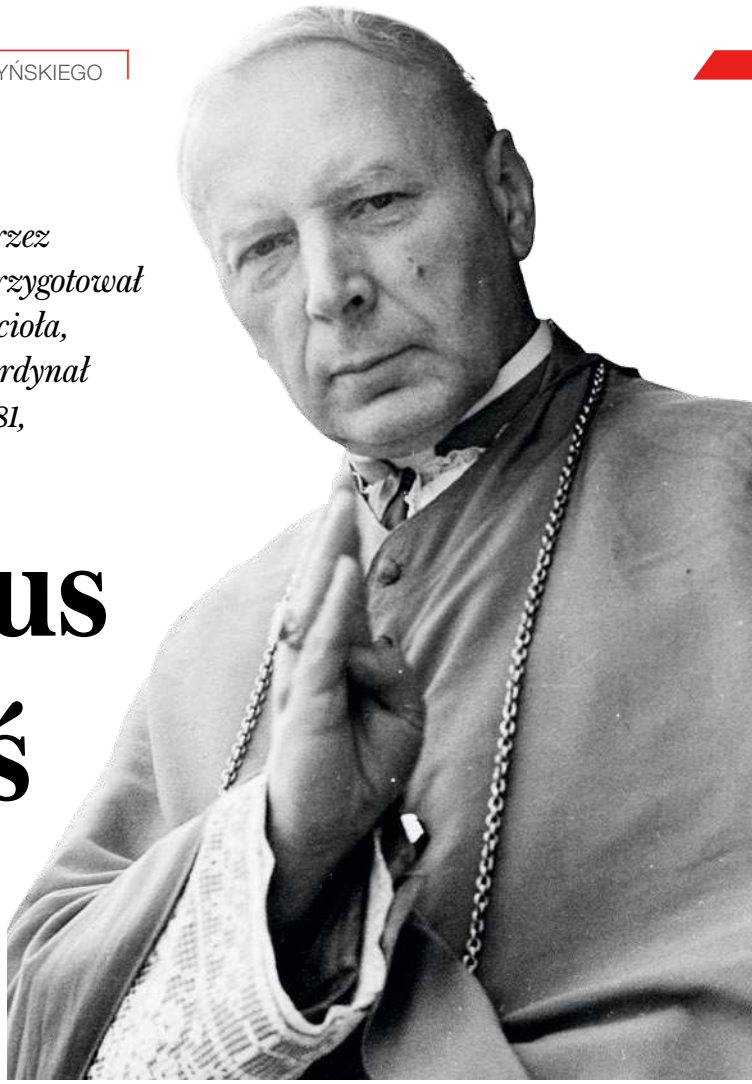
Organizacyjne przygotowania do wyjazdu księży i zakonników do Niemiec prowadzili m.in. ks. Ignacy Posadzy – z ramienia episkopatu i kurii polowej AK, ks. prałat Ferdynand Machay – przełożony Towarzystwa Chrystusowego dla Polonii Zagranicznej, oraz ks. płk Tadeusz Jachimowski „Budwicz” – generalny kapelan Armii Krajowej. Miejscem przygotowania dla wyjeżdżających był dom Panien Kanoniczek przy pl. Teatralnym w Warszawie. Ochotnicy, zgłaszając dla pozoru dobrowolny wyjazd do pracy robotniczej, rozpoczynali tajną misję, pełną trudu i niebezpieczeństwa. Wyjeżdżali pojedynczo i z różnych miejscowości. Tu okazała się wielce potrzebna pomoc wywiadu AK, mającego swoich ludzi w Niemczech. Najwięcej wyjazdów odbyło się od jesieni 1943 r., a wśród księży, którzy stali się przecież misjonarzami – konspiratorami był ks. Jan Zieja – kapelan Szarych Szeregów. Z kolei ks. prof. Stefan Wyszyński, będąc w tych latach w Laskach, całym sercem i modlitwą wspierał ten spontaniczny czyn duszpasterski pośród robotniczej zbiorowości polskiej na terenie Niemiec. Mówił wówczas: „Jedyna siła zdolna zwyciężyć nienawiść to miłość chrześcijańska”.

Według raportu Stefana Szwedowskiego z kraju wysłano 36 osób – pełnomocników Zachodu – do 30 ośrodków, m.in. Hanoweru, Lubeki, Kreus, Olsztyna, Braniewa, Fromborka oraz miejscowości Sagan (Żagań), Warburg. W ciągu pracy na terenie Niemiec zwerbowano osiem osób, a zrezygnowały z działalności cztery osoby. Aresztowano 12 osób i zaginęły trzy. Po powstaniu warszawskim łączność konspiracyjna została nawiązana z 23 pełnomocnikami.

W latach 1939–1945 do Niemiec wywieziono na roboty przymusowe ok. 2 mln Polaków.

FOT. NAC; ZE ZBIORÓW MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

eprasa.pl 3ca8d795e7



Wielki mąż stanu, który przeprowadził Polaków przez czerwony potop totalitaryzmu komunistycznego i przygotował do nowego życia w wolności. Nieugięty obrońca Kościoła, ale przede wszystkim ojciec narodu. Już wkrótce kardynał Stefan Wyszyński, prymas Polski w latach 1948–1981, zostanie wyniesiony na ołtarze

Non possumus wczoraj i dziś



LIDIA DUDKIEWICZ

Obok świętego Jana Pawła II za najważniejszą postać polskiego Kościoła XX w. został uznany prymas Polski kardynał Stefan Wyszyński. Jego proces beatyfikacyjny jest już na finiszu. Wkrótce zostanie wyniesiony do chwały ołtarzy. 11 września 2019 r. najwyższy hołd Prymasowi Tysiąclecia złożył Sejm RP. Posłowie jednogłośnie przyjęli uchwałę w sprawie upamiętnienia 65. rocznicy jego uwięzienia w Prudniku Śląskim, gdzie przebywał od 6 października 1954 r. do 27 października 1955 r. W treści sejmowej uchwały podkreślono, że kardynał Wyszyński był oparciem moralnym dla milionów rodaków w kraju i poza granicami, a jego słowa „Non possumus" do dziś są „drogowskazem w walce o własne przekonania i wartości".

SPRAWY BOSKIE I PAŃSTWOWE

Słynne wyrażenie: „Non possumus", sprzeciwiające się podporządkowaniu Kościoła władzy państwowej, było zawarte w memoriale z 8 maja 1953 r. skierowanym przez kardynała Wyszyńskiego do komunistycznych władz w imieniu polskich biskupów. Stanowiło reakcję na dekret z 9 lutego 1953 r. „O obsadzaniu duchownych stanowisk kościelnych", będący jawną ingerencją w wewnętrzne sprawy Kościoła. Na jego mocy to nie Kościół, ale rząd miał decydować o nominacjach i zwalnianiu wszystkich duchownych. Księża i biskupi musieliby więc podlegać nie władzom kościelnym, lecz władzom partyjnym. W dodatku komuniści nie liczyli się z porozumieniem zawartym między państwem a Kościołem w 1950 r. Wyrazem wrogiej polityki państwa było usuwanie ze szkół nieposłusznych władzom księży katechetów, co zmierzało do wyrzucenia lekcji religii ze szkół. Komuniści likwidowali katolickie pisma i kościelne wydawnictwa, zamykali szpitale i inne kościelne placówki, podnosili podatki, posługiwali się szantażem. Memoriał „Non possumus" powstał więc w sytuacji, gdy „państwo zaczęło sięgać po to, co Boskie". W dokumencie tym jasno zapisano: „Gdy cezar siada na ołtarzu, to mówimy krótko: »nie wolno«. Rzeczy Bożych na ołtarzach cezara składać nam nie wolno. Non possumus".

Kardynał Wyszyński potwierdził swój protest wobec władz podczas procesji Bożego Ciała 4 czerwca 1953 r. na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie. Mówił wtedy do 200-tysięcznej rzeszy wiernych, że „Kościół będzie bronić wolności kapłaństwa nawet za cenę krwi".

GOTOWY NA UWIĘZIENIE

Komunistyczne władze właśnie przystępowały do ostatecznego rozprawienia się z Kościołem. Rozważały internowanie

Fot. NAC

eprasa.pl 3ca8d795e7

prymasa i odsunięcie go od pełnienia funkcji kościelnych. Potrzebna była tylko zgoda Moskwy. Realizację tego planu najpierw odroczyła nominacja kardynalska prymasa, a potem śmierć Józefa Stalina i związane z tym walki polityczne na Kremlu. Tymczasem nasiliły się represje wobec Kościoła. Aresztowano wielu księży. Biskup Czesław Kaczmarek został oskarżony o „szpiegostwo na rzecz Stanów Zjednoczonych oraz Watykanu" i po pokazowym śledztwie skazany na 12 lat więzienia jako wróg Polski Ludowej. Od prymasa oczekiwano publicznego potępienia działalności biskupa Kaczmarka. Stanowcza odmowa kardynała Wyszyńskiego była bezpośrednim powodem do podjęcia przez władze decyzji o jego aresztowaniu. Zgodę na uwięzienie prymasa Polski wyrazili przedstawiciele najwyższych władz państwowych: prezydent Bolesław Bierut i Franciszek Mazur, przebywający wtedy w ZSRR, wraz z politykami radzieckimi oraz premier Józef Cyrankiewicz, Edward Ochab i marszałek Konstanty Rokossowski.

Kardynał Wyszyński spodziewał się aresztowania i był gotowy ponieść ofiarę dla Kościoła. Oto jego słowa: „Trzeba być razem z narodem, który tyle doświadczeń dziś znosi. Wolę więzienie niż przywileje, gdyż będąc w więzieniu, będę po stronie tych najbardziej umęczonych". Krótko przed aresztowaniem wyznał: „Gdyby ci mówili, że twój ojciec zdradził sprawę Bożą, nie wierz! Gdyby ci mówili, że twój ojciec ma nieczyste ręce, nie wierz! Gdyby ci mówili, że twój ojciec działa przeciwko narodowi we własnej ojczyźnie, nie wierz! Gdyby ci mówili, że twój ojciec stchórzył, nie wierz! Twój ojciec nigdy nie zdradził i nie zdradzi sprawy Kościoła, choćby miał za to zapłacić życiem i własną krwią".

Prymas miał świadomość, że zbierają się nad nim czarne chmury. W dniu swojego aresztowania prosił warszawskich kapłanów w zakrystii kościoła św. Anny, aby za niego odmawiali różaniec. 25 września 1953 r., w późnych godzinach wieczornych, do Pałacu Arcybiskupów Warszawskich przy ul. Miodowej wtargnęli uzbrojeni funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa, aby aresztować prymasa na podstawie uchwały Prezydium Rządu PRL. Prymas miał być natychmiast usunięty ze stolicy z zakazem wykonywania jakichkolwiek czynności związanych z zajmowanymi dotąd stanowiskami. W obecności osobistego sekretarza biskupa Antoniego Baraniaka złożył protest, w którym zaistniałą sytuację uznał za bezprawny gwałt. Wziął ze swojego biurka tylko brewiarz i różaniec. Nie bez znaczenia jest to, że założył wtedy porządne buty, wcześniej przygotowane na okoliczność spodziewanego aresztowania. Podano mu kapelusz i palto, które wcześniej należało do biskupa Michała Kozala, męczennika Auschwitz. Przed wyprowadzeniem przez „panów w ceratach" nawiedził kaplicę. Było już po północy, gdy został ulokowany w samochodzie z zamazanymi błotem szybami i w eskorcie kilku pojazdów wywieziony z Warszawy.

Do rana trwała rewizja w prymasowskim domu. W nocy bezpieka aresztowała też biskupa Baraniaka. W warszawskim więzieniu na Mokotowie był on okrutnie torturowany przez funkcjonariuszy UB – bity, przypalany papierosami, upokarzany. W ciągu ponad dwóch lat przeszedł w sumie 145 przesłuchań, w czasie których próbowano wymusić na nim zeznania obciążające prymasa. Nie dał się złamać, do końca dochował wierności Kościołowi.

OD RYWAŁDU KRÓLEWSKIEGO DO KOMAŃCZY

Klasztor kapucynów w Rywałdzie Królewskim był pierwszym miejscem uwięzienia prymasa Polski. Kardynała umieszczono w klasztornej celi odizolowanej od reszty budynku, nie pozwolono mu wyglądać przez okno. Pilnowany był w dzień i w nocy przez prawie 20 ludzi „w cywilu". Nie miał dostępu do kaplicy, więc sam urządził sobie kaplicę, a na ścianach celi wypisał ołówkiem stacje Drogi Krzyżowej. Od początku żył zgodnie z narzuconym sobie rozkładem dnia i od razu rozpoczął pisanie „Zapisków więziennych".

Po dwóch tygodniach został przewieziony w nocy do Stoczka Klasztornego, miejsca bardziej odosobnionego, położonego 30 km od wschodniej granicy. Tutaj prymasa strzegło 30 funkcjonariuszy SB. Przeznaczona dla więźnia cela nie miała ogrzewania, jej ściany w zimie pokrywały się lodem i szronem. W futrynie drzwi zewnętrznych wmontowane było urządzenie sygnalizujące każde wyjście do ogrodu. Więzień był podsłuchiwany. Korespondencję kontrolowano i cenzurowano, nawet wycinano z listów fragmenty tekstów. Ksiądz kardynał próbował nawiązać kontakt z rządem, ale jego pisma pozostawały bez odpowiedzi. Nie miał też dostępu do prasy. Swój los zawierzył więc Matce Najświętszej, oddając się Jej w niewolę miłości. Nastąpiło to 8 grudnia 1953 r. Ten osobisty akt oddania ze Stoczka miał swoją kontynuację i stał się źródłem późniejszych maryjnych dzieł i zawierzeń prymasa, rozszerzonych na cały naród w następnych miejscach odosobnienia, a także po wyjściu na wolność.

Do prymasa osadzonego w Stoczku przydzielono dwoje współwięźniów: ks. Stanisława Skorodeckiego i siostrę zakonną Marię Leonię Graczyk. 6 października 1954 r. zostali razem przewiezieni do klasztoru w Prudniku, który w pośpiechu musieli opuścić franciszkańscy zakonnicy, aby zrobić miejsce dla więźniów. Była to dobra kryjówka, bo najbliższe domy znajdowały się w odległości około kilometra, a do klasztoru można było się dostać tylko drogą przez las.

W „Zapiskach więziennych" prymas zanotował: „Wszystko, co nas otacza, albo chodzi skrycie pod parkanami, albo snuje się po korytarzach. Oglądamy jedynie skrawek nieba". Więźniowie byli podsłuchiwani i regularnie przesłuchiwani, a raporty o ich zachowaniu i rozmowach wysyłano do Warszawy. Był to już drugi rok odosobnienia prymasa i próbowano go rozmiękczyć. Nakłaniano na przykład, aby zrezygnował z pełnionej funkcji w zamian za lepsze warunki internowania. Prymas odmówił. Stan, w którym się znalazł, nazwał „cywilną śmiercią" w „zamaskowanym obozie koncentracyjnym, odgrodzonym wstydliwie od świata festonami drutów, kabli, zasieków kolczastych, murów, posterunków".

W czasie uwięzienia kardynała Wyszyńskiego w Prudniku zrodziła się idea Jasnogórskich Ślubów Narodu jako programu obrony ducha Polaków, dostosowanego do współczesnych czasów. Inspiracją była zbliżająca się 300. rocznica ślubów króla Jana Kazimierza, złożonych w 1656 r. w katedrze lwowskiej. W „Zapiskach więziennych" znalazła się

eprasa.pl 3ca8d795e7

następująca notatka: „Czytając »Potop« Sienkiewicza, uświadomiłem sobie właśnie w Prudniku, że trzeba pomyśleć o tej wielkiej dacie. Byłem przecież więziony tak blisko miejsca, gdzie król Jan Kazimierz i prymas Leszczyński radzili, jak ratować Polskę z odmętów".

Gdy 27 października 1955 r. kardynał Wyszyński był przewożony z Prudnika do Komańczy, ostatniego miejsca swojego uwięzienia, utwierdził się w przekonaniu, że musi doprowadzić do odnowienia królewskich ślubów, a właściwie do złożenia ślubów narodu polskiego. Uświadomił sobie, że właśnie jest przewożony niemal tym samym szlakiem w kierunku południowo-wschodnim, którym 300 lat wcześniej podążał Jan Kazimierz, udając się do Lwowa, aby złożyć Matce Bożej królewskie śluby.

16 maja 1956 r., w trzecim roku swojego uwięzienia, kardynał Wyszyński napisał tekst Jasnogórskich Ślubów Narodu Polskiego, w którym zawarł program odnowy ojczyzny. Zapis ślubów z listem do generała zakonu paulinów został dostarczony na Jasną Górę przez Janinę Michalską z Instytutu Prymasowskiego. W liście prymas prosił, aby 26 sierpnia 1956 r. tekst ślubów został odczytany z wałów jasnogórskich wobec zebranych pielgrzymów przez biskupa Michała Klepacza. W przypadku wystąpienia jakichś przeszkód ze strony władz komunistycznych prosił, aby tekst ślubów przeczytał generał paulinów czy przeor Jasnej Góry, a gdyby były kolejne trudności, sugerował, aby uczynił to „kuchcik jasnogórski, byleby tylko śluby były złożone".

JASNOGÓRSKIE ŚLUBY NARODU

Gdy nadszedł historyczny dzień ślubowania, cudowny obraz Matki Bożej wyjątkowo został wyniesiony z kaplicy na jasnogórskie wały i półtoramilionowa rzesza wiernych pod przewodnictwem biskupa Klepacza ślubowała Matce Bożej. Znakiem łączności z prymasem Polski był stojący przy ołtarzu pusty fotel z jego herbem, przyozdobiony biało-czerwonymi kwiatami. Prymas złożył śluby wcześniej, uprzedzając jasnogórskie ślubowanie. Zgodnie z sugestią paulinów na 10 minut przed sumą odprawianą w Częstochowie rozpoczął on w Komańczy mszę św., podczas której spożył hostię przekazaną z Jasnej Góry. Tekst ślubów prymas odczytał przed wielkim obrazem Matki Bożej Jasnogórskiej, a Maria Okońska, współzałożycielka Instytutu Prymasowskiego, w imieniu wiernych powtarzała: „Królowo Polski – przyrzekamy!". Szczęśliwy prymas Wyszyński powiedział na koniec: „Jesteśmy jakby symbolem ludu zebranego pod szczytem Jasnej Góry".

Jasnogórskie Śluby Narodu z 26 sierpnia 1956 r., stanowiące Magna Charta dla wszystkich Polaków w zwycięskiej pracy nad sobą, należą do przełomowych wydarzeń w Polsce zniewolonej przez system komunistyczny. Nawet sposób ich złożenia, przy rekordowej liczbie wiernych zwołanych na Jasną Górę mimo różnorodnych przeszkód i bez pomocy mediów, zakrawa na cud.

KU WOLNOŚCI

Można powiedzieć, że finał uwięzienia prymasa Polski przez komunistów był zwycięski. Idea ślubów narodu, zrodzona w Prudniku, dojrzała w Komańczy i została zrealizowana na Jasnej Górze. Po dwóch miesiącach od tego historycznego wydarzenia, 26 października 1956 r., po czerwcowych „wypadkach poznańskich" i październikowym przełomie politycznym, z polecenia nowego sekretarza KC PZPR Władysława Gomułki do uwięzionego kardynała Wyszyńskiego przybyli przedstawiciele władz państwowych. Uznano, że dla uspokojenia nastrojów społecznych konieczny jest powrót prymasa do Warszawy. Tym razem to on postawił władzy swoje warunki. Zażądał m.in.: zniesienia dekretu o kontroli władz państwowych podczas obsadzania stanowisk kościelnych, powrotu biskupów do swoich diecezji, uwolnienia biskupa Kaczmarka, wznowienia prac Komisji Mieszanej Rządu i Episkopatu, prawa do swobodnej katechizacji dzieci i młodzieży oraz przywrócenia prasy katolickiej. Obiecano, że warunki zostaną spełnione, i 28 października 1956 r. na usilne prośby przedstawicieli komunistycznej władzy prymas Polski podjął swoje urzędowanie w Warszawie.

Trzeba zauważyć, że podczas pobytu w odosobnieniu zrodziła się też myśl realizacji ślubów narodu w codziennym życiu Polaków przez program Wielkiej Nowenny przygotowującej do obchodów 1000-lecia Chrztu Polski w 1966 r. Już wtedy powstał też projekt trwającej do dziś peregrynacji kopii jasnogórskiego obrazu po polskiej ziemi.

Na zakończenie tej opowieści o kardynale Wyszyńskim przytoczę jeszcze jego słowa zamieszczone we wspomnianej uchwale Sejmu RP: „Na każdym kroku walczyć będziemy o to, aby Polska – Polską była! Aby w Polsce po polsku się myślało". To wezwanie jest nadal aktualne. A spodziewana wkrótce beatyfikacja to dla nas zobowiązanie do otwarcia na nowo skarbnicy jego przebogatego dziedzictwa. Nie możemy zmarnować tej szansy, bo taki prymas zdarza się raz na tysiąc lat.

Droga do beatyfikacji

Zakończył się proces beatyfikacyjny Czcigodnego Sługi Bożego kard. Stefana Wyszyńskiego i jego droga na ołtarze jest już otwarta. Przypomnijmy, że w grudniu 2017 r. został wydany dekret o uznaniu heroiczności cnót prymasa. Do beatyfikacji potrzebny był jeszcze cud za jego wstawiennictwem. W styczniu 2019 r. komisja lekarzy z watykańskiej Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych (KSK) zatwierdziła dokumentację procesową dotyczącą niewytłumaczalnego z medycznego punktu widzenia uzdrowienia kobiety, która zachorowała na nowotwór tarczycy i – zdaniem lekarzy – nie miała szans na przeżycie. Uzdrowienie nastąpiło nagle i uznano je za trwałe. Dekret dotyczący cudu został następnie zatwierdzony przez komisję teologów, a także przez radę kardynałów i biskupów z watykańskiej KSK. 2 października 2019 r. ojciec święty Franciszek przyjął na audiencji kard. Angelo Becciu, prefekta tej kongregacji, i wydał zgodę na opublikowanie dekretu dotyczącego cudu za wstawiennictwem kard. Stefana Wyszyńskiego. Był to ostatni krok do beatyfikacji Prymasa Tysiąclecia. Wkrótce poznamy datę i miejsce tej uroczystości.

eprasa.pl 3ca8d795e7



P jak perswazja

Dr Hanna Karp, medioznawca

Opadł powyborczy kurz, pora na uspokojenie. Rzućmy zatem snop światła na obiekt nazywany mediami komercyjnymi. Odbiorcy, politycy, a nawet medioznawcy, przyjmują tu rodzaj niezrozumiałej taryfy ulgowej.

MEDIA KOMERCYJNE? TARYFA ULGOWA

Godzą się z tym, że media komercyjne to podmioty nastawione wyłącznie na przychód, zysk i dobre notowania giełdowe. Akceptują to, gdy dziennikarze i redaktorzy pracujący na wizji komercyjnych stacji zmieniają się w aktorów odgrywających rolę dziennikarzy i szybko zyskują specjalny status finansowy, pozycję hollywoodzkich gwiazd i humory celebrytów. Nikt nie pamięta o tym, że stacja, otrzymując koncesję, zobowiązała się pod rygorem prawnym do przestrzegania zasad rzetelnego informowania, bezstronności i rzetelności dziennikarskiej w nie mniejszym stopniu niż media publiczne. Nikt nie zwolnił komercyjnych stacji czy rozgłośni od mówienia prawdy, rzetelnej informacji i troski o dobro społeczeństwa, dla którego pracują. Nie mają zatem prawa dezinformować, siać zamętu, manipulować, kreując świat informacji, ani polaryzować debaty publicznej, nawoływać do nienawiści i wykluczania jednostek, grup społecznych czy wyznaniowych. Dotyczy to zarówno warstwy informacyjnej, jak i publicystycznej. A już zwłaszcza, gdy jest to stacja o profilu stricte informacyjnym. Również gdy mowa o komentarzu i publicystyce tzw. satyryczno-rozrywkowej. Jedna ze stacji informacyjnych przedstawia od 2005 r. „Szkło kontaktowe", codzienną wieczorną audycję, która ma właśnie taki profil.

SZKŁO KONTAKTOWE

Analiza tego wieczornego magazynu wskazuje, iż jego narracja prowadzona jest według ściśle wyznaczonych ram. Treści perswazyjne serwowane na poziomie niemal podprogowym są przez odbiorcę ledwie wyczuwalne, a przez to bardzo skuteczne. To, co może u odbiorcy sprawiać wrażenie improwizacji i luźnej towarzyskiej konwersacji, ma swój ściśle wyznaczony scenariusz. Konsekwentnie zacierana jest granica między informacyjną fikcją a treściami rzeczywistymi. Co daje wręcz nieograniczone pole perswazji informacyjnej i stopniowego wpływania na myślenie, odbiór rzeczywistości, budowanie relacji zewnętrznych, a nawet zachowania odbiorcy. Pozwala na wkraczanie w obszary recepcji widza, łączące się z sferą podświadomości i zachowań, których on sam nawet nie musi być świadomy. Nie przypadkiem wizualną czołówkę magazynu otwiera magiczne wirujące, wręcz hipnotyzujące oko, głównego z autorów programu, temat dźwiękowy otwierający i zamykający program trwa zaś ponad 30 sekund.

Każdy z odcinków charakteryzuje miękka, stała i konsekwentna, z drobnymi czasowymi przerwami, dezawuacja strony rządzącej. Z dialogów, obrazów i konwersacji bohaterów audycji wyłania się rodzaj anachronicznego państwa, którym zawiaduje jedna partia. Przedstawiciele władz są groteskowi, nieudaczni godni pożałowania. Dominująca narracja kieruje przekazy emocjonalne i uwagę odbiorcy w stronę świata, który daje nadzieję na pokonanie panującej rzeczywistości.

eprasa.pl 3ca8d795e7

Odbiorca „Szkła kontaktowego" poznaje świat poprzez zabiegi perswazji wstępnej, potem następuje faza ekspozycji komunikatów zasadniczych, polegająca na ich dosadnej eksplikacji. Kolejnym etapem jest powtarzanie według różnych schematów głównych treści propagandowych. Polega to m.in. na wprowadzeniu wybranych, podstawowych wątków i dopasowaniu do nich odpowiednich sloganów, haseł, zabawnych powiedzonek, egzemplifikacji werbalno-wizualnych.

Równoległym nurtem prowadzona jest technika przemilczeń niechcianych wydarzeń, wystąpień czy wypowiedzi polityków i partii, której stacja wydaje się sympatykiem czy wręcz częścią. Całości retorycznych zabiegów towarzyszą typowe techniki manipulacyjno-perswazyjne służące maskowaniu prawdy o rzeczywistości, jak fałszywa analogia, nadmierne uogólnienie, uproszczenie za pośrednictwem cliché, zamiana pól skojarzeń (użycie określonych pojęć wyłącznie z pozytywnymi bądź negatywnymi określeniami), hiperbolizacja (wyolbrzymianie) lub ironiczny eufemizm albo dysfemizm (przeciwieństwo eufemizmu, zastąpienie obojętnego słowa drażliwym). Te zabiegi docelowo wprowadzają odbiorcę w przestrzeń chaosu pojęć i wartości, gdzie stała narracja dokonuje trywializacji podstawowych pojęć za pośrednictwem słowa. Na planie praktycznym może skutkować wprowadzeniem chaosu w świecie podstawowej aksjologii widza. W efekcie czasem bywa tak – co jest niezamierzone, uważny widz to dostrzeże – iż nawet sami prowadzący i jego etatowi komentatorzy, prezentując swój świat, sprawiają wrażenie ludzi wypalonych, zniechęconych i znudzonych treścią własnych słów.

IRONIŚCI I SATYRYCY

Ironia unosi się w studiu od początku do ostatniej minuty audycji. Prowadzący i komentujący wykorzystują swoją wiedzę i talent, by wytworzyć ironiczny dystans nie tylko między sobą i wydarzeniami, które komentują, lecz także między samymi sobą. Sprzyja temu m.in. forma „pan", „pani", jaką posługują się, komunikując się z sobą na wizji. A jest to o tyle trudne, że znają się z sobą od wielu lat i na co dzień są w relacjach nieformalnych. Zasadnicza kompetencja gospodarzy programu zasadza się na umiejętności prowadzenia owej swoistej ironicznej narracji w towarzystwie i z pomocą partnera. Jako wpadki można odbierać momenty audycji, gdy prowadzący spotyka się z niekompetencją interlokutora w budowaniu tego rodzaju wypowiedzi. Wydaje się, że głównie tego rodzaju zdolność decydowała o zatrudnieniu poszczególnych prowadzących osób do audycji. Wymaga ona swoistego talentu i pewnych predylekcji osobowych, gdyż rozpoznanie ironicznego sensu dyskursu nie zawsze jest jednoznaczne. Nie przypadkiem część z nich to satyrycy.

> Nikt nie zwolnił komercyjnych stacji od mówienia prawdy, rzetelnej informacji i troski o dobro społeczeństwa, dla którego pracują

Wysiłek nadawcy audycji w pełni jednak się opłaca, gdyż ironia jest jednym z najskuteczniejszych środków perswazyjnych. Trudno z nią polemizować, a jednocześnie stanowi ona bardzo atrakcyjną formę dyskursu zarówno dla odbiorcy, jak i nadawcy. Sarkastyczne czy ironiczne określenia przyciągają uwagę; sprawna ironiczna narracja łatwo zapada w pamięć odbiorcy. W wypadku „Szkła kontaktowego" znajdujemy ironię na poziomie całych wypowiedzi, a także wplecionej w pojedyncze zdania i opinie wygłoszone w poważnym i jednoznacznym tonie.

Prowadzący narrację ironiczną manifestują swój dystans wobec różnych wartości, opinii, osób i instytucji. Ten rodzaj dyskursu pozwala wyrazić często lekceważenie i różnego rodzaju negatywne odczucia w stosunku do swoich przeciwników. Nadawca osiąga dodatkowe cele, np. gdy chce coś ukryć, odwrócić uwagę odbiorców albo wyartykułować nie wprost treści, które nie mogą być wypowiedziane bezpośrednio. Jednak w sposób szczególnie wydatny prowadzący audycję, poprzez ironiczny dyskurs, wyrażają szczególny rodzaj wyższości i besserwisserstwa nie tylko wobec komentowanych wydarzeń, lecz także wobec samych widzów. Innym rodzajem pułapki dla posługujących się ironią jest mimowolny rodzaj pełnego wyższości zrzędzenia nad horyzontem wydarzeń. I to także można odczuć w programie.

„BARDZO DOBRA SZKOŁA"

Wydaje się, że autorzy „Szkła kontaktowego" mają pełną świadomość ról, w jakich występują, własnego warsztatu i narzędzi retorycznych, z których czerpią. Czują się w swoich rolach tak pewnie, że o antenowym fachu rozmawiają na wizji. W audycji emitowanej 1 lipca 2017 r., komentujący Jerzy Iwaszkiewicz omawiał arkana sztuki prowadzącemu Grzegorzowi Miecugowowi w formie anegdoty. Oto fragment tej rozmowy:

„J.I.: A wie pan, mnie tu w »Szkle«, mój partner normalnie, pan Wojtek Zimiński, kiedyś na początku mojej roboty uświadomił [...] i Wojciech tak siedzi, siedzi, i mówi: panie Jurku, pan może sobie powiedzieć wszystko, ale wie pan, niech pan tego tak nie mówi, bo pan się wdaje w tę dyskusję, że panu zabraknie słów już za chwilę. Niech pan to zrobi tak, żeby ludzie sobie sami pomyśleli, że on jest idiota.

G.M.: Ha, ha [śmiech].

J.I.: Wie pan, ja to pamiętam, bo to była bardzo dobra szkoła...".

Jak się jednak okazało, wyborczy wynik to wskazuje, szkoła ta nie była wystarczająca. Wyborca i zwolennik Zjednoczonej Prawicy na rodzaj perswazji „Szkła kontaktowego" się uodpornił. Bo z badań wynika, że program nawet dosyć często ogląda. Ale chyba raczej już tylko po to, by beznamiętnie się przyglądać ukrytej za kpiną bezradności zawodowych ironistów.

eprasa.pl 3ca8d795e7



Nowy burmistrz Budapesztu Gergely Karàcsony

Fidesz: zwycięstwo w kraju, porażka w Budapeszcie



GRZEGORZ GÓRNY

Wybory na Węgrzech odbyły się w cieniu skandalu pornograficznego. Zdaniem wielu publicystów zaważył on na utracie przez Fidesz władzy w Budapeszcie i kilku dużych miastach

eprasa.pl 3ca8d795e7

13 października odbyły się nie tylko wybory parlamentarne w Polsce, lecz także wybory samorządowe na Węgrzech. Przyniosły one zdecydowane zwycięstwo Fideszowi, choć nie obyło się bez strat, z których najboleśniejszą była utrata władzy w stolicy.

PAKT SOROSA

Obecne wybory różniły się od poprzednich, ponieważ tym razem cała antyfideszowa opozycja (od lewa do prawa) zjednoczyła się w jednym wspólnym froncie przeciw partii Viktora Orbána. Po raz pierwszy podobna formuła została zastosowana w praktyce 25 lutego 2018 r. w Hódmezővásárhely, mieście będącym od lat bastionem prawicy. Odbyły się tam wówczas wybory uzupełniające na burmistrza w miejsce zmarłego poprzednika. Murowanym faworytem wydawał się kandydat partii rządzącej, dotychczasowy wiceburmistrz Zoltán Hegedüs. Niespodziewanie przegrał on jednak z lokalnym działaczem Péterem Márki-Zayem, za którym murem stanęła zjednoczona opozycja lewicowo-liberalna. Zwycięstwo było wyraźne: 57,49 do 41,63 proc. Co ciekawe, Fidesz nie stracił tam poparcia, gdyż głosowało na niego tyle samo osób co w poprzednich wyborach, ale tym razem to nie wystarczyło, ponieważ Márki-Zay był jedynym kontrkandydatem.

Tydzień po tym wydarzeniu opiniotwórczy portal Origo.hu doniósł, że partie lewicowe i liberalne zawarły pod patronatem George'a Sorosa zakulisowy układ w sprawie nadchodzących wyborów parlamentarnych. Miały z sobą współpracować w okręgach jednomandatowych w ten sposób, by w ostatniej chwili wycofywać z listy wszystkich kandydatów opozycji z wyjątkiem jednego – tego, który ma największe szanse na pokonanie reprezentanta Fideszu. Tak też się stało, ale pakt nie przyniósł spodziewanych rezultatów. W wyborach, które odbyły się 8 kwietnia 2018 r., Fidesz zdołał wprowadzić do parlamentu aż 91 posłów ze 106 okręgów jednomandatowych.

W tamtym porozumieniu nie uczestniczył nacjonalistyczny Jobbik. Rok później kierownictwo tej partii zmieniło jednak zdanie i postanowiło wejść do lewicowo-liberalnej koalicji. Nagle, z dnia na dzień, wszystkie dotychczasowe grzechy tego ugrupowania zostały przekreślone w oczach „salonu". Kandydujący na burmistrza Budapesztu Gergely Karácsony, który jeszcze kilkanaście miesięcy temu mówił, że Jobbik prezentuje „totalny nazizm" i wykluczał jakąkolwiek formę współpracy z tą partią, teraz publicznie bronił antysemickich wypowiedzi Mártona Gyöngyösiego z 2012 r. o obecności ukrytych Żydów w węgierskim rządzie.

Niespodziewanie liderzy Jobbiku zaczęli podczas antyrządowych manifestacji maszerować ramię w ramię z postkomunistami i przedstawicielami nowej lewicy, których jeszcze niedawno obrzucali najgorszymi inwektywami. Przypieczętowaniem tego sojuszu stała się antyfideszowa deklaracja „Czego chce naród węgierski?" przyjęta 15 marca tego roku w centrum Budapesztu przy dźwiękach hymnu Unii Europejskiej podczas wspólnego wiecu przez dwie formacje postkomunistyczne: Węgierską Partię Socjalistyczną i Koalicję Demokratyczną (na czele z byłym premierem Ferencem Gyurcsányem), partię Zielonych LMP (Polityka Może Być Inna), liberalny Ruch Momentum oraz nacjonalistyczny Jobbik.

Podpisana deklaracja zawierała 12 punktów, m.in. walkę o demokrację, praworządność, niezależne media i wolne sądy, a także o przeciwdziałanie kryzysowi klimatycznemu oraz obronę wartości Unii Europejskiej – oczywiście wszystko w opozycji do prawicowej władzy.

Dla wielu sympatyków Jobbiku był to prawdziwy szok. Do tej pory liderzy tej partii zarzucali bowiem Fideszowi, iż ten jest łżeprawicą i tylko oni reprezentują prawdziwe interesy narodowe Węgrów. To oni mieli być prawicową alternatywą dla partii Viktora Orbána, którego oskarżano o prowadzenie polityki antynarodowej i socjalistycznej. Zapowiadali przy tym zmianę pokoleniową, ponieważ w ich szeregach dominowała młodzież, dla której generacja 50-letnich przywódców Fideszu jawiła się niemal jako gerontokracja.

Pakt wyborczy przyniósł zmianę kursu, która od wszystkich sygnatariuszy wymagała wiele samozaparcia. Liberałowie i socjaliści narzekali, że muszą głosować na rasistów i antysemitów, nacjonaliści zaś żalili się, że czują dyskomfort, oddając głos na ludzi Sorosa i zwolenników LGBT. Niemniej jednak pacta sunt servanda.

PORNOSKANDAL

Niektórym łatwiej przyszło podjąć taką decyzję po głośnym skandalu obyczajowym, który wstrząsnął krajem 10 dni przed wyborami samorządowymi. Bohaterem afery stał się Zsolt

REKLAMA



66/0919/F

Fot. Attila KISBENEDEK/AFP/East News

eprasa.pl 3ca8d795e7

Borkai – były gimnastyk, złoty medalista olimpijski z Seulu (1988) oraz mistrz świata i Europy, a obecnie także prezes Węgierskiego Komitetu Olimpijskiego, będący członkiem Fideszu oraz od 13 lat burmistrzem miasta Győr.

W internecie znalazło się nagranie przedstawiające Borkaia podczas letnich wakacji na jachcie na Ibizie. Właściwie trudno nazwać je inaczej niż filmem pornograficznym (w wersji raczej hard niż soft), w którym w roli głównej występuje właśnie słynny sportowiec w towarzystwie miejscowych pań lekkich obyczajów. Odgrywane przed kamerą sceny były tak jednoznaczne, że uwieczniony w śmiałych pozach polityk nie próbował nawet niczemu zaprzeczać – przyznał, że popełnił błąd, i przeprosił, jednak z kandydowania na burmistrza nie zamierzał zrezygnować.

Borkai postawił swą macierzystą partię w trudnej sytuacji. Gdyby Fidesz wymusił na nim wycofanie się z wyborów, oddałby de facto miasto walkowerem przeciwnikowi. Było już bowiem za późno na wystawienie innego kandydata. Gdyby jednak przymknął oczy na niemoralne zachowanie jednego ze swych najbardziej rozpoznawalnych członków, stanowiłoby to poważną rysę na reputacji partii, która odwołuje się do wartości chrześcijańskich i prorodzinnych (notabene Borkai ma żonę i dwójkę dzieci).

Ostatecznie partia nie zdecydowała się wycofać kandydatury burmistrza Győr. Działacze Fideszu, nagabywani o niego przez dziennikarzy, starali się unikać odpowiedzi lub mówili, że to jego prywatna sprawa, która nie ma żadnego związku z polityką.

Jak skończyły się wybory w tym mieście? O tym nieco dalej, a teraz zatrzymajmy się chwilę przy rezultatach elekcji w całym kraju.

BUDAPESZT UTRACONY

Węgry są podzielone na 19 komitatów (odpowiedniki polskich województw) oraz 23 miasta na prawach komitatów. Szczególny status ma Budapeszt, który ma rangę równą komitatowi.

Otóż we wszystkich 19 komitatach wygrał Fidesz (w zeszłych wyborach zwyciężył w 16). W tamtejszych sejmikach zdobył 244 mandaty, podczas gdy cała zjednoczona opozycja tylko 137. W poprzednich wyborach głosowało tam na Fidesz 58,44 proc. mieszkańców, teraz natomiast aż 64,05 proc., czyli niemal dwie trzecie elektoratu (ten przyrost jest jeszcze większy, jeśli weźmiemy pod uwagę wzrost frekwencji z 44,3 proc. w 2014 r. do 48,6 proc. obecnie).

Fidesz zwyciężył więc bezapelacyjnie w skali całego kraju. Gdyby przełożyć wyniki wyborów samorządowych na parlamentarne, to zachowałby on większość konstytucyjną.

A jednak w komentarzach wielu polityków tej partii dało się wyczuć wyraźną nutę rozczarowania rezultatami elekcji. Wynikała ona z faktu, że rządzący ponieśli porażkę w Budapeszcie oraz kilku ważnych miastach. W stołecznym zgromadzeniu Fidesz będzie miał 15 mandatów, a zjednoczona opozycja – 18. Spośród 23 dzielnic w mieście partia Viktora Orbána wygrała w 9, zaś jej przeciwnicy w 14. Władzę stracił dotychczasowy burmistrz István Tarlós, a jego miejsce zajął Gergely Karácsony.

W większości spośród 23 miast na prawach komitatów również zwyciężył Fidesz, choć już nie tak wyraźnie. Wygrał w 13 ośrodkach (m.in. Debrecen, Sopron, Szolnok, Veszprém), podczas gdy zjednoczona opozycja w 10 (m.in. Eger, Pecs, Miskolc, Tatabánya). Dla rządzących to jednak znaczące uszczuplenie stanu posiadania w porównaniu z poprzednimi wyborami, gdy Fidesz triumfował aż w 20 miastach.

> Zaraz po wyborach Zsolt Borkai został wezwany do Budapesztu przed oblicze komisji etycznej partii. Wkrótce potem ogłosił, że rezygnuje z członkostwa w Fideszu, jednak z urzędu burmistrza nie zamierza ustępować. Rządzący pozbyli się więc kłopotliwego samorządowca, jednak niesmak pozostał

Węgierscy publicyści na różne sposoby próbują wyjaśnić prestiżową porażkę partii Orbána w stolicy i dużych miastach. Tłumaczą to m.in. słabą kampanią i brakiem silnego impulsu mobilizacyjnego, jaki był obecny podczas wyborów parlamentarnych (sprzeciw wobec polityki imigracyjnej Brukseli czy działalności George'a Sorosa). Zwracają też uwagę na inną logikę elekcji samorządowych, gdy o wynikach częściej decyduje kontekst lokalny niż ogólnonarodowy. Zdaniem niektórych jednak na rezultatach Fideszu zaciążyła przede wszystkim sprawa Borkaia.

Co ciekawe, były gimnastyk, mimo skandalu, wygrał wybory i ponownie został burmistrzem Győr. O ile mieszkańcy rodzinnego miasta mogli wiele wybaczyć swemu włodarzowi, o tyle wyborcy w innych regionach już niekoniecznie. Takiego zdania jest m.in. polityk Fideszu i działacz samorządowy w Budapeszcie Attila Ughy. Według niego skandal pornograficzny oraz bierna reakcja partii zniechęciły do głosowania na nią od 5 do 8 proc. sympatyków w stolicy. Formacja Viktora Orbána publicznie zaprezentowała bowiem hipokryzję i w oczach wielu ludzi straciła moralną wiarygodność.

Do podobnych wniosków doszło kierownictwo ugrupowania, skoro zaraz po wyborach Zsolt Borkai został wezwany do Budapesztu przed oblicze komisji etycznej partii. Wkrótce potem ogłosił, że rezygnuje z członkostwa w Fideszu, jednak z urzędu burmistrza nie zamierza ustępować. Rządzący pozbyli się więc kłopotliwego samorządowca, jednak niesmak pozostał.

Powyższy skandal pokazuje, że moralność w polityce jednak popłaca. Fidesz, tolerując postępowanie Borkaia, zachował co prawda władzę w Győr, ale stracił większość w innych miastach.

38/0819/F

eprasa.pl 3ca8d795e7

ORLEN

GRAJ W LOTERII

CO 3 ZDRAPKA WYGRYWA!*

88

samochodów

ponad **11 000 000**
produktów **VERVA**



Kup zestaw
Odbierz zdrapkę
Sprawdź, czy wygrałeś

Okres sprzedaży promocyjnej uprawniającej do otrzymania zdrapki: 23.04 – 31.12.2019 r. lub do wyczerpania puli zdrapek na poszczególnych stacjach paliw. Zachowaj zdrapkę i dowód zakupu. Zgłoszenia do losowania wyjazdów na wyścigi Roberta Kubicy przyjmowane są do 02.11.2019 r. od zarejestrowanych uczestników Programu VITAY posiadających konto na: vitay.pl. Szczegóły w regulaminie na: loteria.orlen.pl. Organizator: Unique One sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie.
*Informacja została przygotowana w oparciu o statystyczne rozłożenie nagród w Loterii.

eprasa.pl 3ca8d795e7

Camino – pielgrzymka przyrodnika

Portugalski odcinek szlaku pielgrzymkowego do Santiago de Compostela, poprowadzony samym skrajem wybrzeża Oceanu Atlantyckiego, nazywany jest Senda Litoral. To najnowsza spośród tras słynnego camino. Na niektórych odcinkach brak oznaczeń. Niekiedy trzeba przeprawić się w bród przez ujście rzeki lub zaczekać na odpływ, który odsłoni plażę. Warto podjąć ten wysiłek, bo jest to odcinek wyjątkowy, mało uczęszczany, na którym trasę marszu wyznaczają z jednej strony porośnięte unikatową roślinnością piaszczyste diuny, a z drugiej fale oceanu



Ten, kto zdecyduje się na trasę Senda Litoral, ma całe kilometry wybrzeża tylko dla siebie

epiasa.pl



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Gdy rozmawia się z którymś z pątników, którzy udali się do Santiago de Compostela wybrzeżem portugalskim, czyli trasą Camino Portugués, najczęściej okazuje się, że podążał trasą centralną lub trasą alternatywną nazywaną Camino da Costa, prowadzącą wprawdzie wzdłuż wybrzeża atlantyckiego, lecz w kilku przynajmniej kilometrowej odległości od oceanu.

Część spośród pątników korzysta wprawdzie z krótszych fragmentów oceanicznej Senda Litoral, jednak mało osób decyduje się na podążanie nią przez cały czas i wkrótce wraca na idącą nieco w głębi lądu trasę Camino da Costa – tym samym pomijając najpiękniejsze, najciekawsze, wielokilometrowe, bezludne odcinki.

Dzieje się tak dlatego, że jest to trasa nowa, na wielu odcinkach nieoznaczona, na której lepiej niż GPS sprawdzają się mapa i umiejętność orientacji w terenie. To wysiłek wart podjęcia, gdyż Senda Litoral umożliwia przejście bezpośrednio wzdłuż pięknego, bezludnego wybrzeża portugalskiego. Aby zapoznać się z przyrodą tego rejonu, pierwsze dni camino podążaliśmy od Porto, przez Póvoa de Varzim, Esposende, Viana do Castelo, aż po miejscowość Caminha nad graniczną rzeką Minho, przebywając 100 km plażami i wydmami, tuż przy błękitnych falach; linią wyznaczoną przez Atlantyk i pierwszy ląd, jaki napotykają masy słonego żywiołu po przebyciu całego oceanu.

Nazwa „Senda Litoral" ma dla przyrodnika dodatkowy wydźwięk – litoral to naukowe określenie ekosystemu przybrzeżnego, obejmującego zarówno wąski pas wody, jak i lądu – oraz ich unikatowe połączenie.

NA GRANICY LĄDU I WODY

Gdy woda cofa się wraz z przypływem, odsłania nie tylko dogodną do wędrowania plażę. Na tym odcinku wybrzeża Oceanu Atlantyckiego tuż pod błękitnymi falami kryją się czarne bazaltowe skały. W wyżłobionych przez wieki w twardej skale estuariach, niewielkich zbiornikach wypełnionych słoną wodą, pozostają morskie stwory, które nie mogły podążyć na czas odpływu za cofającymi się falami. Nie mogły lub nie chciały, bo odpływ to dla części z nich okazja do polowania.

Kiedy fotografuję ten pas, w którym wahadłowy rytm życia wyznaczają morskie pływy, obiektyw od razu pokrywa się słoną mgiełką niesioną przez oceaniczną bryzę. Do wygładzonej powierzchni bazaltu przywierają ciasno morskie ślimaki czaszołki, chroniąc się przed wyschnięciem. Pomiędzy nimi sterczą ostre skorupki pąkli, interesujących skorupiaków przypominających małże, z wnętrza których wysuwają się pazurkowate odnóża. Kiedy patrzę na czarne obrośnięte muszlami powierzchnie skał, na myśl przychodzą mi wale biskajskie *Eubalaena glacialis*. Wale biskajskie, dorastające 20 m długości wieloryby, są skrajnie rzadkie. Przypuszcza się, że w tej części Atlantyku bytują jeszcze ostatni przedstawiciele wschodniej populacji niegdyś licznego gatunku, którego nazwa wywodzi się od nieodległej, burzliwej Zatoki Biskajskiej.

Cielska tych osobliwych waleni o wielkich, dziwacznie ukształtowanych paszczach, wyglądają dokładnie tak samo jak te skały – wraz z wiekiem na ich skórze osiedlają się morskie skorupiaki, nadając wielorybom wygląd pływających wysepek.

W zagłębieniach skalnych, w których woda pozostaje aż do kolejnego przypływu, największym wyzwaniem dla morskich stworzeń nie jest groźba wyschnięcia, lecz drapieżniki. W niektórych basenikach, niekiedy nie większych od miski i wypełnionych polipowatymi ukwiałami, ukrywało się po kilkanaście krabów, liczących na łatwe łowy na ślimaki, małże i krewetki na ograniczonej powierzchni. Kraby zresztą same też niejednokrotnie stają się ofiarą; dla ośmiornic, licznych w tym rejonie Atlantyku, przepełznięcie z jednego zbiornika do drugiego nie stanowi większego problemu.

PODMORSKIE LASY I ŻYWICIELE PLAŻY

Charakterystycznym elementem ekosystemu tej części Atlantyku są olbrzymie wodorosty. Należące do brunatnic listownice o długich, dorastających wielu metrów długości, sprężystych w dotyku jak kauczuk wstęgach, tworzą niezwykłe, pełne życia podwodne lasy. Wraz z każdym sztormem i falami pływów, zakrywającymi i następnie odkrywającymi piasek i skały, część listownic jest wyrzucana przez ocean na brzeg. Miejscowa ludność zbiera je i suszy, wykorzystując jako nawóz i paszę dla zwierząt; schnące wodorosty pełnią jednak inną, przypisaną im przez przyrodę, funkcję. Rozkładając się, odżywiają plażę i pas wydm.

Piaski i żwiry plaż są pełne życia – ukrytego przed naszymi oczyma, większość stworzeń tej ziemnowodnej strefy pędzi bowiem nocny tryb życia.



Fot. Archiwum autora

Podczas odpływu morskie ślimaki czaszołki przywierają do skał, chroniąc się przed wyschnięciem

eprasa.pl 3ca8d795e7

Zamieszkują ją setki gatunków stworzeń: od mikroskopijnych niesporczaków, wieloszczetów o rozmaitych kształtach, wypławków, po należące do rodziny obunogów raczkowate zmieraczki. Dla wszystkich tych gatunków podstawą wyżywienia jest materia organiczna wyrzucana w obfitości przez ocean. Same z kolei również stanowią pożywienie dla innych zwierząt – stąd pas wybrzeży oceanu, często tuż przy samej linii wody, przeszukiwany



Mikołajek nadmorski

Fot. Archiwum autora

jest przez ptaki siewkowate. Chociaż te osobliwe ptaki najliczniej odwiedzają wybrzeże podczas wiosennych i jesiennych migracji, podczas naszej letniej wędrówki nieraz zdarzało nam się dostrzec grupę kulików wielkich *Numenius arquata*, sondujących morski piasek długimi wygiętymi dziobami lub usłyszeć piskliwe nawoływanie sieweczek, na zmianę to podbiegających, to zamierających w bezruchu w rytm morskich fal.

Niezwykle malowniczym elementem atlantyckiego wybrzeża Portugalii są także całe rozległe pasy i skarpy, usypane przez kamienne otoczaki, duże jak pięść i idealnie wygładzone.

WIELOBARWNE DIUNY

Kolejnym, przylegającym do plaż pasem, jest pas wydm. Wznosząc się nieraz na wysokość kilkudziesięciu metrów, oferuje zupełnie inne warunki życia i tworzy odmienny ekosystem, pozostający jednak oczywiście także pod przemożnym wpływem oceanu. Tym, czym wydmy przyciągają oko wędrowca, jest unikalna roślinność, której udało się dostosować do niestabilnego, ruchomego podłoża i atlantyckich wichrów.

Zaskakującą cechą roślinności wydm, które się podziwia, idąc portugalską Senda Litoral, jest wielobarwność, kontrastująca z jasnym piaskiem, a także wielość gatunków, dostosowanych do tego niegościnnego i wymagającego siedliska. Na pierwszy rzut oka uwagę zwracają kolczaste mikołajki nadmorskie *Eryngium maritimum*, o srebrno-zielonych liściach i łodygach i fioletowych kwiatach, występujące bardzo rzadko również w Polsce. Na portugalskich diunach mikołajek jest gatunkiem licznym i dorastającym znacznych rozmiarów.

O ile w pasie oceanu i plaż dominują błękit wody i nieba, biel grzywaczy i czerń bazaltowych skał, o tyle wydmy prezentują inną gamę barw. Na tle jasnego piasku, pomiędzy zakończonymi srebrzystymi buńczukami trawami wydmuchrzycami, rozkwitają łany drobnych, intensywnie różowych lepnic *Silene littorea*, złociste, endemiczne dla tego wybrzeża lnice *Linaria polygalifolia*, siarkowożółte kocanki *Helichrysum picardii*, bladoróżowe płatki malkolmii *Malcolmia littorea* i błękitny kurzyślad *Anagallis monelli* po portugalsku nazywany „morrião azul" – azul oznacza błękit, tak jak błękitne są „azulejos", płytki zdobiące domy na Półwyspie Iberyjskim. Na niektórych odcinkach na rozległych przestrzeniach wydm dominują gruboszowate, magazynujące wodę w liściach rozchodniki, przybierające barwę od zieleni przez pomarańcz aż po bordo.

PORTUGALSKIE RZEKI

Pisząc o przyrodzie Senda Litoral, nie sposób nie wspomnieć o fenomenie portugalskich rzek, co i raz przecinanych na trasie pielgrzymki. Zadziwiająco duże, sprzeczne z powszechnymi wyobrażeniami o suchym Półwyspie Iberyjskim, są owocem znacznej ilości opadów, przynoszonych przez wiatry znad Atlantyku i spadających na stoki nieodległych gór. Wiele z nich to rzeki szerokie i zasobne w wodę – pierwsza na trasie, rzeka Douro, przecinająca Porto bardzo głębokim, skalistym kanionem, nad którym przerzucono w XIX w. oszałamiająco wysoki most, niesie najwięcej wody ze wszystkich rzek półwyspu, więcej nawet niż bardziej znana Ebro. Każda z rzek – od Douro, przez Cávado czy Lima, przez które przeprawia się pielgrzym podążający tym szlakiem, ma nieco inny charakter. Ostatnia z dużych rzek na opisywanym odcinku, rio Minho, łącząca się z bagniskami rzeki Coura, uchodzi w rejonie portugalskiej miejscowości Caminha do Oceanu Atlantyckiego rozległą deltą, pośrodku której wznosi się stary, kamienny, portugalski fort. W tym miejscu też, podążając z Caminha do hiszpańskiego miasteczka Tui, w naszej dalszej drodze do Santiago de Compostela zanurzyliśmy się w porośnięty mglistymi lasami interior Galicji.

Najpierw jednak był ocean i Senda Litoral.

Chociaż za sprawą rozmaitych mediów i internetu wydaje się nam, że współczesny świat nie jest już dla nas zaskakujący, jest to mylne wrażenie. Podążając wzdłuż Senda Litoral dzień po dniu oceanicznym wybrzeżem, paleni słońcem, smagani wiatrem i słoną bryzą, przeżyjemy te same wzruszenia, które od setek lat przeżywali nasi przodkowie, docierający z odległych zakątków Europy do Santiago, by pokłonić się św. Jakubowi, apostołowi Chrystusa, i przywieźć w rodzinne strony muszlę przegrzebka z tajemniczego, olbrzymiego oceanu jako świadectwo odbytej pielgrzymki.

eprasa.pl 3ca8d795e7

Krok w historii ludzkości czy sportowy fejk



CEZARY KOWALSKI

Do wydarzenia porównywalnego z lądowaniem człowieka na Księżycu doszło w Wiedniu. W taki sposób reklamowane jest osiągnięcie najlepszego maratończyka na świecie Eliuda Kipchoge, który poprawił swój rekord świata i przebiegł maraton poniżej dwóch godzin

Świat sportu, ale nie tylko, natychmiast się przy tej okazji podzielił. Jedni uznają ten wyczyn za „istotny krok w historii ludzkości", inni mówią wprost: „to fejk", a wyczyn Kenijczyka to bardziej osiągnięcie technologiczne, mające niewiele wspólnego z prawdziwym sportem.

Przypomnijmy, że rekord nie jest uznawany jako oficjalny, bo Kenijczyk nie zrobił tego w warunkach normalnego maratonu. Nie rywalizował z nikim, wspierało go tylko 41 pacemakerów (biegacze pełniący funkcję tzw. zajęcy), którzy zmieniali się co kilka kilometrów (wśród nich znajdowali się najlepsi biegacze na świecie), pomagając utrzymać mu równe tempo. Kipchoge był przez swoich pomocników, ustawionych w specjalnym szyku, chroniony od wiatru i deszczu. Nie korzystał z regulaminowych punktów żywieniowych, tylko miał podawane napoje z elektrycznego samochodu. Podobno już same buty Nike specjalnej konstrukcji pozwoliły uzyskać czas lepszy o osiem procent w porównaniu z wynikami osiąganymi w przeciętnym obuwiu. Wiedeń został wybrany w ostatniej chwili, bo akurat tam były najbardziej sprzyjające warunki atmosferyczne. Wszystko po to, aby szczęściu pomóc.

Jednym zdaniem, był to zabieg marketingowy polegający na sprawdzeniu, czy człowiek potrafi, wydarzenie popkulturowe z wykorzystaniem sportu. Można je porównać ze słynnym skokiem Austriaka Felixa Baumgartnera na spadochronie ze stratosfery w 2012 r. (wysokość 38 969 m), który zorganizował Red Bull.

Wcześniej Nike próbował bić rekord maratonu razem z Kipchoge na włoskim torze Formuły 1 – Monza, ale się nie udało. Teraz udaną próbę organizowała firma Ineos, należąca do najbogatszego Brytyjczyka Jima Ratcliffe'a (Nike był partnerem technicznym). Już samo to w zderzeniu ze sportowym wyczynem pozwala sceptykom stawiać tezę, że dziś kupić można wszystko. No i zadawać pytanie, czy takie wchodzenie biznesu do bicia rekordów przypadkiem nie zabija i nie umniejsza tego prawdziwego sportu. W tym przypadku akurat tak się składa, że oficjalny rekord maratonu również należy do Kipchoge (2:01.39) i Kenijczyk takim sztucznie napędzanym wyczynem, jak ten w Wiedniu, sam sobie splendoru nie odbierze. Ale zakładając, że ktoś pobiłby ten jego obecny oficjalny rekord z Berlina, powiedzmy o pół sekundy, to i tak... w świadomości przeciętnego odbiorcy rekordzistą będzie Kipchoge. Bo wydarzenie z Wiednia zostało odpowiednio sprzedane i nakręcone medialnie. Tłumacząc obrazowo, przeciętny kibic nie będzie zaglądać do oficjalnych rejestrów lekkoatletycznej federacji, tylko zapamięta to, co usłyszał dzięki medialnej machinie. I to już jest nie do końca fair. Podobnie jak to, że wiedeński rekord nie był weryfikowany przez badania antydopingowe. A niedozwolony doping wśród Kenijczyków nie jest jakąś rzadkością. Od 2004 do września 2019 r. przyłapano na niedozwolonym wspomaganiu organizmu ponad 140 reprezentantów tego kraju.



Fot. guochen/Xinhua News/East News

Na Kipchoge nigdy nie padł nawet cień podejrzeń w tej sprawie, jest systematycznie kontrolowany nie tylko podczas zawodów, lecz także treningów w domu i w każdym miejscu na świecie, ale teraz pytania się pojawiają.

Podchodzący przychylniej do „kroku w historii ludzkości" przypominają, że to jednak człowiek przebiegł ten dystans w takim tempie. Nie podjeżdżał rowerem ani hulajnogą. Mało tego, w przeciwieństwie do prawdziwych zawodów nie miał wsparcia dopingujących kibiców, co akurat na takim dystansie jest sprawą wielce sprzyjającą sportowcowi. Poza tym bariera dwóch godzin w legalnym maratonie i tak zostanie niebawem pobita. I bardzo możliwe, że przez samego Kipchoge.

Autor jest komentatorem Polsatu Sport

eprasa.pl 3ca8d795e7



Inwestorzy zagraniczni o polskim modelu państwa dobrobytu

eprasa.pl 3ca8d795e7



55/0919/F, 69/0919/F, 54/0919/F

Jakie miejsce w polskim modelu państwa dobrobytu powinni zająć zagraniczni inwestorzy? Jakich inwestorów nam potrzeba, by ten model rozwijać? Czy inwestorzy potrzebują Polski będącej państwem dobrobytu, czy może przeciwnie? Jakie narzędzia i formaty wprowadzone w ostatnich latach w obszarze współpracy z inwestorami się sprawdziły, a które należy zmienić? To tylko niektóre tematy dyskusji, jaką przeprowadziliśmy podczas specjalnego panelu Grupy Medialnej Fratria na Kongresie 590 w Jasionce k. Rzeszowa

Debata, której moderatorem był redaktor naczelny „Gazety Bankowej" Maciej Wośko, była swoistym zwieńczeniem zrealizowanego z wielkim sukcesem projektu Forum wGospodarce.pl, czyli serii spotkań przedstawicieli administracji, biznesu, a także liderów opinii poświęconych praktycznemu rozwinięciu pojęcia „patriotyzmu gospodarczego". W rozmowie o zaproponowanym przez obóz rządzący polskiego modelu welfare state wzięli udział: prof. Cezary Kochalski, doradca prezydenta RP, członek Komisji Nadzoru Finansowego, specjalista w zakresie analizy ekonomicznej, finansów oraz zarządzania strategicznego, a także Bartłomiej Pawlak, członek zarządu głównej maszyny prorozwojowej premiera Mateusza Morawieckiego, czyli Polskiego Funduszu Rozwoju. Biznes reprezentowali Irena Pichola, partner i szef zespołu ds. zrównoważonego rozwoju w Polsce i Europie Środkowej Deloitte, Rafał Stepnowski, zastępca prezesa zarządu w Boeing Digital Solutions & Analytics oraz prezes zarządu Jeppesen Poland, reprezentujący amerykański start-up Mateusz Litewski, dyrektor ds. publicznych na region Europy Środkowej i Wschodniej w JUUL Labs, oraz Vianney du Parc, dyrektor zarządzający na Europę Środkową i Bliski Wschód w działającej na rynku benefitów pracowniczych firmie Edenred.

– Rząd Prawa i Sprawiedliwości jest w moim przekonaniu pierwszym gabinetem, który ma długoterminowy, spójny plan włączenia inwestycji zagranicznych w realizację strategicznych celów gospodarki narodowej. Został on oczywiście nakreślony w Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju. Co ważne, podejmowane są konkretne działania instytucjonalne i rynkowe w tym zakresie. Mamy mapę drogową, jest ona konsekwentnie realizowana. Stąd efekty – podkreślał prof. Cezary Kochalski.

– Staramy się przywrócić zasady konkurencyjności, a nie je burzyć – charakteryzował w tym kontekście działania PFR Bartłomiej Pawlak. Przypomniał również negocjacje dotyczące prestiżowej inwestycji, jaką jest zakład Mercedesa w Jaworze.

– Dla nas szalenie ważne było i jest, aby inwestorzy zagraniczni dawali Polsce coś więcej niż tylko miejsca pracy i bezpośrednie podwyższanie PKB. Chcemy czerpać z doświadczenia globalnych graczy, wspólnie wdrażać więcej innowacji. Pytamy: czy ja mogę im zaoferować polskich podwykonawców? Polskich doradców? Nasze start-upy do współpracy? Czy możemy wytworzyć ekosystem współpracy? – mówił Pawlak.

Niezwykle ciekawy wątek kontynuowała Irena Pichola z Deloitte, odpowiadając na pytanie o to, czy PKB decyduje o sukcesie gospodarki?

– Jestem przekonana, że PKB przestaje być jedyną miarą tego, czy odnosimy sukces, zwłaszcza jeśli na poważnie mówimy o Polsce jako państwie dobrobytu. Owszem zagraniczny kapitał dostarcza wzrostu PKB, ale ma też wkład w produktywność pracy i podnoszenie kwalifikacji pracowniczych. Dzieje się tak np., gdy duża firma informatyczna poprzez szkolenia podnosi poziom umiejętności regionalnych programistów lub firma medyczna szkoli lekarzy. To również niezwykle ważny aspekt każdej takiej współpracy – mówiła Irena Pichola. – Inwestorzy przychodzący do danego regionu powinni rozumieć uwarunkowania, w których się znajdują. Powinni się starać nie tylko konkurować kapitałem, lecz także stworzyć dialog z lokalnymi władzami, z lokalnym ekosystemem firm w ich

eprasa.pl 3ca8d795e7

otoczeniu i faktycznie budować tę sieć powiązań – dodawała, wskazując na istotny dla inwestorów wskaźnik, jakim jest Social Progress Index. Pokazuje on pozycję kraju na mapie jakości życia – Polska zajmuje obecnie tu 32. miejsce.

Rafał Stepnowski z Boeinga skupiał się na konkretnych motywach działania inwestorów.

– Po co są zagraniczni inwestorzy? Nie przychodzą tutaj, żeby tworzyć miejsca pracy. Oni mają realizować więcej niż przeciętną stopę zwrotu z kapitału w określonych warunkach. W państwie dobrobytu element niskokosztowej bazy niknie. Co więc robić, jeżeli koszty pracy nie są niskie? Rozwiązaniem może być uzmysłowienie sobie, że w państwie dobrobytu pracują ludzie szczęśliwi. A ludzie szczęśliwi nie są leniwi, są kreatywni, cieszą się współpracą. To może być olbrzymia zachęta do inwestowania – mówił Stepnowski, podkreślając, że bardzo cieszy go kumulowanie krajowego kapitału i rozwój małych oraz średnich przedsiębiorstw.

O wyzwaniu, jakim jest dla inwestorów wzrost płac, mówił Vianney du Parc, przypominając o turbulencjach obserwowanych w Rumunii po dość gwałtownym podwyższeniu płacy minimalnej.

– Walcząc o pracowników, należy zwracać coraz większą uwagę na zapewnienie im odpowiedniego otoczenia pracy. Dobry pracodawca to ten, który dobrze płaci, ale też oferuje odpowiedni system benefitów pozapłacowych, dobry pakiet usług medycznych czy kartę lunchową, możliwość spokojnego rozwoju. Dostrzeganie tych zależności jest niezbędne w rozwiniętym państwie dobrobytu – zaznaczał.

Mateusz Litewski z JUUL Labs w niezwykle ciekawym wywodzie zwrócił uwagę na historyczne uwarunkowania pewnych polityk wpływających dziś na polską gospodarkę.

– Musimy odbudowywać swoją siłę. Jednym ze sposobów jest oczywiście poszerzanie innowacyjnych obszarów gospodarki, to pozwala na jej skuteczną transformację. Wychodzenie ze sztywnych etatowych ram sprawia, że więcej ludzi próbuje zostać przedsiębiorcą i eksportować swoje pomysły za granicę – mówił Litewski, wskazując na rolę wsparcia ze strony funduszy, a także na korzyści, jakie czerpie biznes z regulacji sprawiających, że cała Polska jest „specjalną strefą ekonomiczną".

Jakie narzędzia ma państwo, by stymulować nowy, dojrzały model współpracy z zagranicznymi inwestorami oraz wspierać polski biznes za granicą? Jak wykorzystywane są obowiązujące regulacje? Czy powinny się pojawić kolejne rozwiązania?

– Nie jestem pewien, czy my jesteśmy w stanie regulacjami zwiększyć konkurencyjność polskich firm. Przypominam, że przez 20 lat nie powstało żadne narzędzie czy instrukcja wspierające polskie firmy w zdobywaniu zagranicznych rynków. Przez ten długi czas nie było więc odpowiedzi na niski poziom polskich inwestycji zagranicznych oraz słabość naszego handlu zagranicznego. Teraz to się zmienia. Także dzięki nowym działaniom Polskiej Agencji Inwestycji i Handlu, która tworzy infrastrukturę mającą wspierać rodzimy eksport i inwestycje. Te doświadczenia będą procentowały – mówił Pawlak. Przedstawiciel PFR podkreślił też, że wkrótce nastąpi fala inwestycji w odnawialne źródła energii. – Czy my na fali tej ogromnej szansy rozwojowej będziemy w stanie stworzyć takie warunki, które wykreują nam większy udział polskich firm w tym łańcuchu wartości? Jesteśmy w Unii Europejskiej i działamy trochę inaczej niż rynek chiński czy indyjski – podkreślał, mówiąc o PFRGreenHub stworzonym przez PFR czy inwestycjom PFR Venture w start-upy.

Irena Pichola zaznaczała rolę regionów, które – obok państwa – powinny aktywnie współpracować z globalnymi inwestorami.

– Doskonałym przykładem inspiracji dla ekosystemu biznesowego stworzonego z regionalnych inicjatyw i dużych firm zagranicznych jest województwo lubelskie czy łódzkie – mówiła Pichola, przypominając realizowane tam projekty.

> Dużo zrobiliśmy w Polsce, aby stabilność inwestowania była zapewniona. Mamy dokumenty strategiczne, które pokazują inwestorom, czego mogą się spodziewać

Vianney du Parc apelował z kolei o spójne regulacje prawne.

– Potrzebujemy stabilności, bo to kształtuje obustronne zaufanie niezbędne do rozwoju. Prawo powinno być klarowne. My chcemy inwestować, chcemy wspierać polski model państwa dobrobytu, chcemy być aktywni na wyjątkowym, świetnie ocenianym polskim rynku. By planować rozwój, potrzebujemy prostego dobrego prawa – mówił.

– Zgoda, ale podkreślmy jedną rzecz: w ostatnich latach w Polsce ta stabilność i kierunek gospodarki tak naprawdę się nie zmieniają. Oczywiście ogłoszony teraz postulat polskiego państwa dobrobytu to pewna nowość, ale on też się wpisuje w trend, który kształtuje naszą gospodarkę od kilku lat. Dla inwestora najgorsze jest, jeżeli w połowie gry zmieniają się diametralnie pewne warunki – dodawał.

– Stabilność jest fajna, ale tylko te firmy, które najlepiej się dostosują do szybko zmieniających się warunków biznesu, osiągną sukces – polemizował Rafał Stepnowski, powtarzając, że kluczowe są odważne zmiany technologiczne i realne wdrażanie innowacji. – Przemysł 4.0 to wyzwanie dla wielu osób na rynku pracy. Próbując poprawić wydajność, możemy borykać się np. z większym bezrobociem. Ale czy w perspektywie tego podniesienia efektywności i rozwoju przemysłu 4.0 całe państwo nie zacznie funkcjonować bardziej wydajnie? Jestem pewien, że tak. A w związku z tym poziom wzrostu gospodarczego będzie jeszcze wyższy i państwo, bogacąc się, stworzy nowe możliwości inwestycji – dodawał Stepnowski.

– Bardzo dużo zrobiliśmy w Polsce, aby stabilność do inwestowania była zapewniona. Mamy dokumenty strategiczne, które pokazują inwestorom, czego mogą się spodziewać. Na progu roku 2020 wyrażamy jako państwo ambicję podnoszenia produktywności pracy, formułujemy postulat realnego udziału w czwartej rewolucji przemysłowej. Prezydent Rzeczypospolitej jest i będzie w tych działaniach sprzymierzeńcem – puentował prof. Cezary Kochalski.

eprasa.pl 3ca8d795e7

44/1019/F

KONGRES 590 4. edycja

Dziękujemy naszym Partnerom

Partnerzy Strategiczni:

Oficjalny Bank Kongresu:

Partnerzy Główni:

Partnerzy +:

Partnerzy:

Partner Technologiczny:

Mecenas Koncertu:

Partner Strefy Stoisk Regionalnych:

Partner Strefy MŚP:

Partnerzy MŚP:

Partnerzy Merytoryczni:

Główny Partner Medialny:

Główny Portal Ekonomiczny:

Główny Partner Radiowy:

Główny Partner Prasowy:

Partnerzy Medialni:

eprasa.pl 3ca8d795e7

PZU zdobywa pozycję lidera na rynku PPK

Co trzeci pracodawca postawił już na PZU. Do końca października spółka ma zamiar podpisać umowy o zarządzanie Pracowniczymi Planami Kapitałowymi z ponad tysiącem firm

Cele są ambitne. Do oszczędzania w ramach Pracowniczych Planów Kapitałowych (PPK) rząd chciałby przekonać większość Polaków. Wśród instytucji zarządzających PPK, które najskuteczniej przyciągają klientów, prym wiedzie PZU. Zawarł już umowy z firmami zatrudniającymi ponad 300 tys. pracowników.

– Chcemy przekonać Polaków, że opłaca się oszczędzać razem z nami – deklarował jeszcze w kwietniu prezes PZU Paweł Surówka, ogłaszając, że PZU rezygnuje na rok z opłat za zarządzanie funduszami w ramach PPK. W ślad za tą decyzją poszła atrakcyjna oferta.

– PZU zapewnia pracodawcom wszechstronną pomoc we wdrażaniu PPK oraz ich obsłudze na co dzień. Pracownikom oferuje nowoczesny system internetowy, dzięki któremu mogą na bieżąco kontrolować swoje oszczędności, a także benefity w postaci m.in. wysokich zniżek na ubezpieczenia czy darmowych badań lekarskich – mówi wiceprezes TFI PZU Marcin Żółtek.



590 UMÓW NA KONGRES 590

Przyjęta przez PZU strategia się sprawdza. Już 1 lipca, w pierwszych godzinach po starcie Pracowniczych Planów Kapitałowych, umowy o zarządzanie PPK podpisało z PZU kilkadziesiąt firm. Dziś umów jest co najmniej 600, co spółka ogłosiła na początku października przy okazji Kongresu 590 w podrzeszowskiej Jasionce. – Mogę żartobliwie powiedzieć, że w ramach kapitalistycznego współzawodnictwa pracy podjęliśmy i wypełniliśmy zobowiązanie: 590 umów na Kongres 590 – ogłosił wówczas wiceprezes Marcin Żółtek.

To może oznaczać, że PZU zdobył już około jednej trzeciej rynku. Z danych Polskiego Funduszu Rozwoju, które w pierwszych dniach października podała „Rzeczpospolita", wynika bowiem, że w sumie umowy o zarządzanie PPK podpisało 1560 firm, które zatrudniają łącznie prawie 900 tys. osób.

ZAUFANIE SIĘ BUDUJE

Troską rządu jest, by jak najwięcej pracowników wzięło udział w programie. – Musimy doprowadzić do sytuacji, w której oszczędzanie będzie powszechną praktyką – przekonywał podczas Kongresu 590 wiceminister inwestycji i rozwoju Waldemar Buda. Dyrektor Katarzyna Przewalska z Departamentu Rozwoju Rynku Finansowego w Ministerstwie Finansów mówiła, że pieniądze w PPK może w przyszłości odkładać nawet 90 proc. Polaków.

Najpierw jednak muszą nabrać zaufania do tego programu. – To proces długi. Widać to na przykładzie brytyjskiego National Employment Savings Trust (NEST), na którym był wzorowany program PPK. Dopiero po latach ludzie zaufali temu systemowi i dziś uczestnictwo przekracza 90 proc. – mówiła dyrektor Przewalska.

ZNIŻKI I UŁATWIENIA

W przypadku PZU zachętą dla pracowników są dodatkowe korzyści dla pracowników: sięgające 40 proc. zniżki na ubezpieczenia, darmowe badania w placówkach PZU Zdrowie, vouchery na zakupy czy rabaty w sieciach handlowych.

Dla pracodawców PZU uruchomił nowoczesny internetowy serwis e-PPK, służący do zawierania umów o zarządzanie i prowadzenie PPK oraz do ich bieżącej obsługi. Bezpłatny serwis umożliwia m.in. przekazywanie list pracowników, ich wpłat i dyspozycji.

– Liczymy na to, że dzięki PPK pobudzimy wśród Polaków chęć do oszczędzania i że ich pieniądze pojawią się nie tylko na lokatach bankowych, lecz również na rynku kapitałowym, co będzie służyło rozwojowi całej polskiej gospodarki – podkreśla wiceprezes Żółtek.

71/0919/F

eprasa.pl 3ca8d795e7

MATERIAŁ
MARKETINGOWY



Postaw na sprawdzonego partnera
Wybierz PPK w PZU

- Brak opłat za zarządzanie w pierwszym roku funkcjonowania PPK
- Kompleksowa pomoc dla pracodawców i pracowników
- Profesjonalne inwestowanie powierzonych oszczędności

Sprawdź:
emerytura.pzu.pl
infolinia **22 640 06 22**
Opłata zgodna z taryfą operatora

Informacje o PPK oferowanym przez TFI PZU SA są zawarte w „Regulaminie zarządzania pracowniczym planem kapitałowym przez PPK inPZU Specjalistyczny Fundusz Inwestycyjny Otwarty". Materiał nie stanowi oferty ani porady prawnej. TFI PZU SA podlega nadzorowi Komisji Nadzoru Finansowego.

eprasa.pl 3ca8d795e7

Jak finansować miks energetyczny Polski?

Ryszard Wasiłek: „Mamy wizję, jak PGE będzie wyglądać za 20 lat”

Transformacja polskiego sektora wytwarzania przerasta możliwości pozyskiwania finansowania przez grupy energetyczne, w związku z czym potrzebne są nowe rozwiązania, instrumenty finansowe i fundusze

Jedna z najważniejszych debat w czasie rzeszowskiego Kongresu 590 dotyczyła źródeł finansowania miksu energetycznego Polski w perspektywie 2040 r. Paneliści z różnych firm zastanawiali się, jak uzyskiwać źródła finansowania wobec wyzwań legislacyjnych i klimatycznych w taki sposób, aby transformacja energetyczna była procesem płynnym i bezpiecznym dla polskiej gospodarki.

Po konferencji prasowej, w trakcie której minister resortu energii Krzysztof Tchórzewski prezentował dokładny plan transformacji, jakiej będzie poddany polski sektor energetyczny, swoje scenariusze rozwoju miksu energetycznego przedstawili przedstawiciele firm z branży.

Minister Tchórzewski podkreślał, że zmiany są potrzebne i nieuniknione, jednak transformacja w Polsce i całej UE musi jego zdaniem zapewnić konsumentom pewny i stały dostęp do energii w akceptowalnych cenach i przy stopniowym minimalizowaniu negatywnego wpływu energetyki na środowisko naturalne.

O tym, jakie wyzwania czekają branżę, mówił również Ryszard Wasiłek, wiceprezes ds. operacyjnych PGE Polskiej Grupy Energetycznej.

– Musimy pamiętać o nowych regulacjach, które bardzo mocno wpływają na cały sektor. Chodzi m.in. o BAT [standardy emisji zanieczyszczeń dla dużych zakładów przemysłowych w UE – przyp. red.], o odpowiednie przystosowanie do 2021 r. aktywów do nowych wymogów, aby uniknąć dodatkowych obciążeń. I także o słynny zapis 550 [mówi o ograniczeniu pomocy publicznej w ramach krajowych rynków mocy tylko do elektrowni emitujących mniej niż 550 g CO_2/kWh – przyp. red.]. Bardzo pomocny z kolei dla nas jest rynek mocy – wymieniał wiceprezes PGE.

Przedstawiciel PGE pokazywał, jak odpowiadać na wyzwania pojawiające się w branży energetycznej.

– Spodziewamy się, że generalnie ok. 2040 r. miks energetyczny w Polsce będzie wyglądał w ten sposób, że podstawę funkcjonowania systemu będą stanowiły aktywa energetyki jądrowej, będzie także bardzo duży udział odnawialnych źródeł energii. Niezwykle istotne staną się również aktywa gazowe, które będą stabilizatorem systemu ze względu na niestabilność OZE. I wreszcie wciąż będą pracować te bloki węglowe, które są najnowocześniejsze i najefektywniejsze, czyli te, które obecnie kończymy budować. Wśród nich znajdą się m.in. bloki PGE 5 i 6 w Elektrowni Opole i 7 w Turowie oraz nowe bloki pozostałych grup energetrycznych – ocenił.

Z kolei w zakresie odnawialnych źródeł energii PGE pracuje obecnie nad dwoma programami. Pierwszy dotyczy energetyki wiatrowej na morzu. – Mamy trzy lokalizacje i w tej chwili bardzo intensywnie tam działamy. Ogłosiliśmy też konkurs na partnera strategicznego, który wniesie know-how do naszej działalności w tym zakresie. Oferty zostały złożone, w najbliższym czasie przeanalizujemy je i wybierzemy partnera – powiedział przedstawiciel PGE.

Wspomniano także o drugim programie realizowanym przez PGE, który dotyczy pozyskania 2,5 GW mocy z instalacji fotowoltaicznych.

– Ten program wymaga bardzo dużego zaangażowania i bardzo intensywnie nad nim pracujemy – podkreślił wiceprezes Wasiłek, który wspomniał także o wyzwaniach związanych z wyczerpywaniem się obecnych złóż węgla brunatnego.

– Sprawiedliwa transformacja tych obszarów wymaga zaangażowania rządu, samorządu, koncernów przy współudziale unijnych instrumentów i funduszy – powiedział wiceprezes PGE. Na koniec podkreślił, że transformacja polskiego sektora wytwarzania przerasta możliwości pozyskiwania finansowania przez grupy energetyczne, w związku z czym potrzebne są nowe rozwiązania, instrumenty finansowe i fundusze.

46/1019/F

eprasa.pl 3ca8d795e7

Kolej na logistykę, logistyka na kolej

Bez Krajowego Operatora Logistycznego logistykę w Polsce przejmie Amazon? Tak się stało w Austrii. Polska ma jeszcze szansę zbudowania polskiego odpowiednika DHL, który może wygrać z Amazonem skalą. Możemy to wygrać, a ze względu na nasze strategiczne geopolityczne położenie nie wolno nam tego przegrać

Jak podkreślili uczestnicy panelu „Krajowy operator logistyczny w Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju" zorganizowanego podczas tegorocznej edycji rzeszowskiego Kongresu 590, fundamentem realizacji Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju jest obecnie pilne opracowanie szczegółowego planu rozwoju logistyki w Polsce i aktualizacja pewnych założeń zawartych w SOR – wynika z wypowiedzi ekspertów

Jak podkreślili uczestnicy, przyszła już pora na wypracowanie szczegółowego programu rozwoju logistyki w Polsce. Jego fundamentem powinna być narodowa strategia logistyczna, a narzędziem do jej realizacji będzie Krajowy Operator Logistyczny – musi to być podmiot powiązany ze skarbem państwa, którego zadaniem będzie organizacja i integrowanie logistyki w całym kraju. To ważne zadanie, gdyż poziom logistyki będzie decydował o konkurencyjności polskiej gospodarki, a bez państwowego podmiotu za dziesięć lat logistykę przejmą zagraniczne podmioty takie jak Amazon i Uber. Poza tym zwycięstwo operatorów narodowych jest w Polsce możliwe, mimo ekspansji firm kurierskich. Poczta niemiecka (DHL) jest 44 razy większa niż Poczta Polska, jest też o wiele potężniejsza niż państwowy operator pocztowy w Austrii, a mimo to poczta austriacka była w stanie odbić swój rynek pocztowy spod dominacji DHL, gdzie w końcu DHL musiał się z Austrii wycofać. Problem w tym, że podmiotem, który przejął cały łańcuch logistyczny w Austrii finalnie jest nie narodowy operator austriacki, ale Amazon. Krajowy Operator Logistyczny w Polsce ma szansę być szybszy, sprawniejszy i uczciwszy dla całego łańcucha wartości – uczestników procesu logistycznego.

– W strategii na rzecz odpowiedzialnego rozwoju określa się trzy filary: eksport i innowacyjność, rozwój społeczny, reindustrializację. Zarządzanie całym systemem krajowego wsparcia logistycznego daje nam szansę na rozwój tych usług. Wynika to z naszych kompetencji, zasobów, możliwości zaspokajania potrzeb. Szybki rozwój gospodarki nie jest możliwy bez integrowania tych narzędzi. Operator logistyczny musi zarządzać i dostarczać najbardziej efektywną usługę na rynku. Rynek powinien weryfikować tę usługę. Mamy wtedy szansę wygrać tę konkurencyjną walkę. Chcemy role konkurencyjnego podmiotu dostarczyć naszym partnerom biznesowym, aby byli podmiotami sukcesu – skomentował Czesław Warsewicz, prezes PKP Cargo.

To, co jest naszym błogosławieństwem w handlu, a przekleństwem lub szansą – w zależności od talentu zajmujących się teraz i w przeszłości polityką – czyli nasze geopolityczne położenie, w logistyce jest tylko szansą. Czy Polska może wykorzystać położenie geopolityczne? Tak, zwłaszcza szansę związaną z tzw. nowym jedwabnym szlakiem.

– Poczta Polska może być traktowana jako narodowy operator logistyczny – mówił Grzegorz Kurdziel, członek zarządu Poczty Polskiej. – Dostarczamy około 1,5 mld paczek rocznie do naszych klientów, także biznesowych. Ponad 70 mld gotówki trafia do naszych klientów w Polsce. Poczta Polska ma dobre doświadczenie z partnerami chińskimi. Dobre relacje, które mamy, pomogły nam wkomponować polski e-commerce w tamte rynki. Logistyka wymaga bardzo dobrych systemów informatycznych, efektywnego sposobu magazynowania, przesyłania, sortowania i doręczania. Jest to spore wyzwanie, bardzo kosztowne. Chcemy zainwestować w rozbudowę twardej logistyki, zakup sorterów do przetwarzania przesyłek e-commerce'owych. Dalekosiężnym pomysłem jest stworzenie ekosystemu dla międzynarodowego e-commerce'u, ważnego dla polskiej gospodarki – dodał.

Logistyka jest krwiobiegiem wszystkiego, co się dzieje w polskiej gospodarce. Jak podkreślali paneliści, nie można mówić o sprawnie działającym przemyśle i usługach, jeżeli to, co jest potrzebne do wyprodukowania, nie będzie dostarczone w odpowiedniej jakości, w odpowiednim terminie, w odpowiednie miejsce i po odpowiedniej cenie.

– Polska gospodarka może być bardziej konkurencyjna dzięki większej kooperacji między polskimi firmami, ze szczególnym uwzględnieniem spółek skarbu państwa. Kooperacja między Pocztą Polska a PKP Cargo to przede wszystkim międzynarodowy przepływ towarów e-commerce. Musimy wzmocnić system logistyczny i naszą infrastrukturę. Polski rząd powinien wspierać takie inicjatywy, nie tylko poprzez finansowanie – powiedział Mateusz Izydorek vel Zydorek, dyrektor Klastra Luxtorpeda 2.0. – Integracja i współpraca powinny być podstawą w osiąganiu obopólnych korzyści. Krajowemu operatorowi logistycznemu będzie zależało na spedycji, a przewoźnikowi na przewożeniu towaru i nie ma tu elementów sprzecznych. Musimy zrobić wszystko, aby te modele biznesowe połączyć – komentuje Mateusz Izydorek.

50/1019/F

eprasa.pl 3ca8d795e7



Branża gamingowa w Polsce – znaczenie dla świata i perspektywy rozwoju

Jaka przyszłość czeka branżę gier w Polsce? Na to pytanie próbowali w czasie Kongresu 590, zorganizowanego w Jasionce pod Rzeszowem, odpowiedzieć eksperci z branży gamingowej

Dziś rynek gier wideo i związana z nim branża e-sportowa to ogromne, liczone w miliardach euro pieniądze. Globalny rynek gier wideo w ub.r. przekroczył kwotę 134,9 mld dol., w tym roku ma zamknąć się w liczbie 152 mld dol. Największy wzrosty generuje rynek gier sieciowych, a niemal połowa udziałów w rynku to gry mobilne. Gry na smartfony wygenerowały wzrost przekraczający 26 proc. i sięgający 39 mld dol.

– Szacunki dotyczące e-sportu mówią o 800 mln dol., z perspektywą przekroczenia miliarda dolarów. Wzrosty są tutaj imponujące – oceniał Olgierd Cieślik, prezes zarządu Totalizatora Sportowego.

Nie ma wątpliwości, że tak wielkie pieniądze są atrakcyjne nawet dla największych graczy na rynku, takich jak Totalizator Sportowy. A co przyciąga klientów do tego typu rozrywki?

– Powody uczestnictwa w rozrywce są takie same: klienci szukają emocji, wyzwań, rywalizacji – mówił szef Totalizatora. Olgierd Cieślik podkreślał, że elementy rozwijane w poszczególnych sektorach rynku, grach losowych i zręcznościowych przenikają się wzajemnie, a dodatkowo klienci i twórcy gier chętnie odwołują się do innych elementów popkultury.

– Firmy wykorzystują te elementy w gamingu zręcznościowym, gdzie atrakcyjność podnoszą dołączone elementy losowości, typowe dla loterii, a elementy gier wideo trafiają do gamingu losowego. Chcemy utrzymać klienta w grze, uatrakcyjnić rozrywkę przez wykorzystywanie postaci filmowych. We wrześniu br. w naszym kasynie internetowym mieliśmy premiery gier z wykorzystaniem postaci Batmana, Supermana i Wonder Woman. Nie zawsze jesteśmy dla siebie konkurentami – dodawał.

Prezes Cieślik przypomniał, że Totalizator Sportowy zainwestował m.in. w internetowe kasyno, które oferuje klientom legalną rozrywkę w sieci. Aż 48 mln zł do budżetu państwa wpłynęło wyłącznie z tego miejsca. Wszystko dlatego, że w ciągu niespełna roku gracze zostawili przy wirtualnych automatach aż 2,3 mld zł. Warto tu dodać, że z e-sportu i internetowego kasyna płyną korzyści dla sportu tradycyjnego, bo Totalizator Sportowy przekazuje co roku setki milionów złotych właśnie na wsparcie polskiego sportu. Na te cele w całej Polsce trafia aż 19 groszy z każdej złotówki, którą wydajemy na gry LOTTO.

W czasie Kongresu 590 eksperci zadawali sobie pytanie o to, jak rozwijać sektor rozrywki gamingowej w sposób odpowiedzialny. Jak chronić najmłodszych uczestników zabawy w sieci przed niebezpieczeństwem związanym np. z uzależnieniem od hazardu? Prezes Cieślik podkreślał, że LOTTO jest gwarantem legalnej i bezpiecznej rozrywki:

– W grach, w których pojawia się element finansowy i losowy, wprowadzamy warunek ukończenia 18 lat. Dobrze działają także ograniczenia czasu oraz limity finansowe – mówił szef Totalizatora Sportowego.

34/1019/F | 1/1019/F

eprasa.pl 3ca8d795e7

Agencja Rozwoju Przemysłu S.A.

Agencja Rozwoju Przemysłu S.A.

zaprasza przedstawicieli małych i średnich firm do Centrów Obsługi Przedsiębiorców we Wrocławiu, Katowicach, Poznaniu i Gdyni

W OFERCIE:

- pożyczki dla małych i średnich firm: inwestycyjne, obrotowe, restrukturyzacyjne, split payment oraz na finansowanie realizacji kontraktów
- leasing specjalistycznego wyposażenia, maszyn i urządzeń
- instrumenty wspierające eksport, dostępne w ramach Grupy Polskiego Funduszu Rozwoju.





Centrum Obsługi Przedsiębiorców w Gdyni
+48 885 600 156
al. Zwycięstwa 96/98
81-451 Gdynia

Centrum Obsługi Przedsiębiorców w Katowicach
+48 510 075 249
ul. Lompy 14 – III piętro, pok. 302
40-040 Katowice

Centrum Obsługi Przedsiębiorców w Poznaniu
+48 734 214 12
ul. Bukowska 12 – budynek WTC
60-810 Poznań

Centrum Obsługi Przedsiębiorców we Wrocławiu
+48 604 798 175
ul. Fabryczna 10
53-609 Wrocław

Agencja Rozwoju Przemysłu S.A. Biuro Usług Finansowych
+48 22 695 36 31
ul. Nowy Świat 6/12
00-400 Warszawa

www.arp.pl/uslugi-finansowe



Miliardy na energetykę

Polska energetyka będzie coraz bardziej nowoczesna i zróżnicowana, ale wiąże się to z wysokimi kosztami. Jak dużymi? Mogą sięgnąć dziesiątek miliardów euro. Na transformację trzeba znaleźć naprawdę wielkie pieniądze

Energetyka, i to nie tylko polska, stoi u progu daleko idących zmian. Coraz większego znaczenia nabierają odnawialne źródła energii (OZE), a ponieważ rozwijają się one na olbrzymią skalę, ich koszty nie są już tak gigantyczne jak jeszcze kilka lat temu. Transformacja energetyki i cena, jaką trzeba za nią zapłacić, były głównymi tematami panelu „Jak budować bezpieczeństwo energetyczne Polski?", który odbył się podczas Kongresu 590 w podrzeszowskiej Jasionce.

– Istnieje bardzo dużo uwarunkowań, które musimy wziąć pod uwagę, mówiąc o miksie energetycznym – mówił Leszek Hołda, wiceprezes PKP Energetyka. Wymienił wśród nich m.in. trendy światowe, zgodnie z którymi 2/3 wszystkich inwestycji na świecie jest realizowanych wokół OZE. – Powoduje to, że ta technologia jest już dużo bardziej dostępna, koszt inwestycji jest znacząco mniejszy – dodał. Kolejna tendencja wiąże się z dużą presją na wspieranie proekologiczności. Z kolei w Polsce mamy do czynienia z dominacją źródeł kopalnianych, z których nie możemy z dnia na dzień zrezygnować. Należy pamiętać również o tym, że coraz większego znaczenia nabierają zachowania konsumentów, którzy będą się zamieniali w prosumentów.

Koszty transformacji polskiej energetyki do 2040 r. mogą wynieść ok. 93 mld euro. Jak ją finansować? Radosław Kwiecień, członek zarządu BGK, mówił, że projekty energetyczne są z reguły długoterminowe, więc ich stabilność i przewidywalność jest dla banków, a także dla innych inwestorów, bardzo istotna. Portfolio BGK w segmencie energetycznym przekracza 17 mld zł. – Są tam zarówno duże projekty energetyczne, jak i mniejsze, oparte na OZE – mówił Radosław Kwiecień. – Przygotowujemy się od strony produktowej na transformację energetyczną. Przykładem mogą być gwarancje Biznesmax na fotowoltaikę zabezpieczające inwestycje MŚP w te rozwiązania – dodał przedstawiciel BGK. To rozwiązanie jest bezpłatnym zabezpieczeniem kredytu, udzielanym przez BGK tym przedsiębiorcom, którzy chcą zaciągnąć pożyczkę na sfinansowanie zakupu instalacji fotowoltaicznej.

Poza wspieraniem transformacji energetycznej na poziomie małych i średnich przedsiębiorstw jest jeszcze pytanie o finansowanie dużych projektów energetycznych. Odpowiedzią, jak wskazał Radosław Kwiecień, może być m.in. Fundusz Trójmorza, którego BGK był inicjatorem (akt założycielski Funduszu został podpisany w maju w Luksemburgu; zarządzaniem nim zajmuje się niezależny podmiot). – Stworzyliśmy mechanizm inwestycyjny, w którym staramy się do dobrych projektów zaprosić kapitał długoterminowy. Zielone inwestycje są dla niego jak najbardziej atrakcyjne – mówił Radosław Kwiecień.

Jak swoją rolę w procesie transformacji polskiej energetyki widzi BGK? – Kładziemy pierwszą albo ostatnią złotówkę. Pierwszą, gdy chcemy zachęcić innych do wejścia w te projekty, a ostatnią, gdy projekt już jest i trzeba go domknąć. To nasza główna funkcja jako banku rozwoju – mówił Radosław Kwiecień.

Poza tym na zmiany, które trzeba przeprowadzić w sektorze energetycznym, patrzy się coraz częściej nie tyle pod kątem obowiązku, ile również szansy. – Nie mówimy wyłącznie o kosztach, ale i o tym, jak polska gospodarka może skorzystać i jak programy dotyczące energii mogą wpłynąć na nasze przedsiębiorstwa – mówił Jarosław Wajer, partner w Dziale Doradztwa Biznesowego EY.

SK

38/1019/F | Autopromocja

eprasa.pl 3ca8d795e7

Nie wychodź z domu jesienią



Czytaj swoje ulubione gazety na komputerze, tablecie lub smartfonie

1 miesiąc

~~19,99 zł~~

9,99 zł

ZAMÓW

Prenumerata cyfrowa tygodnika SIECI i magazynu wSIECI HISTORII teraz **tylko 9,99 zł** za miesiąc

wejdź na:
www.SiećPrzyjaciół.pl

eprasa.pl 3ca8d795e7

Więcej ciepła i energii od PGE na Podkarpaciu

PGE Polska Grupa Energetyczna i PGE Energia Ciepła podpisały list intencyjny z marszałkiem województwa podkarpackiego w sprawie budowy II linii technologicznej w Instalacji Termicznego Przetwarzania z Odzyskiem Energii (ITPOE) w Rzeszowie

Jak przyznał Ryszard Wasiłek, wiceprezes zarządu ds. operacyjnych PGE, celem PGE jest podejmowanie kompleksowych działań na rzecz efektywności energetycznej i realizacji idei gospodarki obiegu zamkniętego:

– Dowodem na to jest podpisany dzisiaj list intencyjny w sprawie budowy II linii technologicznej ITPOE – mówił Wasiłek.

Podpisanie listu intencyjnego, które miało miejsce podczas tegorocznego Kongresu 590 w Rzeszowie, jest – w intencji PGE – wyrażeniem woli podjęcia wspólnych działań na rzecz realizacji budowy II linii technologicznej w ITPOE w Rzeszowie.

Zdaniem przedstawicieli grupy, przed przystąpieniem do realizacji projektu niezbędne jest wykonanie analiz technicznych i ekonomicznych uwzględniających aktualną i prognozowaną na najbliższe lata sytuację na rynku odpadów możliwych do termicznego przetworzenia w ITPOE.

– Chcemy być lokalnym partnerem wspierającym samorządy w rozwoju ciepłownictwa, a także w działaniach na rzecz gospodarki odpadami komunalnymi – mówił Wojciech Dąbrowski, prezes PGE Energia Ciepła.

Według planów PGE rozbudowa rzeszowskiego zakładu zwiększy jego zdolności do przerobu zmieszanych odpadów komunalnych oraz odpadów z selektywnej zbiórki ze 100 tys. do 180 tys. ton rocznie.



46/1019/F

– Budowa II linii ITPOE w Rzeszowie wpisuje się w postanowienia aktualizowanego Wojewódzkiego Planu Gospodarowania Odpadami Województwa Podkarpackiego. Naszym celem jest stworzenie kompletnego systemu gospodarowania odpadami, w tym stworzenie infrastruktury niezbędnej do osiągnięcia najbardziej ekologicznych rozwiązań w zakresie gospodarki odpadami komunalnymi – mówił Władysław Ortyl, marszałek województwa podkarpackiego.

W ostatnim czasie zmieniły się regulacje dotyczące dostarczania odpadów do instalacji ich przetwarzania. PGE Energia Ciepła ogłosiła już postępowanie zgodnie z wymogami prawa zamówień publicznych na dostawę paliwa do pierwszej pierwszej, działającej już linii ITPOE. Oznacza to, że samorządowcy muszą współpracować z firmami, które oferują takie usługi, by odpady z ich terenu trafiały do najbliższej instalacji przetwarzającej odpady, a nie do innego, spośród ośmiu tego typu obiektów w kraju. Może się zdarzyć bowiem tak, że do rzeszowskiej instalacji będą trafiały odpady spoza Podkarpacia.

64/1019/F

eprasa.pl 3ca8d795e7

KGHM
POLSKA MIEDŹ

Jesteśmy liderem w produkcji miedzi i srebra.
Umożliwiamy rozwój nowoczesnego świata.

KGHM Polska Miedź S.A. | ul. M.Skłodowskiej-Curie 48 | 59-301 Lubin | www.kghm.com



eprasa.pl 3ca8d795



Wodór – polska energia przyszłości

Choć kwestia technologii wodorowych obecnie znajduje się poza mainstreamem debaty energetycznej i paliwowej w naszym kraju, to tego typu rozwiązania zyskują popularność na świecie. „Polska ma szansę nie tylko nadgonić opóźnienia w tym zakresie, ale też szybko prześcignąć zagranicznych partnerów, jeśli chodzi o wykorzystanie technologii wodorowych" – mówili podczas Kongresu 590 w Jasionce koło Rzeszowa uczestnicy panelu „Wodór – polska energia przyszłości"

Choć panel był jednym z ostatnich podczas trwającego dwa dni kongresu, nie znaczy to, że nie cieszył się zainteresowaniem. Wśród panelistów znaleźli się zarówno prywatni przedsiębiorcy i badacze tej technologii, jak i reprezentanci agencji rządowych takich jak NCBiR czy spółek Skarbu Państwa, m.in. Józefa Węgrecki, członek zarządu ds. operacyjnych w PKN ORLEN.

– Obecnie Polska jest białą plamą, jeśli chodzi o wykorzystanie technologii wodorowych – mówił podczas panelu Tomoho Umeda, przewodniczący komitetu ds. technologii wodorowych w Krajowej Izbie Gospodarczej.

– Kwestie związane z technologią wodorową należy wprowadzić do mainstreamu. Obecnie mamy do czynienia już z ósmą generacją technologii wodorowych (i to w ciągu pięciu lat od istnienia tego typu technologii na świecie), jednak w Polsce debata na ten temat wciąż raczkuje – mówił Umeda.

Ekspert zwrócił uwagę, iż Japonia już wiele lat temu przestawiła się w znacznym stopniu na wykorzystanie paliw i technologii wodorowych: – Kraj Kwitnącej Wiśni jest obecnie na zaawansowanym poziomie, jeśli chodzi o wykorzystanie wodoru. Dlatego w tej chwili następuje tam jedynie proces usprawniania istniejących już technologii, nie zaś poszukiwania nowych.

A jak mogłaby wyglądać polska droga do wodoru? Wbrew pozorom pomysły są nie tylko śmiałe, ale i realne.

Polska mogłaby wodór najskuteczniej wykorzystać w dwóch dziedzinach – energetyki oraz transportu. Ta pierwsza mogłaby oznaczać wprowadzenie nowych rozwiązań do naszego miksu energetycznego, w efekcie czego istniałaby szansa na wykorzystanie nowych bezemisyjnych technologii, które zasilałyby nasze domy, przedsiębiorstwa czy instytucje. Druga z kolei, dotycząca transportu, pozwoliłaby przestawić się z dotychczasowych paliw na wodorowe innowacyjne napędy.

PKN ORLEN jest przygotowany na taką przyszłość. Jak podkreślał członek zarządu ds. operacyjnych płockiego koncernu Józef Węgrecki: – Musimy się przygotować na zachodzące zmiany, nie możemy się zamykać w paliwowej bańce. W przyszłości będzie spadać popyt na paliwa tradycyjne – wodór, w perspektywie 2050 r. może stać się jednym z głównych źródeł energii w transporcie. A my chcemy nadal odpowiadać na potrzeby klientów i pod nich budować naszą ofertę.

Węgrecki szybko rozwinął swoją wypowiedź, zapowiadając, iż PKN ORLEN już teraz pracuje nad stworzeniem w Polsce sieci stacji wodorowych – nie będą to nowe placówki, lecz nowa technologia zastosowana na istniejących już stacjach.

– Budujemy nasze kompetencje w tym obszarze, na razie na rynku niemieckim, wkrótce również w Czechach, a w kolejnym kroku w Polsce – mówił Węgrecki. Docelowo – zaznaczał – na stacjach ORLEN znajdować się mają zarówno dystrybutory paliwowe, ładowarki dla aut elektrycznych, jak i automaty do tankowania wodoru. Ta ostatnia technologia jednak nie będzie wdrożona na wszystkich stacjach, lecz – jak zapowiedział Węgrecki – co ok. 300 km, samochody wodorowe bowiem są w stanie pokonywać znacznie większe odległości przy jednocześnie mniejszym wykorzystaniu surowca niż w przypadku aut z klasycznym silnikiem.

Ale nasz największy koncern dostrzega wodorowe szanse nie tylko, jeśli chodzi o auta osobowe, ale też, a może przede wszystkim – pojazdy ciężarowe. Jak wskazywał prezes Węgrecki, o ile na polu osobówek elektromobilność ma ogromną przyszłość, o tyle segment cięższego transportu, wskutek ograniczeń tej technologii, może nie odczuć dobrodziejstw elektryki.

– Ograniczeniem jest przede wszystkim wielkość akumulatorów, które musiałyby napędzić autobus czy inny większy pojazd – podkreślił reprezentant ORLENU. Dodał natomiast, iż w przypadku wodoru takie ograniczenie nie występuje, sama technologia zaś mogłaby wkrótce napędzać nasz transport kołowy.

By wodór ruszył, potrzebne są wcześniejsze testy. Te najlepiej przeprowadzić na transporcie publicznym – autobusy zasilane wodorem mogłyby wyjechać na ulice polskich miast już w ciągu najbliższych kilku lat, włodarze dużych miast zaś przychylnie spoglądają na tę technologię.

Polska wejdzie więc w technologię wodorową już niedługo i nie będzie się ograniczała w stosowanych rozwiązaniach. Korzystając z know-how zarówno naszych własnych ekspertów, jak i doświadczeń partnerów zagranicznych już wkrótce mamy szansę nie tylko dogonić, ale i prześcignąć w tej materii inne państwa. Tym samym wodór istotnie ma sporą szansę stać się paliwem, które dowiezie nasz kraj w nową erę.

Arkady Saulski

10/0919/F

eprasa.pl 3ca8d795e7



Morskie farmy wiatrowe – program energetyczny czy gospodarczy?

Polska nie popełni błędów niemieckiej transformacji energetycznej – stwierdzili podczas Kongresu 590 w Rzeszowie uczestnicy panelu energetycznego „Morskie farmy wiatrowe – program energetyczny czy gospodarczy?"

Nasz kraj stoi przed wielkim, energetycznym wyzwaniem, jakim jest stopniowe włączanie do naszego miksu energetycznego źródeł odnawialnych. Jedną z opcji jest właśnie morska energetyka wiatrowa. Wykorzystanie naszego morza pozwoli nie tylko na stworzenie naszych własnych inwestycji, lecz również, co ważniejsze, uniknięcie tych problemów i błędów, które były udziałem naszego zachodniego sąsiada, gdy on przestawiał się na ten nowy model energetyczny.

Jak podkreślili paneliści, pierwszym błędem Niemiec podczas przestawiania się na energetykę odnawialną było wyłączenie ogromnej części swoich reaktorów jądrowych. Energetyka jądrowa jest całkowicie bezemisyjna, co z punktu widzenia klimatu jest niezwykle istotne – za wyłączeniem reaktorów przemawiały argumenty nie ekologiczne, lecz społeczne. Niemiecka opinia publiczna domagała się likwidacji tego typu źródeł mocy, wskutek czego Niemcy musiały dość szybko przejść na nowy model energetyczny. To z kolei wiązało się z drugim błędem naszego sąsiada, tj. inwestowaniem w źródła odnawialne w momencie, gdy te były bardzo kosztowne. Polska może skorzystać z tych doświadczeń obecnie, gdy odnawialne źródła są znacznie mniej kosztotwórcze niż kilka lat temu. Ostatnim błędem było niedopasowanie sieci przesyłowych do rozwoju źródeł wytwórczych.

Polska ma szansę uniknąć tych problemów i już teraz podejmowane są działania na rzecz stworzenia polskiej strategii dla konstrukcji naszych własnych, rodzimych farm wiatrowych. Jedną z zaangażowanych w to spółek jest PKN ORLEN. Największy polski koncern paliwowo-energetyczny jest zainteresowany wejściem w segment morskich farm wiatrowych, dlatego prowadzi intensywne analizy w tym zakresie. – To śmiała inwestycja, do której przygotowujemy się po raz pierwszy. Chcemy zdobywać kolejne doświadczenia w tym obszarze. Otrzymaliśmy już wstępne oferty, zakładamy, że do końca roku możliwy będzie wybór partnera – podkreślił Jarosław Dybowski, dyrektor wykonawczy PKN ORLEN ds. energetyki.

Jeśli chodzi o plan czasowy, to PKN ORLEN także w tym zakresie zachowuje ostrożność.

– Trzymamy się harmonogramu, na koniec roku ogłosimy potencjalnego partnera. Czeka nas sporo negocjacji, uzyskanie zgód. To wszystko potrwa – przekonywał Dybowski.

A na jakich zasadach PKN ORLEN planuje wznoszenie własnych farm wiatrowych? Jak wskazał dyrektor Dybowski, koncern przewiduje, że mogłaby to być inicjatywa joint venture.

– PKN ORLEN rezerwuje dla siebie 51 proc. udziałów. Firmy zaakceptowały ten warunek. Podkreślaliśmy też, że chcemy wykorzystać polski potencjał – to także nie było dla partnerów zaskoczeniem – mówił dyrektor.

Istotne jednak jest też odpowiednie umocowanie prawne procesu tworzenia morskich farm wiatrowych. Dyrektor Dybowski wskazywał w tym zakresie na konieczność powołania specjalnego pełnomocnika i solidnego umocowania ustawowego tej kwestii. Dodał też, że dla realizacji tak trudnego projektu istotna będzie koordynacja w ramach kilku instytucji, w tym ministerialnych.

Według Dybowskiego na konstrukcji morskich farm wiatrowych skorzysta także hutnictwo.

– Potrzebne są ogromne ilości stali – dla hutnictwa takie inwestycje byłyby niezwykle korzystne – podkreślał przedstawiciel PKN ORLEN.

Zalety morskiej energetyki wiatrowej dostrzega też poseł na Sejm Zbigniew Gryglas, członek sejmowej komisji energetyki, która od wielu miesięcy pracuje właśnie nad rozwiązaniami dla tego typu inwestycji.

– Off-shore to projekt zarówno gospodarczy, jak i energetyczny. Potrzebujemy czystej energii, morze jest właśnie dlatego tak atrakcyjne. Powstają nowe możliwości logistyczne u naszych sąsiadów ale mamy ambicje, by tę infrastrukturę rozwijać w kraju. W Polsce ma powstać 10 tys. wiatraków, a mamy potencjał na nawet większe obroty energetyczne niż to, co zapisano w strategii energetycznej Polski – mówił poseł podczas panelu.

Gdzie mogłyby powstać porty dla morskich farm wiatrowych? Poseł Gryglas nie ma wątpliwości: – Dzisiaj jeśli chodzi o port instalacyjny, największe szanse ma Gdynia – ze względu na jej dotychczasowe doświadczenia. Jest teren i plan. Wiele jeszcze jednak zostało do zrobienia.

Pomysł, plan, odpowiednie rozwiązania legislacyjne i skuteczna, skoordynowana realizacja mogą już wkrótce odmienić polski miks energetyczny, dodając do niego niedrogą, lecz skuteczną technologię wiatrową. Polskie koncerny i politycy mają świadomość, iż energetyczna zmiana nadchodzi wielkimi krokami – i już wkrótce nasze domy będą zasilane dzięki nowym, innowacyjnym technologiom, przyjaznym zarówno państwu, jak i środowisku.

Arkady Saulski

eprasa.pl 3ca8d795e7



Miks energetyczny Polski w 2040 r.

Jak finansować transformację energetyczną

W czasie jednego z najważniejszych wydarzeń gospodarczych w Polsce paneliści zastanawiali się nad tym, jak dywersyfikować i finansować polski miks energetyczny w perspektywie roku 2040

Jedną z najważniejszych dla branży energetycznej dyskusji otworzyła konferencja prasowa ministra energii Krzysztofa Tchórzewskiego. Szef resortu energii zaprezentował plan transformacji, której będzie musiał zostać poddany polski sektor energetyczny, by sprostać wyzwaniom stawianym m.in. przez ambitną politykę klimatyczno-energetyczną Unii Europejskiej, a także globalne trendy, takie jak odchodzenie od wykorzystania paliw kopalnych czy bezwarunkowe zwiększanie wykorzystania OZE.

Minister Tchórzewski podkreślił, że zmiany są potrzebne i nieuniknione, jednak transformacja w Polsce i całej UE musi – jego zdaniem – zapewnić konsumentom pewny i stały dostęp do energii w akceptowalnych cenach i przy stopniowym minimalizowaniu wpływu energetyki na środowisko naturalne.

– Polityka energetyczna, którą wyznacza polski rząd, prowadzi do ogromnej zmiany – zwiększy się wykorzystanie źródeł nisko- i zeroemisyjnych, znacznie zostanie ograniczony wpływ sektora na środowisko. Jednocześnie zależy nam na tym, aby ta transformacja energetyczna przeprowadzona została w sposób technicznie bezpieczny i sprawiedliwy – powiedział minister Tchórzewski. – Priorytetem są bezpieczne dostawy energii oraz stabilny i zrównoważony rozwój gospodarczy – dodał.

W panelu dyskusyjnym, po wystąpieniu szefa resortu energii, wziął udział m.in. Mirosław Kowalik, prezes Enei. Szef polskiego koncernu energetycznego podkreślił, że transformacja energetyczna jest wyzwaniem, które dotyczy nie tylko Polski, lecz wszystkich firm w Europie. Wskazał także na konieczność odpowiedzialnego podejścia do zmian.

– Jeżeli patrzymy na to, ile będzie źródeł odnawialnych w miksie europejskim w kontekście neutralności klimatycznej w 2040 r., a niektórzy mówią o 2050 r., to trzeba spojrzeć z punktu widzenia, w jaki sposób komponować źródła odnawialne i zapewnić bezpieczeństwo dostaw, żeby nie rozregulować krajowych systemów elektroenergetycznych – mówił Kowalik.

Prezes Enei wspominał, iż możliwość skorzystania z zewnętrznego finansowania wymaga uporządkowania i systemowego podejścia do kwestii finansów.

– Enea od czterech lat rozwija się we wszystkich obszarach, budując odpowiedni potencjał do transformacji. Spółka, zwiększając swoją moc zainstalowaną z 3 do 6 GW, stała się drugim producentem energii elektrycznej w Polsce. Spółka stara się rentownie wykorzystywać swoje aktywa, by zbudować odpowiedni potencjał inwestycyjny dla transformacji zarówno źródeł wytwórczych, jak i inwestycji w dystrybucję. Enea Operator przeznacza niemal miliard złotych rocznie na rozbudowę infrastruktury sieciowej, ponieważ inwestycja w rozwój dystrybucji jest konieczna dla bezpiecznego włączenia OZE do KSE – mówił.

Prezes Kowalik podkreślał, że większe nakłady finansowe OSD wynikają z podłączenia źródeł odnawialnych oraz rozwoju energetyki rozproszonej, a niektórzy analitycy twierdzą, że w nowej perspektywie 2021–2030 wydatki na OSD powinny jeszcze wzrosnąć.

– W perspektywie następnego dziesięciolecia projektowany poziom wydatków na OSD w Europie wynosi od 60 do 110 mld euro. Energetykę trzeba rozpatrywać w perspektywie długoterminowej i podczas realizowanej transformacji musimy pamiętać zarówno o stabilnych źródłach energii, jak i o OZE – dodał szef Enei.

72/1019/F 11/1019/F

eprasa.pl 3ca8d795e7



eprasa.pl 3ca8d795e7

Nie wyobrażamy dziś sobie życia bez możliwości korzystania z elektronicznych rozwiązań w kontaktach obywatel–państwo. Coraz większa dostępność usług e-administracji ułatwia nam na co dzień załatwianie spraw urzędowych, które jeszcze kilka lat temu pochłaniały nasz czas i generowały tony papierowych dokumentów



ZUS w projekcie e-państwa

Polska należy dziś do grupy europejskich liderów administracji państwowej. Duża w tym zasługa Zakładu Ubezpieczeń Społecznych. Pierwszym polskim e-urzędem była Platforma Usług Elektronicznych ZUS, dzięki której można dziś załatwić niemal wszystkie sprawy związane z ubezpieczeniami społecznymi przez internet. To nie wszystko: z każdym dniem ZUS poszerza wachlarz usług elektronicznych. Kto dziś wyobraża sobie dostęp do funkcjonalności naszego systemu ubezpieczeń społecznych bez e-składki (dzięki której płatnicy mają indywidualne numery rachunków składkowych), e-ZLA (elektronicznych zwolnień lekarskich), e-akt (dzięki której pracodawcy mogą krócej przechowywać akta pracownicze i je elektronizować).

SAMOOBSŁUGA W PUE ZUS

Dzięki tej funkcjonalności płatnik może samodzielnie tworzyć na własnym koncie ZUS elektroniczne dokumenty z wybranymi danymi. W ten sposób można np. utworzyć dokument z informacją o saldzie na koncie w ZUS, o liczbie ubezpieczonych czy też potwierdzenie, że jest się płatnikiem składek. Dotychczas przedsiębiorcy, aby uzyskać takie potwierdzenie do przedłożenia w innej instytucji administracji publicznej czy finansowej, musieli złożyć w tej sprawie wniosek. Teraz sami mogą utworzyć żądany dokument potwierdzony elektroniczną pieczęcią ZUS. Dokument można zapisać jako plik PDF, XML lub wysłać na dowolny adres e-mail (odpowiednio zabezpieczony). Przedstawiciel instytucji, w której przedsiębiorca złoży samodzielnie przygotowane potwierdzenie z danymi z ZUS, będzie mógł je potwierdzić online w udostępnionej przez Zakład specjalnej wyszukiwarce.

W najbliższych planach rozszerzenia funkcjonalności na Platformie Usług Elektronicznych są kolejne nowości, m.in. w zakresie formularzy A1 (delegowanie pracowników) oraz rocznych rozliczeń składkowych. Dla lekarzy ZUS wprowadzi nowy, bardziej przyjazny kreator do wystawiania e-zwolnień.

PROJEKT E-SKŁADKA

1 stycznia 2018 r. ZUS wprowadził duże ułatwienie dla płatników składek. Opłacają oni wszystkie składki na ubezpieczenia społeczne jednym zwykłym przelewem na indywidualny numer rachunku składkowego (NRS). Oznacza to, że zamiast trzech albo czterech przelewów, które musieli wypełniać do końca 2017 r., wystarczy jeden. Płatnicy nie podają już w tytule przelewu, jakie składki opłacają ani za jaki okres. To ZUS każdą wpłatę dzieli proporcjonalnie na wszystkie ubezpieczenia i fundusze. Jeśli płatnik ma długi składkowe, jego wpłata

STYCZEŃ – WRZESIEŃ 2019 r.
(na tle 9 pierwszych miesięcy 2018 r.
(STYCZEŃ – WRZESIEŃ 2018 r.)

- **Kwota wpłat w ramach e-składki** – 209 537,8 mln zł (w 2018 r. – 191 178,3 mln zł); **wzrost o 9,6%**;
- **Średni miesięczny poziom kwoty wpłat** w okresie od stycznia do września 2019 r. – 23 282 mln zł (w okresie 9 miesięcy 2018 r. – 21 242 mln zł); **wzrost o 9,6%**;
- **Liczba wpłat w ramach e-składki** – 23 454 434 wpłat (w 2018 r. – 22 558 978 wpłat); **wzrost o 4,0%**;
- **Średnia miesięczna liczba wpłat** – 2 606 048 wpłat (w okresie I–IX 2018 r. średnio 2 506 553 wpłat), **wzrost o 4%**;
- **Średnia miesięczna liczba płatników**, którzy dokonali wpłat – 2 517 004 płatników (w 2018 r. – 2 416 218 płatników); **wzrost o 4,2%**.

eprasa.pl 3ca8d795e7

pokrywa najstarszą należność. Dzięki temu nie rosną odsetki za zwłokę. O sukcesie e-składki świadczą liczby. Od jej wdrożenia w 2018 r. istotnie wzrosła kwota wpłat składkowych. W 2018 r. wpłynęło ich więcej o 19,6 mld zł (czyli o 8,3 proc.) w porównaniu z 2017 r. Natomiast w 2019 r. (do końca września) wzrost był jeszcze wyższy (w porównaniu z analogicznym okresem 2018 r.), bo wyniósł 18,4 mld zł – 9,6 proc. Bardzo ważnym rezultatem wprowadzenia e-składki jest praktyczne wyeliminowanie błędnych wpłat przedsiębiorców. Ich liczba w skali roku wynosi poniżej 400, a do końca 2017 r. było ich 270 tys. rocznie.

ELEKTRONICZNE ZWOLNIENIA LEKARSKIE

Lekarze mogli wystawiać e-ZLA już od początku 2016 r. Natomiast od 1 grudnia 2018 r. elektroniczna forma zwolnienia lekarskiego jest obowiązkowa.

Zanim elektroniczna forma zaświadczeń stała się obligatoryjna, Zakład odbył tysiące spotkań z lekarzami, przeprowadził setki szkoleń z obsługi procesu wystawiania e-ZLA, w każdym oddziale powołano specjalnych koordynatorów i opiekunów do kontaktów z placówkami medycznymi. Od 1 grudnia 2018 r. do 30 września 2019 r. lekarze wystawili 20,5 mln e-ZLA. Zarówno lekarze, jak i asystenci medyczni upoważnieni przez lekarzy do wystawiania zwolnień w ich imieniu mogą podpisywać zwolnienia bezpłatnym certyfikatem ZUS. Do 30 września 2019 r. lekarze i asystenci pobrali 136,1 tys. takich certyfikatów. Z wprowadzenia e-ZLA korzyści czerpią wszyscy: ubezpieczeni pacjenci, lekarze i placówki medyczne, płatnicy składek, a także ZUS. Ubezpieczony, którego pracodawca ma profil na Platformie Usług Elektronicznych ZUS, nie musi nikomu dostarczać zwolnienia. Pracodawca od razu dowiaduje się o nieobecności pracownika i może szybko zorganizować zastępstwo. Lekarzom wystawianie e-ZLA zajmuje mniej czasu i pozwala uniknąć wielu błędów. Dzięki temu, że e-ZLA trafia do systemu ZUS natychmiast, nasi pracownicy mogą skuteczniej wykrywać nieprawidłowości i nadużycia.

Czerwiec i lipiec to dwa miesiące, w których Zakład Ubezpieczeń Społecznych odnotował najmniejszy wpływ zwolnień lekarskich w 2019 r. W styczniu liczba wystawionych zwolnień przekroczyła bowiem 2,6 mln, w lutym – 2,4 mln, w marcu – 2,2 mln, w kwietniu – 2,2 mln, a w maju – 1,9 mln.

WYGODA E-AKT

Projekt e-akta ZUS wdrożył 1 stycznia 2019 r. Od tego dnia obowiązują przepisy, które skracają czas przechowywania akt pracowniczych z 50 do 10 lat oraz pozwalają na ich elektronizację. Pracodawcy sami decydują, w jakiej formie archiwizują dokumenty: papierowej czy elektronicznej. Okres przechowywania dokumentacji pracowników zatrudnionych po 2018 r. wynosi 10 lat. Od stycznia 2019 r. płatnicy składek na bieżąco i niezależnie od daty zatrudnienia pracownika przekazują Zakładowi dane w celu ustalenia praw do świadczeń emerytalno-rentowych oraz ich wysokość. Do końca września 2019 r. ponad 368 tys. pracodawców przekazało ZUS specjalne imienne raporty miesięczne o przychodach ubezpieczonego/okresach pracy nauczycielskiej (ZUS RPA). Dane te zapisano na kontach ponad 12 mln ubezpieczonych. Krótszy, 10-letni okres przechowywania dokumentacji pracowniczej może także dotyczyć pracowników zatrudnionych w latach 1999–2018. Decyzję w tej sprawie podejmuje pracodawca. Jeśli chce skrócić czas przechowywania dokumentacji, musi Zakładowi przekazać oświadczenie (ZUS OSW) o zamiarze przekazywania raportów informacyjnych (ZUS RIA) za pracowników, a następnie w ciągu 12 miesięcy przesłać te raporty. Dane te zapisuje się na kontach osób ubezpieczonych. Dotychczas oświadczenia o zamiarze skrócenia okresu przechowywania dokumentacji pracowniczej złożyło 1435 płatników składek. Aż 66 proc. z nich to małe i średnie firmy. Z kolei raporty ZUS RIA złożyło już 968 płatników – za ponad 30 tys. ubezpieczonych. Aby płatnicy mogli sporządzać i przekazywać nowe dokumenty, ZUS dostosował odpowiednio program Płatnik i aplikację e-płatnik.

JEDNI Z PIERWSZYCH W EUROPIE – Z EESSI

ZUS jest europejskim pionierem elektronicznych rozwiązań. Jako jeden z pierwszych w Europie 1 lipca 2019 r. wprowadził system EESSI, czyli elektroniczną wymianę informacji dotyczących zabezpieczenia społecznego. Ułatwi ona współpracę między blisko 15 tys. instytucjami zabezpieczenia społecznego z 32 krajów UE/EFTA. System EESSI będzie użytkować ok. 100 tys. pracowników instytucji zabezpieczenia społecznego z całej UE. Na zmianach skorzystają miliony Europejczyków. Komisja Europejska szacuje, że obecnie nawet 17 mln obywateli państw UE mieszka w innym państwie członkowskim niż kraj pochodzenia, a ok. 2 mln osób pracuje lub studiuje w jednym kraju, mieszkając w innym.

Dotychczas przekazywanie informacji i dokumentów odbywało się głównie papierowo. Wymagało także często tłumaczenia dokumentacji. Z tego powodu postępowania trwały nawet kilka miesięcy, w związku z czym znacznie wydłużało się ustalanie prawa do świadczeń dla osób, które pracowały w kilku krajach. Dzięki EESSI cała procedura ulegnie skróceniu.

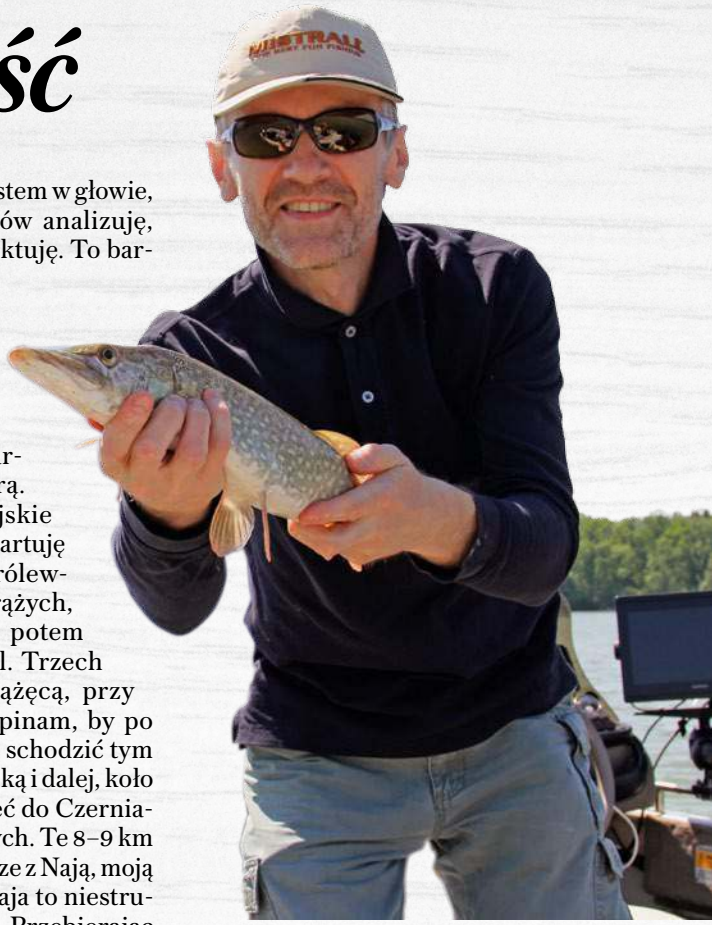
Anna Raciniewska

Nowy system to ogromne wyzwanie – co roku wszystkie instytucje zabezpieczenia społecznego w państwach UE/EFTA wymieniają się nawet 900 mln komunikatów. Szacuje się, że ZUS w ramach systemu elektronicznej wymiany informacji rocznie otrzyma ponad 119 tys. i wyśle ok. 1,14 mln dokumentów. Dlatego przez dwa ostatnie lata ZUS intensywnie przygotowywał się do uruchomienia tego systemu. Modyfikacja systemu informatycznego ZUS na potrzeby komunikacji z EESSI była z technicznego punktu widzenia największa w historii, najbardziej rozległa i skomplikowana. Żaden inny projekt nie wymagał dotąd tak znacznej przebudowy tego systemu.

eprasa.pl 3ca8d795e7

ROBERT CZEBOTAR AKTOR

Chodzę, żeby iść



Moje życie zawodowe to wciąż przecinające się, prowadzące w ciekawe strony drogi i ścieżki. Czasem kamieniste, szutrowe, z odcinkami specjalnymi, jak na kolarskiej trasie Paryż–Roubaix, gdzie kocie łby, dziury i zawsze ślisko. Przejechać je bez przewrotki, to jak wejść zimą na K2.

Zdarzało się, że trafiałem na fragmenty wyboiste. W życiu teatralnym, filmowym, dubbingowo-lektorskim, muzycznym (również komponuję) i edukacyjnym, bo uczę od wielu lat, ale pokonałem najtrudniejsze odcinki i – co najważniejsze – nadal się rozwijam. W wielu dziedzinach, także okołoaktorskich. Po to, by w momencie, gdy pojawi się tak ciekawa postać jak np. stolarza Jerzego Gromniaka w „Leśniczówce" – móc ją bogato wyposażyć i uwiarygodnić.

„Idzie się, żeby iść, płynie się, żeby płynąć..." – to cytat z „Noża w wodzie" Polańskiego. Ja zdecydowanie należę do tych, którzy idą, żeby iść. Na przykład w Szwajcarii, w której bywam dość często i trochę sobie po tamtejszych „górkach" pochodziłem.

Bardzo lubię okolice Arosy. To kurort, choć nie tak znany jak Gstaadt czy Verbier, ale również piękny. W Montreux, nad Jeziorem Genewskim, zrobiłem kiedyś 21 km (tam i z powrotem). Z miejsca, w którym mieszkałem, do pomnika upamiętniającego Freddy'ego Mercury'ego, który tam właśnie spędził ostatnie dni życia. Pokonałem tę trasę w tempie 7,2 km na godzinę, non stop. To była wielka frajda, bo uwielbiam chodzić.

Najlepiej wędruje mi się z tekstami Szekspira. Zaraz po szkole teatralnej często wsiadałem w pociąg i jechałem w Pieniny do Szczawnicy. Chodząc, powtarzałem teksty, uczyłem się nowych, bo sporo wtedy grałem w warszawskich teatrach – Polskim, Na Woli i Scenie Prezentacje. Zresztą do dziś, jeśli czekają mnie ciężkie zdjęcia, dzień przed nimi idę na 10–12-kilometrowy spacer. Z tekstem w głowie, który w rytmie kroków analizuję, przepowiadam i projektuję. To bardzo pomaga.

W dzieciństwie dużo chodziłem z rodzicami po podkarpackich lasach. Dziś sporo wędruję otoczony warszawską architekturą. Mam ulubione miejskie szlaki. W pierwszym startuję z okolic Łazienek Królewskich, od ul. Podchorążych, i idę ulicą Gagarina, potem koło Belwederu do pl. Trzech Krzyży, schodzę Książęcą, przy Rozbrat znów się wspinam, by po minięciu Imki, zacząć schodzić tym razem ulicą Myśliwiecką i dalej, koło stadionu Legii, dotrzeć do Czerniakowskiej i Podchorążych. Te 8–9 km przemierzam, jak zawsze z Nają, moją sunią „marki" york. Naja to niestrudzona wędrowniczka. Przebierając malutkimi łapkami, dzielnie mi towarzyszy. I nie należy do płochliwych. Z charakteru to raczej pies zaczepno-obronny [śmiech].

Druga, podobnej długości, trasa prowadzi przez okolice Rynku Nowego Miasta, który uwielbiam bezkrytycznie! Wędrujemy z Nają późnymi wieczorami i nocami. Zaczynamy o 20–21. Kiedy nie ma wokół ludzi i można się zatopić w myślach. Przepowiadam sobie wtedy teksty, czasem po rosyjsku, bo jestem wielbicielem tej literatury.

Niekiedy ruszam poza miasto z wędką. Wychowywałem się na południu Polski, w miasteczku Tyczyn pod Rzeszowem. Mieliśmy stamtąd niedaleko nad San. Moje wędkarskie inicjacje związane są z tą rzeką. Teraz najczęściej wybieram Pilicę. Dojeżdżam w okolice Białobrzegów i przez 6–8 godzin wędruję w kuckach po wykrotach i krzaczorach, co nieźle daje się we znaki kondycyjnie. Łowię tu sportowo okonki i szupaczki, którym zawsze daruję życie.

Jeśli chodzi o dalsze szlaki, to jestem raczej podróżnikiem „europejskim". Jadąc na południe, dotarłem do Costa del Sol. Byłem też na Sycylii i w Kalabrii. Kierując się na północ poznałem najdalsze rejony Norwegii. Mam na rozkładzie większość leżących pomiędzy nimi europejskich krajów.

Ponieważ kocham Rosję, byłem oczywiście w Petersburgu. W najbliższych latach planuję wyprawę nad Bajkał. Koleją transsyberyjską, co oznacza siedmiodniową podróż w jedną stronę. Rozpoczynając z Moskwy (lub Petersburga), poprzez kilka stref czasowych! Następnie 3–4-dniowy pobyt nad Bajkałem (obowiązkowa kąpiel) i droga powrotna. Potrzeba na to minimum trzech tygodni. Wybiorę się w tę podróż najdalej za dwa, trzy lata.

Jolanta Gajda-Zadworna

Fot. Archiwum autora

eprasa.pl 3ca8d795e7



SŁODKO-SŁONY

Pozwolić nabrudzić

ANNA MONICKA

Jak nauczyć dziecko gotowania? Trzeba się przełamać i dać mu nabrudzić w kuchni. Dla porządnickiej matki może to być poważny ból, ale trudno. Innej drogi nie ma.

U nas na pierwszy ogień poszły tzatziki i inne twarożki czy jogurty z czosnkiem, cebulką czy szczypiorkiem, jako że było to lato.

Teraz coraz częściej chcemy jednak rozpocząć dzień na ciepło. Trenujemy więc omlety i pankejki, bo dziecko czuje obrzydzenie do rozbełtanych jaj w jajecznicy.

Omlet zrobić najłatwiej – masz masło, jajo, patelnię, palnik i prąd – masz śniadanie. Wystarczy rozkłócić jajko w szklance, wylać na rozgrzaną patelnię, przykryć, żeby się uniósł, i podawać – z miodem, konfiturą, groszkiem, tartym serem. Pyszne i proste.

Bardziej skomplikujemy sobie życie, jeśli postanowimy nauczyć dziecko bić pianę z białek (z odrobiną soli, żeby szybciej sztywno stanęła). Gdy opanuje tę niełatwą sztukę, będzie też umiało zrobić sobie bezy – zawsze można użyć tego argumentu, gdy zacznie protestować. Gdy połączymy żółtko z pianą, odrobiną mąki i mleka, posiekanymi warzywami, wychodzi pyszny, delikatny omlet. Bardzo sycący, niemal obiadowy, zwłaszcza jeśli dodamy pokrojoną w kosteczkę szynkę i oprószymy na koniec serem.

Jeszcze solidniejszy będzie wariant z plasterkami ziemniaków. Tu nasza pomoc będzie niezbędna – talarki muszą być bowiem cieniutkie. Przesmażamy je potem na patelni z cebulką i zalewamy ubitym jajkiem z odrobiną mleka, pieprzu i soli. 3–4 ziemniaki na 4 jajka to porcja, która powinna wystarczyć dla trzyosobowej rodziny.

Z pankejkami teoretycznie powinno być łatwiej, ale trudno znaleźć dobry przepis. Ja mam – dwie szklanki przesianej i dobrze natlenionej mąki orkiszowej, szklanka mleka, dwa jajka, trzy łyżeczki proszku do pieczenia, dwie łyżki cukru i ćwiartka kostki rozpuszczonego masła, może być solone. Porządnie mieszamy, a potem wylewamy małą chochelką na dobrze rozgrzaną patelnię i smażymy z dwóch stron na złoto. Podajemy najlepiej z lodami waniliowymi albo bakaliowymi, wiśniową konfiturą, świeżymi owocami i bitą śmietaną.

Fot. Shutterstock x2

WILCZYM OKIEM



Polskie dania, polskie słowa

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Język polski istnieje w innych językach na kilka sposobów. Wielkim kanałem wymiany słów jest kuchnia. Choć polskie kulinaria nie należą może do najmodniejszych na świecie, gdyż pierwsze miejsce w statystykach popularności mają kuchnia chińska, włoska i tajska, to również nie są na samym końcu. Najmniej popularne kuchnie świata to peruwiańska, fińska i saudyjska.

Z Polski wywodzi się kilka dań znanych niemal na całym globie. Wraz z ich popularnością do języków państw, w których się pojawiały na talerzach, przeniknęły polskie słowa. Taką potrawą jest kiełbasa. Choć w języku angielskim istnieje słowo na ten wyrób wędliniarski – „sausage", to „kielbasa" również jest w użyciu jako pełnoprawny, słownikowy rzeczownik, określający konkretny, czosnkowy typ tego produktu spożywczego. Podobnie sprawa ma się z pierogami, pączkami i bigosem. Zaistniały na dobre w języku angielskim (choć bez polskich znaków).

W Szwecji istnieje piękny taniec, który nie tylko ma w nazwie polskie słowo, lecz jeszcze słowo to jest określeniem naszego kraju. „Polska dans" to ludowy, tradycyjny taniec państw skandynawskich. „Polska" to również skandynawska forma muzyczna, niczym nasz polonez czy mazur, mająca metrum 3/4. Czy oznacza to, że polska kultura oddziaływała nie tylko poprzez bigos, lecz i muzykę?

Potrawy, taniec, ale i las przez wieki były tym, co emanowało z naszego kraju, również w sferze językowej. Najnowsze badania ujawniają, że jedno z największych dzieł sztuki światowej, powstały w XV w. w Brugii tryptyk „Sąd Ostateczny" Memlinga, zrobiony jest z drewna dębowego pochodzącego z dębów rosnących na terenie Polski, najprawdopodobniej na Mazowszu. Odkrycie to uzmysławia, jak wielka liczba przedmiotów w Europie musiała powstać ze spławianego Wisłą polskiego drewna, nie tylko dębowego.

Czy w ten sposób do języka angielskiego trafiło słowo „spruce" (wymawiane „sprus"), czyli świerk? Wyobrażam sobie taką scenę: w londyńskim porcie dokerzy wynoszą z ładowni trójmasztowego gdańskiego holka równe świerkowe bale. Angielscy kupcy wypytują załogę o drewno, o jego gatunek. W odpowiedzi słyszą: „Z Prus", bo tyle o ładunku wiedzą marynarze, że pochodzi z lesistych terenów Prus. Następnie drewno to jako „spruce" trafia na aukcje. A stamtąd do języka angielskiego?

eprasa.pl 3ca8d795e7

Nasza narodowa kondycja



Alina Czerniakowska

Dyskusje powyborcze trwają nie tylko w mediach, lecz również w domach rodzinnych, wśród znajomych i wtedy nasuwa się zasadnicze pytanie o kondycję narodu polskiego, o naszą narodową świadomość. Jak to jest możliwe, że po tylu latach przywracania prawdy o minionych czasach, w mediach, w filmach dokumentalnych, publikacjach, przeróżnych inicjatywach pokazujących jak na dłoni, kto walczył o wolną i niepodległą Polskę, a kto mordował naszych wielkich bohaterów, chociażby takich sztandarowych, jak rotm. Pilecki, płk Łukasz Ciepliński, gen. August Emil Fieldorf, Danusia Siedzikówna „Inka" i tysiące innych im podobnych, można głosować na spadkobierców tamtej zbrodniczej ideologii, kolegów i następców niedawnych morderców ks. Jerzego Popiełuszki. Teraz w czasie 35. rocznicy tego bestialskiego mordu na skromnym księdzu, bliskim sercu każdego człowieka, możemy więcej przeczytać i poznać wstrząsające dokumenty tej nieprawdopodobnej, ohydnej zbrodni. Są winni, a jakby ich nie było. Chyba każdy ma przed oczami zdjęcia, nagrania, wypowiedzi Michnika, Cimoszewicza i ich kumpli, przyznających się do kontynuacji i przyjaźni z Wojciechem Jaruzelskim, Czesławem Kiszczakiem i całym ich koleżeńskim otoczeniem. Pamiętamy, jak wrogów narodu polskiego nazywali publicznie „ludźmi honoru".

Jak można oddawać swój głos, czyli wybierać do reprezentowania siebie w zarządzaniu Polską, ludzi z poprzednich rządów PO-PSL, po ich złodziejskich aferach, miliardowych przekrętach (afery: hazardowa, reprywatyzacyjna, VAT-owska, paliwowa, lekowa, Amber Gold itd.), po ujawnionych nagraniach restauracyjnych, które pokazały, czym dla Tuska, Komorowskiego i ich kolegów partyjnych jest Polska (ch... d... i kamieni kupa), czy wreszcie po ich wszystkich nonszalanckich kpinach z tej „gorszej części narodu" głosującej na PiS.

Jak można głosować na ludzi wspierających antychrześcijańskie nurty LGBT, gender i tym podobne wynaturzenia, po blisko 30-letnim pontyfikacie papieża Polaka, który kochał nas i wołał z całych sił „o ludzi sumienia, o dar bojaźni Bożej, który jest, jak naucza psalmista, początkiem ludzkiego rozumu". Nauczał, jak odróżniać „wolność opartą na prawdzie, na skale, którą jest Jezus Chrystus", a przestrzegał przed „wolnością, która zniewala i znieprawia, która jest tylko fikcją wolności".

Na takie pytania, myślę, jest jedna podstawowa odpowiedź – brak wiedzy, powierzchowność, bezmyślność, naśladowanie aktorów i innych „sztukmistrzów" życia społecznego, często uwikłanych osobiście czy rodzinnie w różne ubecko-partyjne układy z przeszłości, chęć życia bez wysiłku myślenia, byle było „fajnie i nowocześnie", w stylu bycia, w zachowaniu, w posługiwaniu się wulgarnym, niewyszukanym słownictwem.

Krystyna Janda grała główną rolę w przejmującym filmie „Przesłuchanie", ale z tego, co dzisiaj mówi i jak się zachowuje, wynika, że tylko grała, nic więcej z tej zagranej przez siebie postaci nie zrozumiała. Kiedyś z zażenowaniem opowiadała mi pani Maria Fieldorf o swoim spotkaniu z Olgierdem Łukaszewiczem, który podejmując się zagrania roli jej ojca, generała Fieldorfa, nie wiedział, kim on był...

Na studiach na Uniwersytecie Warszawskim na Wydziale Dziennikarstwa miałam przedmiot, który nazywał się „Teoria propagandy socjalistycznej". Nauczał nas wówczas doc. dr hab. Michał Szulczewski, jednocześnie pracownik TVP, autor znanej książki „Magia szklanego ekranu". Istotę problematyki tego przedmiotu wyraził krótko, jednym zdaniem, które zapisałam ku pamięci – „Niewygodną prawdę przemilczaj, a dogodne kłamstwo powtarzaj dotąd, aż sam uwierzysz, że to jest prawda, wtedy inni też uwierzą". Po studiach po 1989 r. przyszłam do swojego wykładowcy i zapytałam, czy nie zechciałby teraz wypowiedzieć się w moim reportażu, który wówczas robiłam dla TVP, na temat zmian w Polsce. Dzisiaj często wracam do tego, co wtedy odpowiedział mi mój wykładowca, doc. Michał Szulczewski: „Pani Alino, tacy jak ja teraz powinni milczeć, jedyne co najlepsze mogą nam dać to milczenie, worek pokutny i od kruchty, bo tak naprawdę powinniśmy siedzieć w więzieniach. Proszę to powiedzieć Krasce" (wtedy kierownikiem redakcji reportażu i dokumentu w TVP był Tadeusz Kraśko). Myślę, że te słowa naukowca, publicysty, człowieka dawnego systemu, powinny zastanowić tych wszystkich, którzy zapomnieli swoje życiorysy, boją się prawdy o swojej niedawnej przeszłości, a dziś tak ochoczo idą w ławy sejmowe, bez żadnej żenady mówią o rządzeniu Polską.

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

Włącz kanał W POLSCE PL
upc
NA POZYCJACH
339 dekoder Mediabox
121 dekodery KAON i Horizon

eprasa.pl 3ca8d795e7

Wałęsa walczy o „lewą nogę” w Senacie



Jerzy Jachowicz

Monika Jaruzelska, która przepadła w wyborach do Senatu, ma jednak szanse zostać senatorem, dzięki politycznej inicjatywie byłego prezydenta Polski Lecha Wałęsy. Tę niewątpliwie sympatyczną wiadomość córce generała Wojciecha Jaruzelskiego, który wprowadzając stan wojenny, uratował Polskę od tragicznego rozlewu krwi, przekazujemy niniejszą drogą.

Jeszcze przed pierwszym posiedzeniem Sejmu IX kadencji Lech Wałęsa specjalnym pismem na kredowym ozdobnym papierze zwrócił się do jego prezydium o podjęcie uchwały o powiększeniu niższej izby polskiego parlamentu do 101 senatorów. Następnym krokiem – zdaniem Lecha Wałęsy – powinno być mianowanie na wakujące miejsce Moniki Jaruzelskiej, którą spotkała niezasłużona krzywda. Tym boleśniejsza, że popełniona przez „jej macierzyste gniazdo polityczne”, jaki stanowią lider Lewicy Włodzimierz Czarzasty i jedna z jego partyjna towarzyszek. Odmówienie Jaruzelskiej startu z list Lewicy do Sejmu, a później brak poparcia do Senatu, było nie tylko czymś małostkowym, lecz nierozważnym politycznie. To wymusiło na niej start z jakiegoś marginalnego ugrupowania – opisuje jej dramat Wałęsa.

„Stolik senacki będzie się chybotał bez »lewej nogi«, co było widać w poprzedniej kadencji” – napisał Wałęsa, nawiązując do swojego słynnego aforyzmu z czasu, gdy pełnił funkcję prezydenta.

Wiadomość z ostatniej chwili. Pomysł polskiego laureata Pokojowej Nagrody Nobla zyskał niespodziewane poparcie w kraju i za granicą. Do wniosku Wałęsy dołączone są rekomendacje dla Jaruzelskiej Stowarzyszenia „Sowa”. Skupia ono oficerów i pracowników cywilnych byłych Wojskowych Służb Informacyjnych, zlikwidowanych w 2006 r. Stowarzyszenie walczy o przywrócenie dobrego imienia WSI. W sejmowej lewicy widzi swojego sojusznika. Rekomendacje podpisał prezes „Sowy”, gen. Marek Dukaczewski.

W osobnym piśmie propozycję polskiego prezydenta poparł wiceszef Komisji Europejskiej Frans Timmermans, pisząc, że wniosek jest wyrazem ducha demokracji i praworządności.

REKLAMA



PATRONAT MEDIALNY: Jedynka POLSKIE RADIO, HISTMAG.ORG

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO POCHODZĄCYCH Z FUNDUSZU PROMOCJI KULTURY

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Autopromocja 70/1019/F

eprasa.pl 3ca8d795e7

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Ordynacja idée fixe


www.wojciechreszczynski.pl

Ordynacja większościowa z jednomandatowymi okręgami wyborczymi nie jest gwarantem politycznych zmian na lepsze

Kolejnych ciekawych wniosków dostarczają ostatnie wybory do Senatu, gdzie obowiązuje ordynacja większościowa z jednomandatowymi okręgami wyborczymi. Przypomnę – z kandydatów do Senatu zgłoszonych w 100 okręgach wyborczych wybierany jest tylko jeden, oczywiście po uprzednim zebraniu przez niego 2 tys. podpisów poparcia. O zwycięstwie decyduje największa liczba oddanych głosów. Czy to oznacza, że zwycięża kandydat, który cieszy się powszechnym uznaniem, szacunkiem, osoba, która uczciwą pracą dla ojczyzny i osiągnięciami zawodowymi rzetelnie zapracowała na swój mandat? Takie było oczekiwanie Jerzego Przystawy, Mirosława Dakowskiego czy Romualda Lazarowicza, wielkich popularyzatorów idei ordynacji większościowej i jednomandatowych okręgów wyborczych. Było w tym oczekiwanie na szybką i skuteczną wymianę rządzących pseudoelit, dążenie do usunięcia z polityki skompromitowanych ludzi.

W roku 2011 patrzyliśmy ze zdumieniem, jak stary komunista Marek Borowski wygrywa w walce o mandat do Senatu z wielce zasłużonym dla wolnej Polski Zbigniewem Romaszewskim. W tym roku Borowski znowu wygrał i będzie w Senacie.

A co sądzić o zwycięstwie Stanisława Gawłowskiego z okręgu numer 100? Startowało tam do Senatu trzech kandydatów: Krzysztof Nieckarz (PiS), Krzysztof Berezowski kandydat niezależny, a wygrał, z własnego komitetu o nazwie „Demokracja Obywatelska" Stanisław Gawłowski mający na koncie kilka prokuratorskich zarzutów. Do Senatu dostaje się też Michał Kamiński, obrotowy polityk, który zaczynał swoją karierę polityczną po stronie prawicy, PiS, odwiedził nawet z ryngrafem Matki Boskiej Częstochowskiej internowanego w Wielkiej Brytanii gen. Augusta Pinocheta, potem był aktywnym członkiem PO, a ostatnio PSL, z poparciem byłego prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego. W tym roku wygrał wybory z Konstantym Radziwiłłem, senatorem PiS, lekarzem, społecznikiem, ojcem licznej rodziny, byłym ministrem zdrowia. Albo były poseł PO Krzysztof Brejza, oskarżany w mediach o to, że w inowrocławskim ratuszu kierowanym przez jego ojca, prezydenta miasta, stworzył centrum zwalczania internetowego przeciwników politycznych.

Albo, także z zarzutami, wchodzi do Senatu z Łodzi, jako kandydat niezależny, były prezes NIK Krzysztof Kwiatkowski. Wygrywa z zasłużonym dla Polski mecenasem Markiem Markiewiczem. Z kolei politycznie obrotowy poseł z Torunia Antoni Mężydło z Koalicji Obywatelskiej dostaje się do Senatu w wyniku zmowy politycznej partii opozycyjnych, które porozumiały się w sprawie wspólnych kandydatów do Senatu, tworząc tzw. pakt senacki.

Zwolennicy ordynacji większościowej i jednomandatowych okręgów wyborczych powinni się zreflektować, ale nie tak jak zrobił to Paweł Kukiz, który ideę jednomandatowych okręgów wyborczych sprzedał za mandat posła. Walcząc z partyjniactwem, wszedł w struktury PSL, partii, która zawsze była przeciwna ordynacji większościowej.

Ordynacja większościowa wcale nie jest lepsza od proporcjonalnej. Przypomnę przykład Henryka Stokłosy, który dostał się do Senatu w 1989 r. jako jedyny spoza Komitetu Wyborczego „Solidarność" tylko dlatego, że miał pieniądze i zatrudniał kilka tysięcy pracowników, równocześnie swoich wyborców. Sukces ten powtórzył jako kandydat niezależny z okręgu pilskiego w latach 1991, 1993, 1997 i 2001. Po przerwie, w 2011 r., ponownie został senatorem, startując z własnego komitetu wyborczego w wyborach uzupełniających. W międzyczasie był ścigany listem gończym, europejskim nakazem aresztowania, wielokrotnie stawał przed sądami i był skazywany, by sądy wyższej instancji mogły te wyroki uchylać i przekazywać do ponownego rozpoznania. Nie ulega wątpliwości, że uzyskany immunitet senatorski wielokrotnie pomagał mu w zmaganiach z prawem.

Trzeba też pamiętać, że ordynacja większościowa (w połowie) obowiązuje w wyborach do rosyjskiej Dumy. I tam w stu procentach wygrywają stronnicy Władimira Putina z partii Jedna Rosja.

Tak więc ordynacja większościowa z jednomandatowymi okręgami wyborczymi, która miała bardziej związywać posła z wyborcami, podobnie jak ordynacja proporcjonalna może reprodukować te same elity, podtrzymywać ten sam układ polityczny i nie jest gwarantem politycznych zmian na lepsze. Wszystko zależy od poziomu kultury politycznej w państwie i moralnego wyrobienia jego obywateli.

I chyba dobrze się stało, że Paweł Kukiz przestał zawracać głowę opinii publicznej cudowną ordynacją, lekiem na polityczne zło. No, chyba że mamy uwierzyć, iż Władek (Kosiarz-Kamysz), przyjaciel Kukiza, przejmie się jego idée fixe.

eprasa.pl 3ca8d795e7

LOKAL DLA AWANTURNYCH

Pora odłożyć maczugi



Witold Gadowski

Istnieje taki poziom emocji, przy którym już tylko w mordę dać można. W takiej sytuacji żadna dyskusja nie jest już możliwa. Oczywisty spór o polską niepodległość pomiędzy obozem niepodległościowym a siłami, które w tę suwerenność z różnych powodów nie wierzą, pozostawiam teraz na boku. Intryguje mnie poziom emocji w obozie, który nominalnie chce Polski silnej wewnętrznie i niepodległej. Czytając komentarze i słuchając dyskusji zwolenników PiS i Konfederacji, odnoszę wrażenie, że toczy się ona pomiędzy wrogami. Z jednej strony padają oskarżenia o działanie na pasku rosyjskich służb specjalnych, z drugiej zarzuty o nadzwyczajną uległość wobec służb izraelskich. Jedni i drudzy sugerują, że oponenci nie są tymi, za których się podają, a istnieją jedynie jako zamaskowana opcja zdrady!

Czy nie czas powiedzieć dość?! Opanujcie się, bo ktoś was skutecznie podgrzewa. Jakieś zakulisowe machinacje sprawiają, że zamiast walczyć z wrogami wolności, siłami niszczącymi polskie marzenia o dobrym i uporządkowanym kraju, patrioci biorą się za łby. Jeśli bowiem porzucimy paranoiczne podejrzenia, dojrzymy nas, skłóconych, nienawistnie na siebie fuczących, podczas gdy siły Republiki Okrągłego Stołu nabierają siły i impetu. No, chyba że prawdą jest, iż Konfederacja została stworzona po to, aby oddać Polskę w ręce rosyjskiego samodzierżawia, lub PiS jest ugrupowaniem wiodącym do zamienienia Polski w dziwaczny Polin, miejsce realizacji żydowskich interesów.

Idiotyczne? Oczywiście, ale jeżeli nie przestaniemy okładać się coraz większymi maczugami, to jak zwykle przyjdzie prawdziwy agent i jednym palcem poprzewraca wojowników wykrwawionych w bratobójczej walce. Kolejne ważne pytanie: czy jest to bratobójcza walka? Sądząc z doświadczeń wywiedzionych z LPR Romana Giertycha, można z wielką ostrożnością spoglądać na dzisiejszych narodowców, ale z drugiej strony bracia Kaczyńscy też kiedyś popierali Lecha Wałęsę i przysiadali przy ustaleniach niesławnej pamięci okrągłego stołu. Płytkie urazy, ambicje i obustronna demagogia mogą tylko pogłębiać stare błędy, na których przecież wszyscy czegoś się nauczyli. Najważniejszą nauką jest stwierdzenie: skoro osiem milionów patriotów głosowało na PiS i ponad milion patriotów wsparło Konfederację, to chyba czas najwyższy, aby znaleźć wspólny język i zjednoczyć te miliony polskich serc.

I po wyborach



Lech Makowiecki

Wyniki wyborów dostarczają nam wielu informacji ważnych dla kolejnych wyborczych zmagań. Ciekawe są zwłaszcza statystyki preferencji wyborców zależnie od wieku, wykształcenia, zamieszkania etc. Jeśli ktoś myśli tylko o tym, jak wygrać za cztery lata – może się skupić na udoskonaleniu istniejącej już strategii podgrzewania emocji międzyludzkich i licytowaniu się na obietnice. Ponieważ Jarosław Kaczyński jest politykiem postrzegającym świat w znacznie dłuższej perspektywie czasowej – powinien poważnie się zastanowić nad lepszym komunikowaniem się z najmłodszym pokoleniem Polaków. Zwłaszcza tych, którzy głosować będą po raz pierwszy. Nieprzypadkowo środowiska LGBT nachalnie wciskają się do szkół z genderową demoralizacją. Też nie przez przypadek lewak Jerzy „róbta co chceta" Owsiak od lat masowo indoktrynuje młodzież na „woodstockowych" spędach.

Platforma Obywatelska zawczasu wyhodowała sobie całe stadko mainstreamowych celebrytów i artystów (tzw. Europejczyków) z entuzjazmem profanujących wszystko co polskie. Co prawda udało się obudzić refleksję w części młodej generacji: kult Żołnierzy Wyklętych, zainteresowanie historią Polski i ochotniczy zaciąg do Wojsk Obrony Terytorialnej cieszy. Mało kto jednak dostrzega nadciągające tsunami pokoleń zrodzonych już w XXI w. Odporni na tradycyjne media, wychowani na zachodniej popkulturze, nieznający najnowszej historii Polski i świata, korzystający na potęgę z „wolności" wszelakich – sami wybiorą swoją drogę. Obcy jest im survival wojennych pokoleń, nie mają solidarnościowego doświadczenia, z kraju nie wypycha ich bezrobocie. Kościół, politycy czy rodzice nie są już dla nich autorytetami.

Pozyskać ich można jedynie wytężoną pracą u podstaw: mądrą edukacją i pozytywną, patriotyczną popkulturą. Wymaga to zdecydowanego przestawienia wajchy w MEN i MKiDN. Również w Kościele. Europa zbiera właśnie żniwo swego rozprzężenia. Za chwilę nie będzie już dokąd uciekać.

eprasa.pl 3ca8d795e7

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Nobel, Nobel i... Nobel



Aleksander Nalaskowski

Gdy byliśmy uczniami w ogólniaku, to jak większość naszych rówieśników fascynowaliśmy się muzyką, sportem i koleżankami, które wszak tak pięknie dorastały. My, długowłosi gitarzyści, sportowcy, poeci, marzyciele z przaśnego PRL, snuliśmy plany na życie, w których ważnym punktem była wszak zmiana świata. Nienawidziliśmy socjalizmu i jego ograniczeń, bo tak jak nasi rówieśnicy z Zachodu chcieliśmy podróżować i mieć najnowsze płyty oraz praktykować pilnie wkuwany język obcy. Wymienialiśmy się z matką w kolejce do rzeźnika i naciągaliśmy ojca na wspomnienia wojenne.

Na potęgę czytaliśmy, bo była to rozrywka dostępna. Gadaliśmy o książkach, a ściszonym głosem o tych przywożonych z zagranicy. Wiedzieliśmy dobrze, co oznacza hasło „Katyń". Z wypiekami na twarzy czytaliśmy Poboga-Malinowskiego i giedroyciową „Kulturę". Po sto razy wertowaliśmy „Home & Garden" i w głowach nam się nie mieściło, że tak można żyć i mieszkać. Coraz częściej się przekonywaliśmy, że żyjemy w jakimś erzacu świata, w którym można żyć tylko na niby. Niektórzy nasi rówieśnicy wstępowali do ZMS (Związek Młodzieży Socjalistycznej), inni kupowali za złotówki dżinsy w sklepach dla milicji, bo tato „służył".

Każdego roku czekaliśmy na jego Nobla i każdego roku stwierdzaliśmy, że Akademia się koszmarnie myli

Jednego dnia polonistka przyniosła na lekcję tom poety, o którym wiedzieliśmy mało albo zgoła nic.

Nosił tytuł „Pan Cogito". To była jej największa zasługa dydaktyczna wobec nas, bo poza tym nie nauczyła nas niczego. Miała bowiem wyraźne obrzydzenie do prowadzenia lekcji. Nasze „kółko" rówieśnicze pożyczyło od nauczycielki książkę, a ta peregrynowała z rąk do rąk, z domu do domu. To było nasze pierwsze spotkanie z genialnym Herbertem. Chyba on właśnie przyczynił się do tego, że przestałem pisać wiersze, bo zrozumiałem, że po prostu nie mam do tego krzty talentu i zwyczajnie jestem za głupi, bo z przerażeniem i porażeniem czytaliśmy owe wersy: „idź wyprostowany wśród tych co na kolanach/ wśród odwróconych plecami i obalonych w proch/ ocalałeś nie po to aby żyć/ masz mało czasu trzeba dać świadectwo/ i nie przebaczaj zaiste nie w twojej mocy/ przebaczać w imieniu tych, których zdradzono o świcie/ Bądź wierny idź".

To było jak zobowiązanie, jak nieprawdopodobny ciężar, który wszak musieliśmy unieść. Potem poszliśmy na studia i wiedzieliśmy, czego chcemy, ale chyba bardziej, czego na pewno nie chcemy. Był teatr studencki i genialna „Przecena dla wszystkich" tamtego Teatru Ósmego Dnia, który teraz ma swoją siedzibę bodaj w chlewie, były wiersze Barańczaka, Czapski, Herling-Grudziński, sitodruk i kręcenie korbą powielacza w stodółce na obrzeżach miasta. Ledwie zdążyliśmy zostać magistrami, to w Stoczni Gdańskiej im. Lenina zaczął się strajk. Pojechaliśmy tam, rzecz jasna, i koczowaliśmy przez kilka dni na klepisku przed bramą nr 2. Aż do końca.

Bo widzieliśmy, że niejedyni stoimy wyprostowani, że musimy dać świadectwo prawdzie albo być świadkami prawdy, że musimy być wierni. Tak nam wszak kazał Herbert. Krótko potem literackiego Nobla dostał Czesław Miłosz, Żmudzin piszący po polsku. Ale myśmy czekali na na wskroś zasłużonego Nobla dla poety niezłomnego, naszego starszego kolegi z uczelni. Wciąż jednak pozostawał tylko w gronie pretendentów. Każdego roku czekaliśmy na jego Nobla i każdego roku stwierdzaliśmy, że Akademia się koszmarnie myli. Herbert, człowiek, który nigdy nie komunizował, nie flirtował z „potworem, który ma twarz potwora", poetycki geniusz w 1996 r. okazał się mniej godny uwagi szafarzy ze Szwecji niż Wisława Szymborska. Autorka wiersza o kocie i bardzo popularnego, nawet w sferze pop, „Nic dwa razy". Znów Akademia się pomyliła. Herbert zmarł w 1998 r., a w nas umarła nadzieja na wyróżnienie porównywalne z Sienkiewiczem czy Reymontem, Yeatsem, Pasternakiem czy Goldingiem. Rok po Szymborskiej nagrodę dostał lewacki błazen z Mediolanu. Nam zapaliła się czerwona lampka. Później laureatem został Bob Dylan, który długo się zastanawiał, czy się po nagrodę w ogóle się pofatygować. Ale w końcu podjechał do Szwecji w przerwie między koncertami i wedle własnych, zupełnie dziwacznych rygorów ją odebrał.

Uznaliśmy więc, że dziwne wyroki Akademii są już jej cechą trwałą i tak naprawdę przestaliśmy jej ufać, widząc, że upodobania światopoglądowe nagrododawców odsuwają na plan dalszy rzeczywiste walory dzieła literackiego, prowadząc do przeceniania lub niedoceniania autorów. Herbert Nobla nie dostał. I my wszyscy tej nagrody nie dostaliśmy. Byliśmy zbyt wyprostowani, zbyt wierni, zbyt polscy? Na tyle „zbyt", że warto nas było teraz Noblem ukarać? Naprawdę tak chciał Alfred?

5/0819/F

eprasa.pl 3ca8d795e7

Bank Pekao

BIERZ ŻYCIE ZA ROGI



Z ŻYCIA MAM TYLE, ILE SAM PRZEŻYJĘ.

Marcin Mossakowski | podróżnik i filmowiec

Płać kartą rewolucyjną z gwarancją niskich kursów na całym świecie

0 zł prowizji banku za:

- przewalutowanie przy płatności kartą do konta w PLN
- wypłaty kartą z bankomatów za granicą[1]
- prowadzenie Konta Przekorzystnego i obsługę karty[1]

Karta rewolucyjna to karta debetowa Mastercard do Konta Przekorzystnego. Gwarancja niskich kursów dotyczy płatności za granicą tą kartą, rozliczanych w ramach środków w PLN, dostępnych na Koncie Przekorzystnym, polega na rozliczeniu płatności po kursach organizacji płatniczej Mastercard bez dodatkowych prowizji banku za przewalutowanie i bez doliczania marży banku do kursu wymiany. Nie dotyczy to sytuacji, gdy klient akceptuje przewalutowanie transakcji po kursie oferowanym w punkcie zlecania płatności. Gwarancja nie obejmuje poziomu kursów Mastercard, które mogą wzrastać lub spadać. Pełne informacje o karcie debetowej Mastercard znajdziesz w naszych oddziałach.

[1]0 zł w przypadku wpływu na konto w poprzednim miesiącu kalendarzowym min. 500 zł przelewem z zewnątrz lub z konta firmowego w Banku Pekao S.A. i min. 1 płatności kartą debetową do konta lub aplikacją PeoPay. Do ukończenia 26. roku życia 0 zł za prowadzenie Konta Przekorzystnego, obsługę karty do tego konta oraz brak prowizji banku za wypłaty kartą ze wszystkich bankomatów w Polsce i za granicą są bezwarunkowe.

Pojęcia: wypłata, prowadzenie konta, obsługa karty, przelew i PeoPay odpowiadają następującym określeniom z rozporządzenia Ministra Rozwoju i Finansów z 14.07.2017 r. w sprawie wykazu usług reprezentatywnych powiązanych z rachunkiem płatniczym (Dz.U.2017.1437): wypłata gotówki, prowadzenie rachunku płatniczego, obsługa karty debetowej, polecenie przelewu / polecenie przelewu wewnętrznego, usługa bankowości elektronicznej. Stosowne definicje znajdziesz na pekao.com.pl/definicje. I **Bank Pekao S.A.**

eprasa.pl 3ca8d795e7



Uderz w stół...

Edukację seksualną należy realizować nie wprost, ale niejako naokoło. Np. poprzez spektakle zawierające treści seksualne – instruowała nauczycieli prowadząca szkolenie

JAN POSPIESZALSKI

Obywatelski projekt nowelizacji Kodeksu karnego, pod nazwą „Stop pedofilii", który przeszedł pierwsze czytanie w Sejmie, wywołuje nie tylko uliczne protesty pod gmachem parlamentu. Panika ogarnęła liberalne media, w których roi się od lamentów tzw. ekspertów i autorytetów. Najbardziej wzruszył mnie jednak protest Polskiego Towarzystwa Seksuologicznego, który nazywa projekt nienaukowym i sprzecznym ze „standardami". Przychodzi na myśl przysłowie: uderz w stół...

Tak się składa, że owa organizacja miała w swych szeregach kilku „ekspertów" którzy popadli w poważne tarapaty. Nie miał szczęścia Andrzej Samson, którego seksuologiczną karierę przerwały oskarżenia o molestowanie małoletnich pacjentów i produkowanie pornografii dziecięcej. W trakcie procesu potwierdzono zarzuty prokuratury, ale nie doszło do skazania ze względu na śmierć oskarżonego. Także sam wiceprezes Polskiego Towarzystwa Seksuologicznego dr Wiesław Czernikiewicz został oskarżony przez pacjentki o molestowanie, podobnie jak inny członek Towarzystwa, Lechosław Gapik.

Inicjatorem projektu „Stop pedofilii" jest Fundacja „Pro prawo do życia" Mariusza Dzierżawskiego. Gdy wyszło na jaw, że Rafał Trzaskowski, a w ślad za nim inne samorządy w Polsce, zamierzają do szkół wprowadzić zajęcia z edukacji seksualnej oparte na słynnych już standardach WHO, projekt poparło 265 tys. Polaków. Szybkie zakończenie prac jest konieczne, ponieważ cały czas w różnych miastach w Polsce, bez wiedzy i zgody rodziców, realizowane są dziwne szkolenia dla dzieci.

Nasza redakcja otrzymała list od wychowawczyni z dużego miasta, która uczestniczyła w takich zajęciach dla nauczycieli. Prowadząca dr Alicja Długołęcka mówiła wprost, że w odniesieniu do seksualności nie wolno się kierować normami przyjętymi w społeczeństwie, ponieważ normy jako takie nie istnieją, a te, które w Polsce obowiązują, mają charakter względny. Zdaniem prowadzącej orientacja seksualna człowieka ma charakter płynny i jako taka może podlegać zmianom w ciągu lat. Dramatem według niej jest to, że obecnie realizowany program wychowania do życia w rodzinie prawie wcale nie mówi o seksie, a zajęcia utwierdzają stereotypy płciowe. A przecież np. o wprowadzaniu penisa do pochwy należy mówić z dziećmi już od drugiej klasy. Z jej obserwacji wynika, że dzieci nieco starsze będą odczuwały pewien opór w podejmowaniu tych treści, a maluchy są w stanie rozmawiać o seksie w sposób bardzo otwarty.

Edukacja seksualna, przekonywała, nie może też zawierać treści, które mogłyby przestraszyć lub zniechęcić młodzież przed podejmowaniem aktywności seksualnej, a ponieważ istnieje opór wśród rodziców i części nauczycieli, edukację seksualną należy realizować nie wprost, ale niejako naokoło. Przykładem takich działań są objazdowe spektakle adresowane do dzieci i młodzieży. Tytuł i opis w ogóle nie zawiera słowa seks. Przedstawienia rzekomo dotyczą profilaktyki, choć de facto przekazują treści seksualne. Prowadząca szkolenia podawała przykłady spektakli: „Słowo na G", „Wolę kochać, niż się ścigać", „Dziecko w sytuacji". Długołęcka z niezwykłą szczerością opowiadała, że z dziećmi o sprawach seksualności należy rozmawiać w sposób afirmatywny, prowadząc np. zajęcia z innych przedmiotów.

Inna prowadząca się chwaliła, że sama organizuje dla dzieci zajęcia z filozofowania, ale mimochodem kieruje rozmowę na kwestie seksualności i wtedy można podjąć „odpowiedni przekaz". Ten mechanizm bezczelnego oszustwa został ujawniony wiosną tego roku przez redakcję magazynu „Alarm!" TVP1, gdy dziennikarka, udając potencjalną seksedukatorkę, nagrała z ukrytej kamery rozmowy w biurze fundacji prowadzącej takie szkolenia. Dowodzi to niezbicie, że należy szybko procedować ustawę penalizującą deprawatorów, wypędzić ze szkół podejrzane teatrzyki, a strzec się edukatorów i nie ufać seksuologom.

eprasa.pl 3ca8d795e7

CO MNIE ZADZIWIA

Daliśmy radę



Katarzyna Łaniewska

Daliśmy radę. Kto? My, sympatycy, wyborcy, głosujący na Prawo i Sprawiedliwość. Daliśmy radę! Zwyciężyliśmy! Tak, jak obiecywaliśmy na wszystkich konwencjach. Zwyciężyliśmy.

W październikowych wyborach parlamentarnych wielką liczbą głosów zwyciężyło PiS. Ugrupowanie to będzie mogło rządzić samodzielnie przez następne cztery lata. Bardzo się cieszę. Pokazało ono w poprzedniej kadencji, że jest wiarygodne, że spełnia obietnice wyborcze, które złożyło Polsce i obywatelom. Wiele rzeczy udało się zrobić. Na spotkaniach i konwencjach mówiono, że trzeba się starać jeszcze bardziej, jeszcze głębiej sięgać i dotykać tych dziedzin życia, które jeszcze bardziej będą mogły służyć ludziom. Mamy nadzieję, że te kolejne lata u steru władzy pozwolą spełnić nadzieje i obietnice z tych wyborów.

Wiele się w kraju zmieniło dzięki 500+ i innym dobrym programom. Tę opcję wybraliśmy. Nie Polskę, ale Polskę+. To było wielkie zwycięstwo, możliwe dzięki wysiłkowi wszystkich politycznych działaczy, również tych z najwyższego szczebla. Miejmy nadzieję, że inne partie, które znalazły się w Sejmie, nie będą znów totalną, ale konstruktywną opozycją. Oby ich członkowie chcieli rozmawiać i uczestniczyć w budowaniu Polski+. Wiem, że nadzieja z jednej strony jest matką głupich, a z drugiej umiera ostatnia. Jednak trzeba z nową nadzieją wstępować we współpracę z nową opozycją.

Październik przynosi też inne ważne daty i wydarzenia. Mamy Dni Papieskie oraz 16 października – rocznicę pontyfikatu św. Jana Pawła II, bez którego te wybory i wszystko to, co się teraz w Polsce dzieje, nie byłoby możliwe. Ojciec Święty tak wiele zrobił dla świata, Kościoła i Polski.

Jest jeszcze jedna data, wielce smutna – 19 października. Rocznica męczeńskiej śmierci kapelana Solidarności ks. Jerzego Popiełuszki. Ciągle spodziewamy się beatyfikacji kapłana i uczciwego procesu jego oprawców. Dla nas był i jest święty.

Wchodzimy w nową, czteroletnią kadencję parlamentu. Jaka ona będzie? Mam nadzieję, że będzie to dobry czas dla naszej ojczyzny i dla nas, Polaków.

REKLAMA



78/1019/F

eprasa.pl 3ca8d795e7

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***



TRENDY I OWĘDY

Pogwarki powyborcze

Trwają rozliczenia powyborcze, więc szkoda się nie przyłączyć

W mieście Łodzi, sympatyzującym z lewicą, wiceprezydent z SLD zebrał 40 tys. głosów i dzięki temu został posłem na Sejm. Żeby się odwdzięczyć wiernemu elektoratowi, w dwa dni po wyborach, tuż przed pożegnaniem się z miejską funkcją, ogłosił podwyżkę opłaty za wywóz śmieci z 13 na 24 zł. Ale spokojnie, pewnie za cztery lata też zbierze dziesiątki tysięcy głosów. Upodobania wyborców są często niezależne od faktów. Inaczej PiS miałby 80 proc. Patrząc na postacie zasilające obecną kadencję, w bardzo wielu przypadkach człowiekowi sam się wyrywa okrzyk: Kto na nich głosuje!?



Ryszard Makowski

Po czterech latach meczu PiS – Reszta Świata, kiedy na wszelkie sposoby próbowano obalić dobrą zmianę, 235 mandatów jest piękną wygraną. Lekkim cieniem kładzie się wynik w Senacie.

Rozpoczynają się próby rozliczania sukcesu. Nawet na prawicy słychać zatroskane głosy nad kondycją TVP. Wściekłość opozycji zaświadcza najlepiej, ile dla dobrej zmiany w czasach wojny informacyjnej zrobiła. Ponadto wytrzymała konkurencję ze stacjami komercyjnymi. Może spójrzmy na Polskie Radio. Zupełnie rozmyte w nijakości. 5 proc. słuchalności to klęska. Żeby było zabawniej, to medium jest tak słabe, że nie było w stanie wspomóc nawet, mającego w nim ogromne wpływy, przewodniczącego Rady Mediów Narodowych. Nie wszedł do Sejmu z drugiego miejsca w Toruniu. Także poprawiajmy to, co nie działa, a nie dla pożytku opozycji niszczmy to, co umożliwiło PiS samodzielne rządy na następne cztery lata.

eprasa.pl 3ca8d795e7

***Zawistowski prezentuje:* Re-cep wspaniały**





***Wycinki z* przeszłości**

W „Płomyku" z jesieni 1928 r. na okładce zamieszczono urokliwy rysunek gazeciarza, którego na ulicach spotykamy już tylko okazjonalnie. Ale w czasie kampanii wyborczej znacznie częściej – rozdający ulotki, jednodniówki, wydania specjalne. Dla wszystkich, którzy się trudzili w ten sposób przed wyborami, mamy zamieszczony w tymże piśmie wierszyk:

Roznosiciel pism
Oto świeże gazety! Każdy chciwie je chwyta,
tyle nowin ciekawych w gazetach wyczyta!
Oto świeże gazety! Wszystko w nich znajdziecie!
Wnet wam będzie wiadomo, co się dzieje na świecie!

Jak to burza nadmorska nawiedziła wybrzeża,
jak to różne narody zawierają przymierza,
kto znów ptakiem przeleci obce morza i kraje,
wynalazek kto nowy światu w darze oddaje...

I co w Polsce się dzieje – i tego się dowiecie:
Wszystko czarno na białem wypisane w gazecie!
Jak to Polska buduje porty, drogi, okręty
I dom, w którym przechowa swych pamiątek skarb święty.

Z. Plewińska-Smidowiczowa **(mk)**

Jak na poetę romantycznego przystało

Osłaniając swój oddział, zginął od strzału w serce w powstańczej bitwie z Rosjanami w 1863 r. Uznawany był – i pozostał – za jedną z najświetniejszych zapowiedzi poezji polskiej tamtego czasu. Ten popularny wiersz znany był także w formie pieśni skomponowanej przez Wacława Lachmana.



***Leszek* Długosz**

Mieczysław Romanowski (1833–1863)

„Sztandary polskie w Kremlu"

Grzmią huczne dzwony na Kremla szczytach,
Car świętej słucha ofiary.
A na wyniosłych cerkwi sufitach
Polskie się chwieją sztandary.

„Sława – o! sława" – zagrzmiały chóry –
„W pęta car zakuł czerń laszą!".
I zaszumiała odpowiedź z góry:
„Za waszą wolność i naszą!".
„O! buntowszczyki, po carskiemu słowu
Przysięglim na zgubę laszą".
I zaszumiało u góry znowu:
„Za waszą wolność i naszą!".

Umilkły śpiewy, zgasły ofiary,
Car słucha, szepty go straszą –
Spojrzał; nad głową szumią sztandary:
„Za waszą wolność i naszą!".

(1857)

Sufit cerkwi na Kremlu obwieszony był w owym czasie sztandarami wszystkich narodów, z którymi Moska prowadziła wojny. Pomiędzy nimi były tam i te zdobyte na Polakach w 1831 r. z napisem „Za waszą i naszą wolność". Przypis według Justyny Chłap-Nowakowej, autorki antologii poetyckiej „Jeszcze Polska..."

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	75 zł	139 zł	245 zł
wSIECI HISTORII	–	29 zł (3 wydania)	54 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	158 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	280 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl 3ca8d795e7



OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Kiedy starcie wizji?

Choć wyniki wyborów można komentować na różne sposoby, to po 13 października br. jedno jest pewne: nikt nie ma monopolu na polską duszę

Dobra frekwencja oraz szeroki przekrój preferencji politycznych Polaków w Sejmie pokazały, że demokracja w Polsce jest w niezłej kondycji. Wieszczący upadek wolności i demokracji w naszym kraju powinni spokojniej odetchnąć. Niektórzy mówią nawet, że to było święto demokracji.

ZE STRACHU…

Jednak duża frekwencja to również efekt mobilizacji negatywnej. Ilu wyborców głosowało ze strachu, wbrew, przeciw, na przekór, ze złości? Częściowo to wiemy, bo znamy przecież liczbę głosów oddawanych na kandydatów, których najzręczniej chyba określić mianem postaci... kontrowersyjnych.

Z tym że wybory polityczne, nawet te przemyślane, racjonalne, nie są wolne od silnych emocji, trzeba się chyba pogodzić. Nie musimy się jednak godzić na podkręcanie naszych nastrojów bez umiaru.

PLURALIZM, PLURALIZM, ZGIEŁK

Pluralizm mediów przepoczwarzył się w zgiełk informacyjny – aby się przebić, ścigamy się, sięgając po najbardziej chwytliwe sposoby przyciągania uwagi. Niesmak i wulgaryzmy nie stanowią już żadnej bariery, a śmieszności dawno przestano się obawiać. Liczy się oglądalność, słyszalność i klikalność.

Te grzechy dotyczą wszystkich stron sporu politycznego: polityków, komentatorów, ale także ludzi mediów – dziennikarzy i ich pracodawców.

MANDAT ZAUFANIA

Gdy ciśnienie kampanijne opadło, warto wrócić do analiz społecznych, wsłuchać się w światopogląd różnych grup, także tych skrajnych – z czego ich radykalność wyrasta?

PiS dostał mandat na kontynuowanie dobrej zmiany. Polacy zdecydowanie dali zielone światło dla koncepcji rozwoju państwa realizowanej przez ostatnie cztery lata. Czy to znaczy, że nie dostrzegają błędów i potknięć? Wielokrotnie spotykaliśmy się z opiniami wyborców, że PiS nie jest formacją idealną, ma swe zaniedbania i wpadki, ale to jednak formacja wiarygodna i uporczywa w zabieganiu o dobre życie Polaków. Że ważne jest, iż nie godzi się na traktowanie Polski jako kraju ciągle jakoby potrzebującego opiekuna, „kuratora" ze strony elit dojrzałej zachodniej Europy. Warto, by opozycja totalna pogodziła się z tym, że w Polsce nie ma na to zgody. By porzuciła rojenia o tymczasowości obecnej władzy, którą można przeczekać.

Rządzący natomiast muszą pamiętać o tej części społeczeństwa, która dobrej zmiany nie popiera. Jest wielu naszych rodaków myślących inaczej, mających inną wizję Polski. Wielu czuje się urażonych.

POLITYKA POROZUMIEŃ

Potraktujemy wynik wyborów jako szansę nowego otwarcia. Może media zamiast stale ekscytować się układankami wewnątrzpartyjnymi, miast forowania wyobrażeń o kuchni władzy jako wyłącznie walki o stołki, dałyby wreszcie więcej przestrzeni na dyskutowanie o wizjach przyszłości RP?!

Jakiej Polski chcą Polacy? Czy jesteśmy w stanie uzgodnić ogólny kierunek? Czy nie stać nas na coś więcej niż tylko zamknięcie się w metaforze walki ciemnogrodu z barwnym korowodem postępu?

Po ciśnieniu walki wyborczej najwyższa pora na politykę porozumień. To dalej będzie w jakimś sensie walka, ale niech to będzie ścieranie się pozytywnych rozważań o tym, jaka polityka społeczno-gospodarcza jest najefektywniejsza w czasie inwazji nowych technologii, możliwych kryzysów finansowych, zagubienia ideologicznego, migracji i nierównowag demograficznych czy wreszcie zmian klimatycznych.

Spróbujmy porzucić wyścig na jak najskuteczniejsze technologie mobilizacji przez antypis – owo straszenie z jednej strony oraz radykalne oddzielanie dzisiejszej opozycyjności od patriotyzmu ze strony drugiej. By to ostatnie jednak miało miejsce, niechaj nasi Europejczycy publicznie przedstawią swoją wizję polskości w przechodzącej kryzys Europie! Czekamy.

WOLNOŚĆ POLSKIEJ DUSZY

Choć wyniki wyborów można komentować na różne sposoby, to po 13 października br. jedno jest pewne: nikt nie ma monopolu na duszę polską. Niezależnie od tego, kto aktualnie rządzi, zawsze będzie jakaś druga strona, zawsze będą „ci drudzy", z którymi trzeba żyć. To nie musi być życie w udręce.

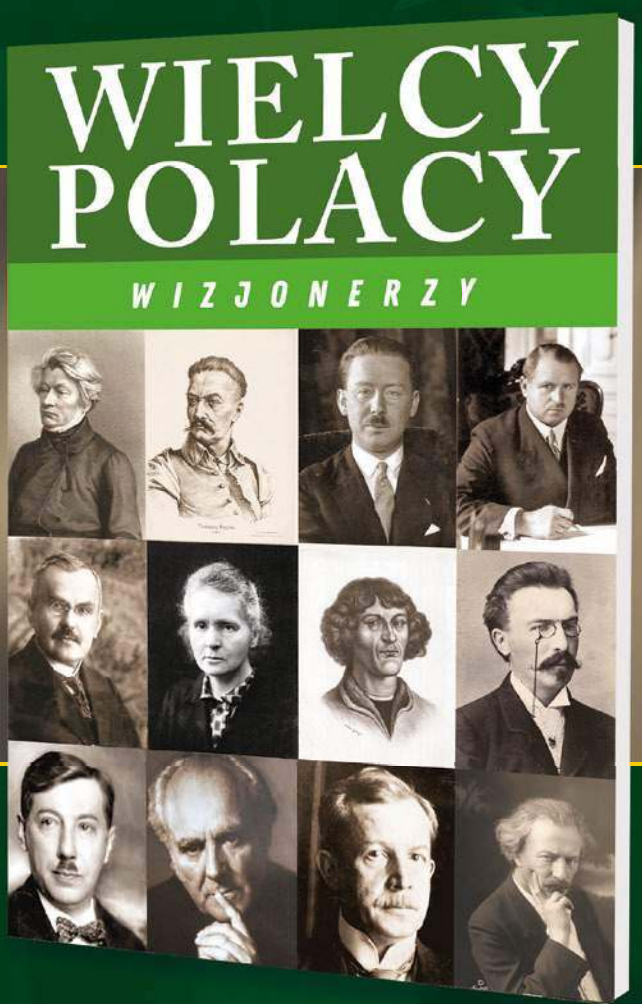
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja | 59/0419/F

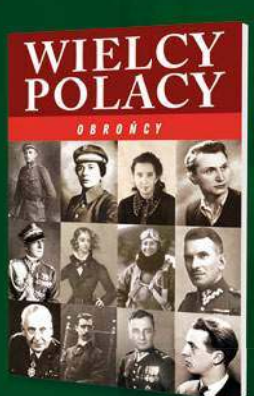
eprasa.pl 3ca8d795e7

Już 28 października z tygodnikiem SIECI

pierwsza książka z cyklu „Wielcy Polacy”



- 50 Polaków-wizjonerów, dla których najważniejsze było dobro Ojczyzny
- Podróżnicy, odkrywcy, wynalazcy, przedsiębiorcy, mężowie stanu, ludzie kultury i nauki, duchowni



Kolejna książka „Wielcy Polacy. Obrońcy” ukaże się 12 listopada

Partner wydania

90 lat Bank Pekao

eprasa.pl 3ca8d795e7

1919 2019

100 LAT
POLSKIEGO KOMITETU
OLIMPIJSKIEGO



Wiele dróg, jeden cel.

Sponsorzy Polskiej Reprezentacji Olimpijskiej

Sponsor Strategiczny	Sponsor Generalny	Sponsor Kolekcji Olimpijskiej	Główny Partner Medyczny	Oficjalny Przewoźnik	Partnerzy	Partnerzy Medialni
ORLEN	LOTTO	4F	GRUPA LUXMED	LOT POLISH AIRLINES	Deloitte. COLUMNA MEDICA	RZECZPOSPOLITA POLSKIE RADIO

eprasa.pl 3ca8d795e7